•łatwo
•szybko
•bezpiecznie

www.sklep.de
wpadnij na zakupy online

PRZEGLĄD PRASY
MIESIĘCZNIK
ISSN 0867 8162 K 45850

ANGORA® ID

WYDANIE NA NIEMCY

DORTMUND | Nr 4 (123) | Kwiecień 2024 | Rok XXXV | 2,50 €

Rys. Tomasz Wilczkiewicz

4 194585 002507 04

KAMPANIA WYBORCZA W AMERYCE. Donald Trump, były prezydent USA, straszy, że NATO w razie agresji Rosji nie pomoże krajom niepłacącym składek – czytaj str. 3-5.

Przeczytane

KTO SIĘ KRYJE ZA PLECAMI DZIECKA?

Order Uśmiechu jest przyznawany przez dzieci ludziom, którzy przynoszą im radość. W teorii, ponieważ praktyka wygląda trochę inaczej. Na przykład pisarki Ewy Szelburg-Zarembiny najmłodsi nie wybierali, zdecydowała kapituła Orderu Uśmiechu, czyli dorośli. Na pytanie, czemu, Cezary Leżeński, jeden ze współtwórców odznaczenia, autor książki „Za jeden uśmiech", odpowiedział: – *Myślisz, że dzieci nie napisałyby wniosku na nią? Jestem pewien, że zasypałyby nas listami.* Jednak nie zasypały, a ich propozycje często stały w sprzeczności z wizjami dorosłych. Wanda Chotomska, autorka dobranocki „Jacek i Agatka", w rocznicę pięciolecia programu odwiedziła dziecięce sanatorium. Jeden z małych pacjentów, ciężko chory, mimo to wyjątkowo radosny, zapytał ją: – *Dlaczego właściwie nie ma Orderu Uśmiechu? Powinien być – i pierwszy taki order dałbym Jackowi.* Opowieść Chotomskiej stała się impulsem do powstania nagrody. Niestety, pomysł, by wręczyć ją fikcyjnej postaci, wydał się odpowiedzialnym, dojrzałym ludziom niepoważny. W swojej książce Leżeński pisał, że chłopczyk *chciał go tylko dać wesołej, wzruszającej laleczce.* Trzydzieści lat później wciąż nie rozumiał idei i rozważał, dlaczego akurat Jackowi, a nie obojgu bohaterom bajki: – *Może był w wieku, w którym nie lubi się dziewcząt i ciągnie je za warkocze albo przezywa.* Zaszczytny tytuł kawalera Orderu Uśmiechu nosi dziś ponad tysiąc osób rozmaitych profesji, postaci z dobranocek wśród nich nie uświadczysz. Są za to pisarze, aktorzy, lekarze, pedagodzy, celebryci, duchowni, nawet politycy. Dorośli fetują dorosłych, bo w kapitule nie ma dzieciaków, *a jak pokazuje przykład Szelburg-Zarembiny, order mógł być przyznany wręcz bez ich wniosku.* W 1993 roku to nawet nie kapituła wyręczyła najmłodszych, lecz telewizja. *Do Leżeńskiego zadzwonił „pewien telewizyjny facet", który zażądał przyznania orderu przebywającemu wówczas w Polsce Stevenowi Spielbergowi* [amerykańskiemu reżyserowi] *i zapewnił, że wniosek dzieci będzie za parę dni. Zanim wpłynął, informacja o tym orderze już była rozpowszechniana w mediach.* Jerzego Owsiaka kapituła odznaczyła w 1993 roku. Wyróżnienie przyjął dopiero 25 lat później, bo, jak mówił, *ktoś tu uwija sobie prywatny biznes (...). Karykaturalnie to wygląda: loża starców przebrana w jakieś dziwne insygnia, wyglądało, że dzieci służą tam jedynie do dekoracji.*

Na podst.: *Anna Golus „Zabawki kanclerza", „Tygodnik Powszechny" nr 9/2024*
Wybrała i oprac. E.W.

Obejrzane

POWRÓT Z OTCHŁANI

Akt I

23 kwietnia 2013 roku. Grzegorz Galasiński pracuje w zakładzie kamieniarskim pod Oławą (woj. dolnośląskie). Nagle uruchomiła się maszyna do pakowania kostki brukowej i dosłownie zmiażdżyła mu twarz. Oderwała wielki kawał twarzy i zmiażdżyła kości czaszki, żuchwę oraz naczynia krwionośne. – *To była chwila. Obraz, który widziałem gałkami ocznymi na zewnątrz* (gałki wypadły mu na policzki). *I krzyk ludzi i swój. Straciłem przytomność w helikopterze. Ocknąłem się na oddziale.*

Akt II

Leczenia pana Grzegorza podjęli się lekarze z Narodowego Instytutu Onkologicznego w Gliwicach. Wyzwaniem o randze światowej stała się pionierska operacja rekonstrukcji twarzy. Zespół kilkunastu chirurgów pod kierownictwem prof. Adama Maciejewskiego operował 26 godzin! – *Uraz był na tyle rozległy, że był odsłonięty przedni dół czaszki, co groziło infekcją i wtórnie pewnie by doprowadziło do zgonu pacjenta* – relacjonuje prof. Łukasz Krakowczyk. Po operacji nastąpiły trzy dni śpiączki farmakologicznej. A potem? – *Pamiętają chyba państwo zdjęcie z jego uniesionym kciukiem* – uśmiecha się prof. Maciejewski. Pierwsze chwile po operacji pan Grzegorz kwituje krótko: – *Jest dobrze. Nie walczyłem z przeszczepem, walczyłem z własnymi ograniczeniami.*

Akt III

– *Co było dla ciebie nowe?* – pyta reporterka. – *Dla mnie wszystko jest nowe nadal. Nawet po 10 latach. Cały czas żyję ze świadomością, jedyną obawą, że odrzut zawsze może pojawić się znikąd.* W związku z tym cały czas pozostaje pod kontrolą medyczną. By nie utracić sprawności fizycznej, musi się non stop rehabilitować. – *Musiałyśmy się zmierzyć z człowiekiem cierpiącym, z rozległymi ranami, obrzękami, bólem, brakiem czucia* – mówi fizjoterapeutka Monika Wilczyńska. – *Teraz jest zupełnie samodzielnym człowiekiem.*

Pan Grzegorz ma teraz 44 lata, jest rencistą, żyje z matką w niewielkiej wsi na Dolnym Śląsku i zajmuje się gospodarstwem.

Jak został przyjęty we wsi po operacji? – *Jak to człowiek po przeszczepie. Unikali rozmowy, unikali widzenia, bo bali się, jak ja na to zareaguję. Żyję z dnia na dzień. Chcę godnie, spokojnie żyć. Spokój osiągam dzięki ludziom życzliwym. Nie boję się tego, żeby być innym.*

Unika rozmowy o marzeniach: – *Biorę życie, jakie jest, nie wybrzydzam.* Wdzięczny jest lekarzom z zespołu operującego. – *To jest przekazanie życia. Tu dostałem nowe życie.*

„10 lat temu przeszczepiono mu nową twarz", TVN
BOHDAN MELKA

Usłyszane

PUTIN W BRUDNEJ PIELUSZE

Fot. Youtube

Patryk Vega zrobił pierwszy anglojęzyczny film i jest nim biografia Władimira Putina. „(...) Fabuła ma objąć całe życie dyktatora – od dzieciństwa po wojnę z Ukrainą. W lutym reżyser zaprezentował pierwszy teaser filmu. Dokumentalne zdjęcia z autentycznych wydarzeń przeplatają się w nim z ujęciami Putina w gabinecie i rozdygotanego prezydenta Rosji leżącego w samej pielusze dla dorosłych. Ten wątek wypełnia też drugi udostępniony materiał, siedmiominutową scenę, w której generał odwiedza Putina w szpitalu i prezentuje mu plany podczas zmieniania zabrudzonej pieluchy. Vega pokazał fragmenty tego filmu w Ukrainie i jak twierdził (...) odbiór był zachwycający. – *Zdecydowali się nie tylko wziąć ten film do dystrybucji w Ukrainie, lecz także dla Ukraińców na całym świecie. Chcą wykonać dubbing ukraiński i pokazywać go w wielu krajach, jak Hiszpania, Francja, Włochy, Niemcy, Polska czy Słowacja* – wyliczał.

(...). Tymczasem sądząc ze zwiastuna i zaprezentowanej sceny, jak zwykle chodzi o szokowanie i tanią sensację. Po dwóch tygodniach od premiery na YouTubie oba materiały, mimo nagłośnienia w mediach, mają zaledwie około dwudziestu tysięcy odsłon. Jeszcze kilka lat temu byłoby to nie do pomyślenia. W 2019 roku pierwszy zwiastun filmu *Polityka* w ciągu czterech dni obejrzano ponad 3 miliony razy (...). Maria Piechowska, analityczka ds. Ukrainy z Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, nie jest przekonana, czy film Vegi w ogóle znajdzie odbiorców w Ukrainie. – *Z jednej strony wszystko, co krytykuje Putina, może trafić do widzów* – twierdzi ekspertka (...). – *Z drugiej strony ukraińska rozrywka stoi na bardzo wysokim poziomie. Na znacznie wyższym niż w Polsce. Ten rynek był od lat świetnie rozwinięty. To z niego, w pewnym sensie, wywodzi się prezydent Zełenski* – przypomina, przyznając, że to, co proponuje Vega, może okazać się zbyt toporne dla Ukraińców. Ale z pewnością będzie to dla nich coś nowego.

– *Ukraińcy raczej nie znają polskiego kina, nie mają pojęcia, kim jest Vega i jak wygląda jego kino* (...).

TOK FM, „Putin w brudnej pielusze w nowym filmie Vegi. Będzie hit? «Może rozbawi frontowych żołnierzy»", Kamil Śmiałkowski
Opr. (KGB)

Złapane w sieci

PREZES RZUCIŁ RĘKAWICĘ

Podczas spotkania Jarosława Kaczyńskiego z mieszkańcami Leżajska prezes PiS zapewnił, że chętnie porówna swój majątek z majątkiem Donalda Tuska. Jak twierdzi, posiada tylko pół domu (bliźniaka) i trochę oszczędności. Dlatego wezwał premiera na majątkowy pojedynek. – Panie Tusk, pokaż swój majątek. Ja swój pokazuję – zaapelował Kaczyński.

- Prawdziwy mężczyzna raczej chwali się swoim dorobkiem, a nie swoją skromnością majątkową i połówką starego domu wykupioną za grosze od miasta. ***(Roksana)***
- Prezes partii największych kombinatorów i cwaniaków na tej szerokości geograficznej chwali się swoją niezaradnością. To jakaś komedia. ***(zabawne)***
- Niech mu odpalą działkę wszyscy pisowcy, którzy byli przy żłobie 8 lat. Będzie multimilionerem. ***(student)***
- A co nagle majątku premiera Tuska się czepia? Nie był wcześniej ciekawy majątku byłego premiera Morawieckiego? ***(???)***
- Nie lepiej porównać publicznie majątki Morawieckiego i Obajtka? ***(Polak)***
- Panie Kaczyński, jak pan jest ciekaw majątku pana Tuska, to wystarczy przeczytać oświadczenie majątkowe premiera. Jest upublicznione na stronach Sejmu. Czyżby geniusz świata o tym nie wiedział? Nie trzeba się pojedynkować osobiście. ***(młody)***
- Prezes normalnie jak Rydzyk. Nic nie ma. Ale ochrona połowy bliźniaka i paru groszy kosztuje miliony rocznie. ***(uwierzyli?)***
- A co to w ogóle za pojedynek? Co ma wykazać? Kto nie umie dbać o własny interes finansowy? Legalnie. ***(szurik)***
- Premier Tusk przez lata pracy w Brukseli ma dużo większy majątek i nic w tym dziwnego. ***(twój nick)***
- Przypominam jeszcze o zysku na szparagach. ***(uczciwy Niemiec)***
- ...i pieniądzach lokowanych w niemieckich bankach! ***(jac)***
- Majątek Donalda Tuska to jawnie zarobione pieniądze. Majątki pisiorów to to, „co im się należało". Nabrali miliony i się śmieją z tych, co zasłużyli sobie na „miskę ryżu". ***(baba)***
- Największym zaś majątkiem Kaczyńskiego jest NIENAWIŚĆ!!! ***(taka prawda)***
- Poza tym towarzysz Kaczyński całe życie był na utrzymaniu podatnika. ***(LoL)***
- Posiedzi chłop 5 minut w Sejmie, potem na obiad do Przyłębskiej, zabawa z kotem... To jest praca? (...) ***(nie do pojęcia)***
- Panie Jarku, może przeprowadzicie panowie dysputę w języku światowym, a to jest jęz. angielski. Program pójdzie na cały świat i ludzie ocenią... ***(myślę)***

www.wp.pl
(bin)

ANGORA – Monatsblatt auf polnisch – Pressespiegel, Ausgabe für Deutschland

V.i.S.d.P. – Marius Matuszczyk, Satz: Barbara Winterberg, Druck – Rheinische DruckMedia, Düsseldorf, Werbung – es gilt die Preisliste Nr. 7 vom 2.1.2002 — Herausgeber, Verlag und Redaktion haften nicht für den Inhalt der veröffentlichten Anzeigen und Kleinanzeigen — Die Verwertung der Zeitung und aller in ihr enthaltenen urheberrechtlich geschützten Beiträge und Abbildungen ist ohne vorherige schriftliche Zustimmung des Verlages unzulässig und strafbar, soweit sich aus dem Urheberrechtsgesetz nichts anderes ergibt.

ANGORA działa w oparciu o przepisy art. 25, 26, 29 (zamieszczając także wypisy dla celów dydaktycznych) 33 i 49 ust. 2 ustawy o prawie autorskim i prawach pokrewnych z dn. 4.2.1994 r. (DzU z dn. 23.2.1994 r. nr 24, poz. 83) oraz przyjęte zwyczaje edytorskie. Szczegóły wyjaśniamy w rozesłanym do redakcji i udostępnianym na żądanie liście intencyjnym. Sprostowania i odpowiedzi drukujemy jedynie po opublikowaniu w pismach, skąd dokonaliśmy przedruku. Redakcja nie zwraca nie zamówionych materiałów, zastrzega sobie prawo do skrótów i opracowań tekstów. ANGORA płaci autorom za przedruki. REDAKTOR NACZELNY – Paweł Woldan, Tygodnik ANGORA, pl. Komuny Paryskiej 5a, 90-007 Łódź, Polska

HERAUSGEBER IN DEUTSCHLAND
Verlag Matuszczyk KG
Korrespondenz: Luisental 2, 51399 Burscheid
Lieferungen: Luisental 2, 51399 Burscheid

– Redaktion, Verlag:	Tel. 02174 8964480, Fax 02174 8964481 redakcja@angora-online.de
– Anzeigen, Werbung:	Tel. 02382 7667578, Fax 02382 7667579 werbung@angora-online.de
– Abonnements:	Tel. 02174 8964480, Fax 02174 8964481 abo@prenumerata.de

Wojna Rosji z NATO jest prawdopodobna!

Rozmowa z pułkownikiem rezerwy PIOTREM LEWANDOWSKIM

– Czy Rosja może spróbować zaatakować NATO?

– Jest takie prawdopodobieństwo. Tylko nie w celu wszczęcia totalnej wojny z całym Sojuszem, ale w celu jego rozbicia. Byłaby to wojna ograniczona, z licznymi elementami hybrydowymi. Moim zdaniem celem byłyby głównie państwa bałtyckie. Polska w jakimś stopniu też, ale mniejszym. Warunkiem, bez którego Kreml raczej by się na coś takiego nie porwał, jest wycofanie się w jakimś stopniu USA z Europy. Niecałkowicie, ale na przykład zajęcie się konfliktem w Azji czy skupienie się na sprawach wewnętrznych. W takich realiach Kreml jak najbardziej mógłby chcieć doprowadzić do sytuacji, kiedy sprawdzone zostaje, czy artykuł 5 traktatu północnoatlantyckiego działa.

– I czy obywatele państw zachodnich chcą umierać za przykładowy Tallin?

– Tego to Rosjanie nie muszą sprawdzać. Obywatele państw zachodnich, przynajmniej dzisiaj, by nie chcieli. Widać to wprost w wynikach badań opinii społecznej. Na przykład w Holandii tylko 15 procent respondentów wyraża gotowość do obrony własnego kraju. Nie jakichś wschodnich krańców Europy, ale ojczyzny. Gdyby Rosjanie na przykład przeprowadzili ograniczone i szybkie uderzenie na Litwę, zajmując w ciągu tygodnia Wilno, to co by zrobiło NATO? Gdyby nie zareagowało albo pogrążyło się w sporach, to Rosja by już wygrała, osiągając swoje cele polityczne.

– Zakładając, że jednak by zareagowało, przynajmniej wschodnie państwa Sojuszu i kilka kluczowych zachodnich, takie jak USA, Francja i Wielka Brytania, to co by się stało?

– To finalnie tę wojnę wygrałoby NATO. Jego przewaga w wielu sferach jest zdecydowana. Tylko pytanie, ile czasu by to zajęło? Do momentu, kiedy Sojusz się zmobilizuje i naprawdę uwolni swój potencjał, to śmiem przypuszczać, że całe jego wschodnie pogranicze będzie w ogniu. Problem jest taki, że choć w powietrzu i na morzu przewaga NATO jest wyraźna, to na lądzie nie jest już tak różowo. Samo bombardowanie i blokowanie Rosji po wspomnianej wcześniej hipotetycznej inwazji na Litwę nie rozwiązałoby fundamentalnego problemu w postaci tego, że Rosjanie okupują jeden z krajów Sojuszu. Do ostatecznego rozwiązania sprawy potrzeba by wojsk lądowych. Na szczycie Sojuszu w Madrycie w 2022 roku padły deklaracje o konieczności stworzenia sił zdolnych do szybkiego reagowania liczących 300 tysięcy ludzi. Takich mogących wejść do działania w ciągu kilku tygodni. I to by była siła pozwalająca wygrać taką wojnę z Rosją. Niestety, jakoś nie widać konkretnych działań mogących w rozsądnym czasie doprowadzić do pojawienia się tych sił wysokiej gotowości w takiej liczbie. Aktualnie możemy mówić o kilkunastu tysiącach. I to jest nasz podstawowy problem. Dużo deklaracji, dużo słów, za mało działania.

– W 1939 roku Francja, Wielka Brytania czy USA też nie miały specjalnie ochoty walczyć. Jednak postawione pod ścianą walkę podjęły i skończyło się tak, jak się skończyło. Może taka natura demokracji, że nierychliwe, ale kiedy przychodzi co do czego, to potrafią walczyć?

– Tylko pomiędzy 1939 rokiem a kapitulacją III Rzeszy minęło bardzo dużo czasu. Wrócę przy tym do tego, co mówiłem wcześniej o współczesnych społeczeństwach państw Zachodu. Nie ma chyba wątpliwości, że te dzisiejsze są inne niż te w 1939 roku. Znacznie bardziej zróżnicowane i rozbite. Czy potomek algierskich imigrantów mieszkający na przedmieściach Paryża będzie chciał przywdziać francuski mundur i walczyć o Litwę? Nie jestem pewien, choć może byłbym zaskoczony. Zweryfikować to może tylko rzeczywistość. Wracając do meritum, naszym celem nie powinno być powtórzenie lat 1939 – 1945, ale zapobiegnięcie im. Problem w tym, że NATO ogólnie pozostaje ciągle na stopie pokojowej, podczas gdy Rosja przeszła już na wojenną. Ciągle robimy za mało i za wolno, co jest w głównej mierze pokłosiem tego, jakie są społeczeństwa państw Zachodu. Mówimy o NATO jako o jakimś monolicie, podczas gdy to są setki milionów różnych ludzi, których spojrzenie na świat kształtuje politykę ich państw. I większość tych ludzi nie czuje szczególnego zagrożenia ze strony Rosji, co przekłada się na brak specjalnej mobilizacji Sojuszu już teraz.

– Nie można jednak powiedzieć, że NATO nic nie robi. Co więcej, zakładamy pesymistycznie między innymi powszechną bierność członków Sojuszu w obliczu ataku na jednego z jego członków. Przecież w momencie agresji na Ukrainę w 2022 roku Zachód zareagował wręcz odwrotnie, zaskakującą jednością. Wycofanie się USA z Europy to też nic pewnego.

– Bo tak jak zastrzegłem na wstępie, cały czas rozmawiamy o wariancie pesymistycznym. Na taki musimy tworzyć zdolności odstraszania i walki z Rosją, bo przecież nie mamy pewności, co będzie. Jeśli spoczniemy na laurach, to potem może być za późno. Tworzenie potencjału militarnego to proces wieloletni i nie buduje się go z myślą o wariancie optymistycznym. Oczywiście tak jak wspomniałem, zjednoczone NATO ma olbrzymią przewagę technologiczną i sprzętową. Co więcej, żeby próbować tego naszego hipotetycznego ataku na jedno z państw bałtyckich, Rosja najpierw musiałaby doprowadzić do jakiegoś przynajmniej tymczasowego finału wojnę z Ukrainą. W pesymistycznym wariancie może się to stać w perspektywie dwóch lat, jeśli nie zmienią się aktualne warunki, to znaczy brak dalszej mobilizacji w Ukrainie i brak wydatnej pomocy z Zachodu. W tym roku będzie się utrzymywać jeszcze względna równowaga, ale w przyszłym ukraińskie wojsko zacznie wyraźnie tracić potencjał. Głównie z powodu braku żołnierzy. W takim scenariuszu możemy mówić o jakiejś formie zamrożenia konfliktu do końca 2025 roku. Nie wierzę w kompletne zwycięstwo Rosji i stanięcie jej wojsk na granicy z Polską. Jednak wyraźne straty terytorialne i brak potencjału do dalszego utrzymywania skutecznej obrony mogą zmusić Ukraińców do uległości w perspektywie tych dwóch lat.

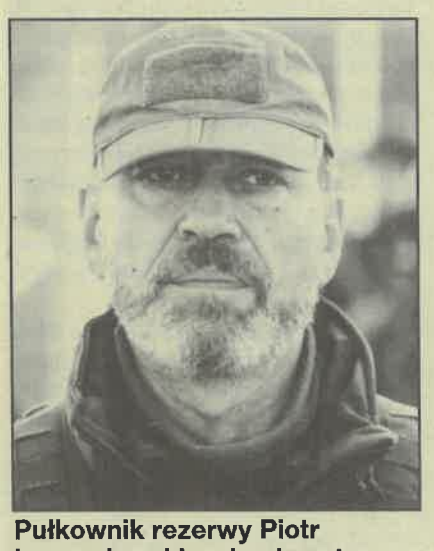

Pułkownik rezerwy Piotr Lewandowski – absolwent Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Rakietowych i Artylerii. Uczestnik misji w Libanie, Iraku i Afganistanie. Obecnie instruktor i wykładowca w Centrum Szkolenia WOT

Fot. Tytus Żmijewski/PAP

Następny rok Rosjanie mogą poświęcić na uporządkowanie swoich sił, które będą już zmobilizowane i rozwinięte po czterech latach wojny.

– Czy tu właśnie dochodzimy do horyzontu dwóch – trzech lat na przygotowanie się do konfliktu z Rosją, o którym często mówi choćby Jacek Siewiera, szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego?

– Tak, bo zgodnie z tym, co mówiłem wcześniej, musimy się szykować na czarny scenariusz. Czyli że za kilka lat będziemy stali naprzeciw zmobilizowanej Rosji gotowej do spróbowania swoich sił w jakimś ograniczonym konflikcie z NATO. Oczywiście nie jest on przesądzony. Nie można wykluczyć, że Rosja jednak ugrzęźnie na dłużej w Ukrainie, jeśli ta otrzyma większą pomoc i się zmobilizuje. Dlatego wspieranie Ukraińców jest w żywotnym interesie całego NATO. To znacznie prostsze i tańsze niż wszystkie inne alternatywy.

– A czy to nie jest tak, że kluczowe państwa Zachodu postanowiły wspierać Ukrainę na tyle, żeby ani nie wygrała, ani nie przegrała, dzięki czemu Rosja ugrzęźnie w tej wojnie na długo i będzie powoli gniła od środka?

– Nawet jeśli tak, to podstawowy problem jest taki, że z perspektywy Ukraińców ta wojna nie może trwać bez końca. Ich zasoby ludzkie wyczerpią się szybciej niż rosyjskie. Nawet jeśli Ukraina teraz się zmobilizuje, to szacowałbym, że wystarczy to na dalsze dwa – trzy lata skutecznego oporu. Potem zacznie on słabnąć. Z drugiej strony są analizy wskazujące, że Rosji też wystarczy na przykład sprzętu pancernego na właśnie dwa – trzy lata przy obecnym poziomie strat, ale nie traktowałbym ich jako pewnik. Jest za dużo zmiennych i niepewności. Znów wracamy do podstawowego założenia, czyli że musimy szykować się na wariant pesymistyczny. Najgorszy.

– No, ale nawet jeśli Rosjanom by wystarczyło sprzętu i ludzi, to staneliby naprzeciw NATO, mając armię powszechnie uzbrojoną choćby w czołgi z głębokiego ZSRR, bo po takie muszą już teraz sięgać z powodu słabości swojego przemysłu.

– Nie ulega wątpliwości, że mielibyśmy w takim potencjalnym starciu ogromną przewagę jakościową. To byłaby inna wojna niż ta w Ukrainie. Tylko wracamy do poruszonej wcześniej kwestii ilości. Rosjanie mieliby może i kiepsko uzbrojone kilkaset tysięcy żołnierzy, ale jakieś 200 tysięcy z nich byłoby względnie doświadczonych i ostrzelanych. To duża wartość. Do tego państwo na stopie wojennej. Natomiast przy kontynuacji obecnych trendów NATO za te kilka lat nadal będzie na stopie pokojowej z może kilkudziesięcioma tysiącami żołnierzy wojsk lądowych gotowymi do szybkiego działania. Dodatkowo my mamy armie złożone głównie z urzędników z domieszką wojowników w wybranych jednostkach traktowanych priorytetowo. Rosjanie przed wojną mieli podobnie, ale po niej będzie odwrotnie. Nam tych wojowników bardzo brakuje i musimy to zmienić.

– To co jeszcze musimy zmienić, żeby ryzyko tego czarnego scenariusza było jak najmniejsze?

– To co wyżej, czyli szkolenie i jeszcze raz szkolenie. Przygotowywanie całych sił zbrojnych na intensywny konflikt symetryczny, w którym straty mogą iść w setki osób dziennie. Bo przez ostatnie dekady myśleliśmy raczej o bardzo specyficznych operacjach ekspedycyjnych gdzieś na odległych krańcach naszego świata. Po drugie, i to jest chyba na razie najważniejszy wniosek z wojny w Ukrainie, znacznie zwiększyć możliwości produkcji amunicji oraz jej zapasy. W 2011 roku, kiedy Francja przystąpiła do operacji nalotów na siły reżimu Mu'ammara Kaddafiego w Libii, to po dwóch dniach zaczęły jej się kończyć bomby lotnicze produkcji amerykańskiej. Przy czym była to bardzo ograniczona operacja asymetryczna. Z takiego poziomu musi się podźwignąć wiele państw NATO.

– W tym zakresie akurat chyba coś robimy. Od USA po Polskę zamawiane są naprawdę duże ilości amunicji artyleryjskiej i trwają inwestycje w zakłady jej produkcji. Przynajmniej w porównaniu z trzema dekadami posuchy po rozpadzie ZSRR.

– Tak, to jest nuta optymistyczna w tej całej sytuacji. Pozostaje jednak jeszcze jedna podstawowa kwestia, która jest już domeną polityków. Czyli praca nad postawą społeczeństw. Przekonywanie ich, że warto już teraz ponosić wyrzeczenia na rzecz obronności, nawet kosztem gorszej jakości życia, bo to i tak będzie mniejsza cena, niż gdyby doszło do wojny z Rosją. Wrócenie do korzeni NATO, czyli organizacji stworzonej do obrony zachodnich wartości i stylu życia przed zagrożeniem ze Wschodu. Zdolności Sojuszu do tej obrony są olbrzymie. Znacznie większe niż Rosji. Nawet sama Europa bez USA ma ogromny potencjał, tylko nie chce go użyć. I choć nie jestem fanem Donalda Trumpa, to akurat zgadzam się z nim, kiedy mówi o państwach europejskich nietraktujących poważnie kwestii zapewnienia sobie bezpieczeństwa. Europa musi się obudzić. Stać nas na to.

MACIEK KUCHARCZYK

Supereksfakty

Fakt napisał, że przemówienie szefa polskiej dyplomacji **Radosława Sikorskiego (61 l.)** w Radzie Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych, będące ostrą reakcją na kłamliwą wypowiedź rosyjskiego ambasadora, wzbudziło słowa uznania na świecie! „(...) Rosyjski ambasador przy ONZ Wasilij Nebenzia, zabierając głos w przededniu rocznicy rosyjskiej inwazji na Ukrainę, opowiedział o rzeczywistości, w którą wierzy Putin i jego poplecznicy. Oskarżał kraje Zachodu między innymi o to, że są *więźniami rusofobii*. Jak zareagował na to Sikorski? Zapowiedział, że wyprostuje pewne fakty, a później zaczął – punkt po punkcie – rozkładać słowa rosyjskiego ambasadora na czynniki pierwsze, wyliczając kłamstwa i manipulacje. – *Nebenzia mówił, że jesteśmy więźniami rusofobii. Fobia oznacza nieracjonalny strach. Tymczasem otrzymujemy groźby zagłady jądrowej prawie każdego dnia ze strony prezydenta Rosji i propagandystów Putina. Twierdzę, że to nie jest nieracjonalne (...). On nazywa Ukrainę klientem Zachodu. W rzeczywistości Kijów walczy, by być niepodległy (...). On nazywa ich nazistami. Cóż, ich prezydent jest Żydem, ich minister obrony muzułmaninem i nie mają więźniów politycznych. On mówi, że Ukraina tapla się w korupcji. Cóż, Aleksiej Nawalny udokumentował, jak czysty i pełny uczciwości jest jego kraj.*

On obwinia o wojnę neokolonializm USA. W rzeczywistości to Rosja próbowała eksterminować Ukrainę w XIX w., potem robili to bolszewicy, a teraz mamy trzecią próbę – wytykał Rosjaninowi Sikorski. Szef polskiej dyplomacji był zdumiony kłamstwami Rosjanina, który oskarżył Polskę o to, że nasz kraj zaatakował ZSRR w drugiej wojnie światowej. – *O czym on mówi?* – grzmiał Sikorski. – *To Związek Sowiecki razem z nazistowskimi Niemcami zaatakowali Polskę we wrześniu 1939 r. Nawet przeprowadzili wspólną paradę zwycięstwa! Mówi, że Rosja zawsze tylko walczyła z agresją. Co robiły sowieckie wojska pod Warszawą w 1920 r.? Czy były na wyprawie topograficznej?* – pytał Sikorski, po czym przeszedł do wyliczania rosyjskich klęsk.

Przypomniał, że Rosja poniosła wiele porażek – wymienił tu m. in. wojnę krymską, polsko-bolszewicką, wojnę rosyjsko-japońską czy wojnę w Afganistanie i dodał, że *na szczęście po tych klęskach przychodziły reformy. – To, co udało się ambasadorowi, to przypomnienie nam, dlaczego opieraliśmy się sowieckiej dominacji i dlaczego Ukraina opiera się teraz. Nie udało im się nas podporządkować i nie uda się im podporządkować sobie Ukrainy* – skwitował szef MSZ (...)".

KATARZYNA GORZKIEWICZ

NATO bez Ameryki

Gdy Donald Trump podczas swojej kampanii przedwyborczej powiedział, że nie będzie chronił państw sojuszu północnoatlantyckiego, które za mało płacą na obronność, nie powiedział nic nowego. Kwestię finansów podkreślał nieustannie już za swojej pierwszej kadencji. Ale kiedy dodał, że zachęci Rosję, by z tymi krajami *robiła, co chce*, powiało grozą. 25-sekundowy fragment oświadczenia odbił się echem na całym świecie.

Sekretarz generalny NATO **Jens Stoltenberg** oskarżył Trumpa o podważanie podstaw sojuszu. Stwierdził, że taka retoryka *naraża amerykańskich i europejskich żołnierzy na zwiększone ryzyko,* ponieważ ośmiela Rosję. Co więcej, Trump nie zauważa, że sytuacja się zmieniła. W 2024 roku aż *18 sojuszników wyda 2 proc. swojego PKB na obronę*. Według Stoltenberga europejskie państwa zainwestują łącznie 380 miliardów dolarów, co daje właśnie 2 proc. ich wspólnego produktu krajowego brutto. Nawet Niemcy, które mają najniższe wydatki wojskowe spośród wszystkich członków, deklarują ich zwiększenie do ponad 2 proc. PKB, czyli 68,58 mld euro, twierdzi agencja DPA. Osiągną ten wynik po raz pierwszy od czasu zimnej wojny. Niemiecki minister obrony **Boris Pistorius** twierdzi, że inwestycje w armię nie powinny mieć nic wspólnego z Trumpem, i radzi, aby przestać patrzeć na niego jak *króliki na węża.* Pora działać, oznajmia transatlantycki koordynator niemieckiego rządu, **Michael Link**. Ważne, by *UE i NATO przygotowały się na wszystkie prawdopodobne scenariusze oraz zrobiły wszystko, co w ich mocy, żeby były bardziej zdolne do działania i konkurencyjne*. Wizja drugiej prezydentury Trumpa mobilizuje Europejczyków. – *Jeśli chce się zmniejszyć prawdopodobieństwo, że pod jego rządami USA wycofają się z NATO, trzeba coś zrobić z podziałem obciążeń. A poza tym, jeśli Europa chce odgrywać ważną rolę w świecie, będzie musiała inwestować więcej w obronę, ponieważ świat staje się coraz mniej bezpieczny* – tłumaczy analityk amerykańskiego rządu **Bart Kerremans**. Były i prawdopodobnie przyszły gospodarz Białego Domu znów zachwiał wiarą w lojalność Ameryki. Szczególnie w krajach sąsiadujących z Rosją. – *Z Trumpem wszystko może się zdarzyć* – mówi przewodniczący litewskiej sejmowej komisji spraw zagranicznych **Żygimantas Pavilionis**. Jego estoński odpowiednik **Marko Mihkelson** wyznaje z rezygnacją: – *Niestety, Trump nie zaskakuje. Obecna kampania prezydencka tylko potwierdza, że nie zmienił swojego lekkomyślnego stosunku do sojuszników. Jest zatem bardzo wygodnym narzędziem dla putinowskiej Rosji.* Świat wyraża zaniepokojenie i oburzenie, Europa się mobilizuje, tylko polski prezydent jest spokojny, ponieważ, jego zdaniem, słowa Trumpa *nas nie dotyczą. Dzięki mądrej i dalekowzrocznej polityce ostatnich ośmiu lat, my wydajemy na obronność 4 proc. PKB. Dzięki temu Polska jest i będzie bezpieczna!* – ogłasza **Andrzej Duda** na Twitterze (obecnie X). Media spekulują, co by się stało, gdyby USA pozostawiły Europę własnemu losowi. *Europejczycy nie byliby zdolni do wojny* – pisze niemiecki „Stern". – *Bez amerykańskich satelitów wojskowych, dronów rozpoznawczych i służb wywiadowczych byliby w dużej mierze ślepi i głusi (...). Na wypadek wojny wszechpotężna Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych ma za zadanie utrzymywać szlaki morskie i Atlantyk w czystości (...). Sami Europejczycy mieliby ogromne trudności*

Praworządność stała się nic nieznaczącym wytrychem publicystycznym

Sędziowie lepszej zmiany

NIE Nr 6. Cena 7,90 zł

Obywatel ma gdzieś, czy wydumane przez profesorów prawa definicje praworządności popiera minister Bodnar, sędzia Markiewicz z Iustitii czy sędzia Manowska z Sądu Najwyższego. Obywatela trafia szlag, gdy milion razy słyszy o wolnych sądach. Obywatel chciałby sądów szybkich.

Już taki jestem...

Tymczasem dziś frankowicze procesujący się z bankami przez ponad pół roku czekają, by sąd łaskawie i zgodnie z orzeczeniem TSUE pozwolił im nie nadpłacać spłaconych zobowiązań. Na kilka zdań uzasadnienia wyroku sędzia potrzebuje więcej niż cztery miesiące. Na pierwsze rozprawy czeka się ponad rok. Tak wynika z krótkiego przepytania zaprzyjaźnionych prawników.

Ministerialna statystyka pokazuje, że jest nieco lepiej. Między rokiem 2015 a 2022 średni czas trwania postępowań w sądach rejonowych wydłużył się o 1,7 miesiąca – z 4 do 5,7 miesiąca. W sądach okręgowych wydłużył się o 1,1 miesiąca – z 8,4 do 9,5 miesiąca. A co najciekawsze, liczba spraw zmniejszyła się w tym czasie o 1,7 mln – z 6,5 mln do 4,8 mln. Dla większości Polaków niemających bladego pojęcia, czym różni się sędzia od neosędziego, to jest klucz do postrzegania praworządności. To dzięki temu, a nie przepychankom z neo-KRS, każdy widzi, że osiem lat Ziobry w sądownictwie było porażką.

Izba Cywilna Sądu Najwyższego w Warszawie podjęła decyzję w sprawie nieważności rozwodów w Polsce. Według uchwały rozwody, w których skład orzekający stanowili jeden sędzia i dwóch ławników, zostały uznane za nieważne. Decyzja dotyczy zarówno spraw niezakończonych do 3 lipca 2021 r., jak i tych wszczętych między 3 lipca 2021 a 14 kwietnia 2023 r. Strony postępowań zakończonych w tych widełkach czasowych muszą teraz rozważyć wniesienie o ich wznowienie. Kilkadziesiąt tysięcy ludzi, którzy zdążyli już sobie poukładać życie po rozwodzie, nagle dowiaduje się, że wciąż mają niegdysiejszych mężów czy żony.

Na sądownictwo w Polsce idzie ponad 0,5 proc. PKB. To dwuipółkrotnie więcej niż w większej części cywilizowanej Europy. Sędziowskie zarobki zaczynają się od 15 tys. zł miesięcznie. Dzięki covidowi runęła największa bariera ograniczająca przepustowość sądów, czyli kwestia dostępności sal rozpraw, na które czekało się miesiącami. Teraz mnóstwo posiedzeń odbywa się dzięki łączom internetowym i transmisjom wprost z gabinetu sędziego, a nie sali rozpraw. Wszystko zatem powinno śmigać. Ale nie śmiga. Ile razy zdarza mi się rozmawiać z jakimś sędzią telefonicznie, to z reguły siedzi przy biurku i wypisuje zawiadomienia o rozprawach, wezwania do stawiennictwa lub cokolwiek innego, co mogłaby robić jego asystentka. Tyle że takiej asystentki nie ma. Z reguły bowiem jedna przypada na pięciu, sześciu sędziów. Wobec tego robotę, którą mogłaby wykonywać osoba po maturze za 4 – 5 tys. zł miesięcznie, musi robić ktoś, na kogo podatnik wydaje cztery razy więcej. Sędzia, zamiast siedzieć w aktach i dumać nad sprawą, zajmuje się – przez dwie trzecie swojego czasu pracy – wypisywaniem kwitków.

Artykuł 176 konstytucji powoduje, że większość sędziów nie musi znać akt sprawy. W trakcie rozpraw może spać albo myśleć o zbliżającym się weekendzie. Pozwala na to zapis stanowiący, że „postępowanie sądowe jest co najmniej dwuinstancyjne". Dlatego sędziowie z sądów pierwszej instancji, zamiast główkować nad werdyktem, mogą sobie rzucać monetą. Czy postanowią tak, czy inaczej, sprawa i tak trafi szczebel wyżej, gdzie znów będzie rozpoznawana. Sędziowie drugiej instancji też nie muszą się wysilać i czytać wszystkich akt. Na chybił trafił otwierają pierwsze z brzegu i zawsze znajdują coś, co skutkuje wyrokiem mówiącym, że sprawa na nowo ma trafić do pierwszej instancji. Spychotechnika sędziowska może trwać i trwać. Głównie dlatego, że sędziom – w przeciwieństwie do saperów – błędy nie szkodzą.

O tych wszystkich faktach i zasadach działania sądów i sędziów wiedzą wszyscy związani z wymiarem sprawiedliwości. Wiedzą też władze ministerstwa, Sąd Najwyższy i oczywiście sędziowie ze stowarzyszeń sędziowskich. I – bez dwóch zdań – dobrze im z tym.

Rzeczy sedno

PiS, wygrywając w 2015 r., stawiał dobrą diagnozę sądownictwa. Ziobro

z utrzymaniem wolności Atlantyku. Istniałoby ryzyko odcięcia całej Europy od handlu światowego (...). Jeśli chodzi o siły konwencjonalne na lądzie i w powietrzu, obecność USA robi różnicę (...). Na przykład czołgi podstawowe – USA mają 5500 jednostek, Niemcy, Wielka Brytania, Francja i Włochy razem wzięte nieco ponad 900.

Lecz czy Trump naprawdę byłby gotów nie dotrzymać zobowiązań traktatowych? Według „Sterna" może zrobić coś innego – *wysłać na śmietnik* sojusz północnoatlantycki, ale nie Europę – przynajmniej nie całą. *Natychmiast utworzyłby nowy sojusz obok starego NATO i powtórzyłby w swoim nowym klubie amerykańskie gwarancje bezpieczeństwa dla państw. Wszystkie kraje musiałyby wówczas rozważyć, kto tak naprawdę ochroni je w sytuacji kryzysowej – Berlin czy Waszyngton? W tym sojuszu obowiązywałyby nowe zasady gry (...). „Lojalne" i chętne państwa byłyby mile widziane. Na przykład Polska, Finlandia i kraje bałtyckie.*

Amerykański dziennikarz **Jim Sciutto** w książce „Powrót wielkich mocarstw", która ukaże się 12 marca, cytuje byłego urzędnika administracji Trumpa i Bidena. Urzędnik prognozuje, że zwycięstwo Trumpa będzie oznaczało *wyjście USA z NATO*.

(EW)

Rys. Tomasz Wilczkiewicz

wykrzykiwał, że „nie można dłużej tolerować ciągnących się latami postępowań sądowych. Nie wolno już przymykać oczu na kolejne ujawniane afery świadczące o niskim poziomie etycznym i braku niezależności sędziów. Dość ich arogancji, z którą na salach rozpraw spotyka się zbyt wielu Polaków. Przewlekłość procesów to przyczyna dramatów Polaków, którzy nie mogą się doczekać sprawiedliwości przed sądem, a także wydatków państwa, które musi wypłacać z tego powodu coraz wyższe odszkodowania". Politycy PiS zadbali, by gazety pełne były zdjęć ponętnej blondyny z rozpuszczonym włosem pod tytułem „Sędzia zatrudniała swojego kochanka!" albo „Prezes sądu do celi za mąchloje?!".

Ziobro wyczuł, że tzw. kontradyktoryjność w postępowaniach karnych pogrąży Platformę, która ją wprowadziła. Chodziło o to, że sędzia miał w trakcie procesu tylko słuchać adwokata, prokuratora, świadków, ofiar i oskarżonych. Nie mógł zadawać pytań, tylko słuchał. Ponieważ prokurator w sądzie rzadko kiedy miał pojęcie o sprawie, bo jej po prostu nie znał, to taki tryb postępowania faworyzował bogatych gangsterów, których było stać na najlepszych obrońców. Ci zaś na sali sądowej robili z prokuratora wiatrak. Dlatego jedną z pierwszych decyzji PiS po objęciu władzy było odrzucenie kontradyktoryjnej sprawiedliwości tylko dla bogatych.

To chyba jedyna reforma Ziobry, co do której nikt rozsądny nie miał zastrzeżeń. Do tego stopnia, że dziś żadna ze stron sporu o kontradyktoryjności w procesie karnym nie wspomina. Wszystkie pozostałe reformy Ziobry były złe i bardzo złe. Nawet pomysł kontrolowania i dyscyplinowania sędziów skończył się tym, że swoi mogli robić, co im się chciało, a na tych z drugiej strony, nawet jak nic złego nie zrobili, zawsze znalazł się jakiś paragraf. O przewlekłości postępowań po 2017 r. Ziobro jakoś już nie wspominał.

I dobrze mi z tym

Jak wiadomo, Iustitia walczyła o sędziów i praworządność przez wszystkie lata władzy PiS. Gdy sondaże jęły wskazywać klęskę PiS, towarzystwo zaczęło przebierać nogami. No bo któż mógłby być bardziej godzien ministerialnych stołków niż nieulękli bojownicy walk o wolne sądy? Jakież musiało być wśród nich rozczarowanie, gdy okazało się, że nie dość, że ministrem został Adam Bodnar, to nie wziął z Iustitii nikogo.

To stąd biorą się wyciągane teraz na siłę przez media tarcia między stowarzyszeniami sędziowskimi a Bodnarem. PiS nie do końca nie miał w kwestii upolitycznionych sędziów racji. Towarzystwo to z racji fachu pieniądze już miało. Jedyną ambicją było więc dla części z nich wzięcie władzy. Po co ją mieli brać?

Na tak postawione pytanie odpowiadają projekty reform wymiaru sądownictwa. Iustitia proponowała, że KRS ma być tak samo wybierana jak przed laty. Ale oprócz nominowania sędziów KRS miałaby się zająć nadzorem nad pracą sądów, który powinna prowadzić wraz z prezesami sądów. Oznaczałoby to wyłączenie tego nadzoru z kompetencji ministra sprawiedliwości. Sędziowie nie mieliby zatem nad sobą choćby symbolicznego bata. Sądziliby się i oceniali wzajemnie.

A ponieważ projekt Iustitii przewidywał weryfikację sędziów powołanych przez obecną KRS, to tylko idiota nie dostrzegłby paraleli z tym, co zrobił Ziobro. Znów byliby swoi i tamci. Oczywiście projekt kasował byt izb Sądu Najwyższego powołanych przez PiS, a służących karaniu i dyscyplinowaniu sędziów.

Wojciech Markiewicz, szef Iustitii, dopytywany przez media o to, co zamiast nich, odparł: „W ich miejsce nic nie powstanie. Sąd Najwyższy przez długie lata radził sobie bez nich, także w sprawach dyscyplinarnych, dlatego poradzi sobie i teraz". Czy w ten sposób środowisko sędziowskie dba, żeby programowi „Kasta" w TV Republika rosła oglądalność?

Bez dwóch zdań

Nie ma się więc co dziwić Tuskowi i Bodnarowi, że panom i paniom z Iustitii podziękowali. Minister woli sam walczyć o praworządność. Stąd jego projekt ustawy o KRS i ostry atak na tę propozycję ze strony odzianych w togi bojowników wolnych sądów. Oczywiście nie budzi sprzeciwu proponowany przez Bodnara zapis, że sędziowie będą wybierani do rady przez sędziów w wyborach bezpośrednich i w głosowaniu tajnym. Do obsadzenia byłoby – jak teraz – 15 miejsc dla sędziów z czteroletnią kadencją. Iustitia zgłosiła szereg innych uwag do projektu, twierdząc, że w obecnej postaci nie zapewnia on sądom wystarczającej niezależności, a konieczne są znacznie szersze zmiany. Nie podoba się stowarzyszeniu, że ktoś spoza grona sędziów będzie patrzył KRS na ręce. Bodnar bowiem planuje, że po skompletowaniu apolitycznej Krajowej Rady Sądownictwa ryzyko ewentualnych nacisków politycznych ma zostać zredukowane poprzez utworzenie obok niej Rady Społecznej, odpowiedzialnej za ocenę kandydatów uczestniczących w konkursach na stanowiska sędziowskie. W skład tej rady mieliby wchodzić przedstawiciele samorządów prawniczych, prokuratorzy, rzecznik praw obywatelskich oraz trzy osoby rekomendowane przez prezydenta, pochodzące spośród przedstawicieli organizacji pozarządowych.

Ponieważ KRS trzeba zmienić ustawą, to przez półtora roku z powodu weta Dudy i tak nie ma na to szans. Przez ten czas, zamiast rozsnuwać prawniczy bełkot o odzyskanej praworządności i wolnych sądach, ministerstwo i sędziowie mogliby więc chociaż zrobić coś, co sądzenie przyspieszy.

TADEUSZ JASIŃSKI

Supereksfakty

Super Express podał sensacyjną wiadomość: **Ryszard Petru (51 l.)** się ożenił! Jego wybranką jest była posłanka Nowoczesnej **Joanna Mihułka (45 l.)** primo voto Schmidt. „(...) Petru ze swoją żoną zna się od lat. Jeszcze jako Joanna Schmidt w 2015 r. była jedną z organizatorek i liderek założonego przez niego ugrupowania o nazwie *Nowoczesna*. Następnie została posłanką i w marcu 2016 r. wiceprzewodniczącą klubu. W 2018 r. również wraz z Ryszardem Petru i Joanną Scheuring-Wielgus ogłosiła utworzenie nowego ugrupowania *Teraz!* Ale małżonków łączy nie tylko polityka – Joanna Mihułka-Petru, podobnie jak jej obecny mąż, jest z wykształcenia ekonomistką, jak również menedżerką. Mimo że Petru i Mihułka mają już na swoim koncie małżeństwa, to jednak postanowili dać sobie jeszcze jedną szansę i znów powiedzieć słynne: *tak*! Para miała pobrać się już w połowie lutego, jednak trzymała to w tajemnicy. Przypomnijmy, że zrobiło się o nich głośno, kiedy politycy w 2017 r. zostali uchwyceni przez media podczas wspólnej podróży na Maderę. To wydarzenie wywołało wiele kontrowersji, jednak jak się dowiedzieliśmy, polityk był już w separacji z ówczesną żoną. – *We wrześniu wzięłam rozwód. A w październiku Ryszard Petru wyprowadził się z domu. Jesteśmy razem. Ryszard był w trakcie separacji, a teraz jest w trakcie rozwodu. To Ryszard złożył pozew rozwodowy* – mówiła wówczas Joanna Mihułka, wtedy jeszcze Schmidt (...)".

* * *

Danuta Wałęsa (75 l.), od lat żona **Lecha Wałęsy (80 l.)**, przez lata milczała na temat tego, jak wygląda jej małżeństwo. „Najpierw była zajęta domem i wychowaniem dzieci, potem, gdy została pierwszą damą, jej życie zupełnie się zmieniło. Jednak z biegiem czasu w Danucie zaczęło dojrzewać przekonanie, że musi w końcu wyznać prawdę. W jednym z wywiadów z 2013 roku, na łamach miesięcznika *Focus* wyznała szczerze, że *prawdziwym* małżeństwem z Lechem Wałęsą była tylko niewiele ponad dekadę: – *Takim prawdziwym małżeństwem byliśmy przez 11 lat. Do Sierpnia '80. Porównywałam naszą rodzinę do dłoni zaciśniętej w pięść. Wraz z powstaniem «Solidarności» ta pięść się rozwarła i wszystko się rozlało. Rodzina pozostała, ale była już inna. Był mąż i ojciec, ale już nie ten sam. Rodzina była tylko obok niego. Dzieci były, bo były*. Jak wtedy otwarcie dodała Danuta Wałęsa, mąż po prostu związał się z... opozycją antykomunistyczną: – *Mąż związał się z opozycją, wolnymi związkami pod koniec lat 70. To nie była nasza wspólna decyzja. To była jego wola. O niczym mnie nie informował* – wspominała wówczas. Przyznała też w przytoczonym wspomnianym wywiadzie, że mąż nie chciał jej mocno angażować w swoje polityczne sprawy: – *Z mężem dużo nie rozmawialiśmy. On wyznawał zasadę, że im mniej wiem, tym lepiej dla mnie i dla rodziny. Nie chciał, żebym jako żona i matka się martwiła*. Ostatnie lata jednak mijają Wałęsom w zgodzie, oboje się wspierają, bo wiedzą, że długie lata już za nimi i trzeba cieszyć się każdą chwilą (...)" – czytamy na łamach *Super Expressu*.

KATARZYNA GORZKIEWICZ

Z ŻYCIA SFER POLSKICH

Henryk Martenka

Joker

Gdy 15 października opozycja kierowana przez Tuska wygrała wybory, Aleksander Kwaśniewski orzekł, że do polityki polskiej wszedł zawodnik wagi ciężkiej. Po doświadczeniach w Komisji Europejskiej, zaznajomiony z regułami polityki globalnej, na tle przaśnej demokracji polskiej Tusk jawił się rzeczywiście jak mocarz. Ale szef drużyny wie, że wygrywa się zespołem. Tusk wprowadził na boisko innego zawodnika wagi ciężkiej, Sikorskiego, oddając mu pole, na którego uprawie ten zna się lepiej niż ktokolwiek.

Było tylko kwestią czasu, by Sikorski błysnął. Pobyt w Stanach Zjednoczonych okazał się pretekstem do popisu, który Sikorskiemu przyniósł rozgłos, a Polsce szacunek. Ba! Każde publiczne wystąpienie polskiego ministra zwracało uwagę amerykańskiej, czyli światowej, opinii publicznej. Najgłośniejsze okazało się czterominutowe wystąpienie w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, które dało Sikorskiemu możliwość pokazania się jako błyskotliwy mąż stanu, erudyta, wyrazisty polityk, odważnie odstający od bezbarwnych kosztownych dyplomatów, niepotrzebnie wypełniających nowojorski gmach przy East River. Stały przedstawiciel Rosji w Radzie Bezpieczeństwa, ambasador Wasia Nebenzia, wygłosił typowe dla radzieckiej dyplomacji długie przemówienie, pełne kłamstw i dezinformacji, po czym swoim zwyczajem opuścił salę, byle nie słuchać polemik czy takich tam. Nebenzia zasłużenie cieszy się w ONZ opinią, jaką Napoleon opisał Talleyranda: „gówno w jedwabnych rajtuzach", ale nikt tego głośno dotąd nie powiedział. Może dlatego, że Nebenzia nie daje sam sobie szansy, by to usłyszeć? To dlatego Sikorski nie zwracał się wprost do moskiewskiego aparatczyka, co nadałoby jego filipice jeszcze mocniejszy wyraz, ale mówił o tym nieodrodnym synu Mołotowa, Gromyki i Ławrowa w trzeciej osobie jak do lokaja. Czy mówił? Rżnął kacapa prosto w łeb, wymierzając mu celne i bolesne ciosy, co nadzwyczajnie spodobało się publice, a cytowały to media na całym świecie, więc tu ich powtarzał nie będę. Polski dyplomata okazał się nie tylko znawcą dziejów Europy, czym zaimponował wszystkim, lecz także praktykiem, odwołującym się do własnych doświadczeń z Ukrainy. Żałuję tylko, że nie sięgnął do czasu spędzonego w Afganistanie, gdzie ponoć był wojennym korespondentem, choć najładniej wychodził na zdjęciach z kałasznikowem w ręku. Sikorski jest raczej kondotierem-intelektualistą niż reporterem opisującym wojenne dramaty, niemniej jego relacje spod Heratu ciągle świetnie się czyta. W nowojorskim wystąpieniu, które zmiażdżyło Ruska, czuło się dezynwolturę Lawrence'a z Arabii, kultowej postaci wykraczającej poza przypisaną mu rolę. Poza rutynową rolę wyszedł w Nowym Jorku także Sikorski, a rolą, jaką zagrał, był joker. Nie ten znany, filmowy, ale zwykły, karciany. Sikorski stał się w światowej grze kartą, która jak w wielu grach, zastępuje inne.

O brawurowym wystąpieniu, które Polsce pozwoliło na zdobycie kilku znaczących marketingowych punktów, internauci pisali z podziwem: „Gość wymiata", „Też jestem dumna", „Fenomenalne przemówienie"... Chwalili Sikorskiego Amerykanie, Szwedzi, Gruzini, Ukraińcy. Jan Wojciech Piekarski, polski dyplomata, pisze: – *Wymieniłbym wszystkich od 2006, którzy z ramienia PiS-u sprawowali tę funkcję i nie bardzo dało się zauważyć ich aktywność. To: Anna Fotyga, Witold Waszczykowski, Jacek Czaputowicz, Zbigniew Rau. Przed Sikorskim takie uznanie na forum międzynarodowym miał chyba tylko Bronisław Geremek. Dobry początek do zmiany pozycji Polski. – Było to coś, czego chyba jeszcze nie widzieliśmy w naszej współczesnej dyplomacji* – westchnął na antenie RMF zachwycony amerykański korespondent stacji Paweł Żuchowski.

Można traktować entuzjazm wielbicieli kurtuazyjnie, ale Sikorski dał ognia przede wszystkim po to, by z uważanego przez wielu prestiżowego forum zdyskredytować kłamstwa Rosji w opinii tzw. globalnego Południa, czyli państw, na które wpływ ciągle ma Moskwa i które z jakichś powodów uważają, że wojna w Ukrainie ich nie dotyczy. Odwaga Sikorskiego otwiera im oczy i być może skłoni do myślenia.

Wystąpienie ministra sprowokowało też polityków PiS-u, z których każdy nie-

Hejtem po oczach

26 lutego upubliczniono tajne dotychczas założenia ustawy o mediach obywatelskich. Poznaliśmy je przy okazji debaty zorganizowanej przez Fundację Batorego z udziałem autorów, badaczy mediów, dziennikarzy oraz polityków rządzącej koalicji. Najważniejsze założenia można sprowadzić do kilku: likwidacji Rady Mediów Narodowych, reformy Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, zapewnienia niezależności dziennikarskiej, połączenia regionalnych rozgłośni Polskiego Radia i ośrodków TVP, nowego sposobu finansowania mediów publicznych z budżetu i tzw. składki audiowizualnej. Założenia projektu przewidują również odpolitycznienie mediów publicznych (sposobu wyboru władz).

Z pewnością rację mają członkowie zespołu eksperckiego (m.in. Jan Dworak oraz profesorowie Stanisław Jędrzejewski i Tadeusz Kowalski), którzy, diagnozując minione 8 lat, stwierdzili, że „Media publiczne, zamiast zgodnie z ustawowymi powinnościami cechować się pluralizmem, bezstronnością, wyważeniem i niezależnością, stały się narzędziem propagandy politycznej". Stanowiska kierownicze obsadzane są wedle zasad nomenklatury politycznej, a dziennikarze „zamiast tworzyć wiarygodne i niezależne treści wysokiej jakości, realizują linię polityczną wyznaczaną przez zarządy". Od dawna powtarzam, że uwolnienie mediów od polityków jest konieczne, aby można było mówić o mediach obywatelskich czy odpolitycznionych mediach publicznych. Tylko takie media zagwarantują rozwój pluralizmu i demokracji w Polsce. A co proponują autorzy projektu? Jak sobie radzą z tym wyzwaniem?

Kluczowa w całym systemie medialnym jest rola Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, która, zanim utworzono ustawą z 2016 r. Radę Mediów Narodowych, powoływała członków rad nadzorczych mediów publicznych, które z kolei wybierały zarządy spółek, zatwierdzane przez KRRiT. Przypomnę, że członkowie KRRiT, w sumie pięciu, są wskazywani przez Sejm (2), Senat (1) i prezydenta (2). W nowej ustawie byłoby ich sześciu, ale nadal wybierani byliby przez polityków. Powrót do tego stanu oznaczałby ugruntowanie wpływów polityków i przeczyłby idei odpolitycznieniá mediów publicznych. Autorzy projektu proponują włączenie przedstawicieli społeczeństwa obywatelskiego (organizacji pozarządowych, stowarzyszeń twórczych i zawodowych oraz uczelni wyższych) w proces powoływania członków zarządów mediów publicznych. Utworzone zostałyby w tym celu tzw. rady powiernicze, które miałyby zapewnić pluralizm i niezależność mediom publicznym. Jednak te założenia stały się obiektem krytyki ze strony dyskutantów w czasie wspomnianej debaty. Jacek Żakowski z „Polityki" pytał o konkretne kryteria powoływania owych rad, a Jacek Snopkiewicz, przez wiele lat związany z telewizją publiczną, mówił, że „politycy cały czas kiwają nas", kwestionował wybór obecnych władz TVP i upominał się o konkursy na stanowiska. Kropką nad i była wypowiedź byłego korespondenta „Financial Times" Krzysztofa Bobińskiego, że „politycy nie są potrzebni w mediach, zwłaszcza publicznych" i trzeba ich od mediów „daleko trzymać".

Ważnym wątkiem debaty była też sprawa niezależności dziennikarskiej. Osobiście zgadzam się jak najbardziej z opinią Doroty Nygren ze Stowarzyszenia Dzien-

KLIKA KABARET AUTORÓW

Marek Sobczak & Antoni Szpak

CHORY SZPITAL

Reforma służby zdrowia nie zna granic ni kordonów – *trwa i trwa mać*! Trzydzieści pięć lat uzdrawiania *poszło jak w zlew*! Każdy z ministrów, a *było ich od wuja i ciut, ciut*, zaręczał, iż WIE, jak doprowadzić reformę do jej szczęśliwego zakończenia – *postawienia służby zdrowia z głowy na nogi*! Niestety, była to wyłącznie ***chwalaczka zakaźna*** – czcza paplanina! Wszelkie zabiegi, kuracje, eksperymenty uzdrawiające kończyły się fiaskiem – kompromitacją ministra. Przykro to mówić, ale służba zdrowia zdaje się nieuleczalnie chora! Doskwiera jej nie tylko zapaść finansowa. Cała jest poobijana i obolała – ledwo zipie! *To widać, słychać i czuć*! **Pieniądze miały iść za pacjentami**, a poszły za lekarzami i to nie za wszystkimi, tylko tymi z *wierchuszki*! Finansowe dopieszczanie *baronów* służby zdrowia nie podoba się schorowanemu, zmęczonemu, *ciemnemu ludowi*! Wyrazem owego niezadowolenia jest głośne nawoływanie do ujawnienia zarobków! Owo wzywanie lekarzy do transparentności zawiera się w kilku prostych słowach płynących z głębi serca pacjentów ***Pokaż lekarzu, co masz w garażu***! Chrześcijańska, nachalna ciekawość *ludu pracującego miast i wsi*, okupującego państwowe, bezpłatne (hi, hi) przychodnie i szpitale nie została do tej pory zaspokojona! Ponoć lekarska arystokracja nie ma głowy do zajmowania się takimi *pierdołami* jak wynagrodzenie. Zresztą po co o tym gadać, skoro wszystkim wiadomo, że nie ma takich zarobków, które w pełni zadowoliłyby znaną z katorżniczej roboty lekarską *kastę*! Obecnie zadłużoną, niewydolną służbą zdrowia zawiaduje minister Izabela Leszczyna! Czy da sobie radę, czy polegnie, czas pokaże. Chciałbym, żeby jej misja zakończyła się sukcesem, żeby służba zdrowia wyszła na prostą, żeby pacjenci nie musieli się przyglądać, jak ich szpital z powodu niesnasek i chorych ambicji lekarzy traci swoją renomę, chyli się ku upadkowi.

Z takim właśnie karygodnym wydarzeniem mam do czynienia w mojej ukochanej Bydgoszczy. Z przerażeniem patrzę, jak cieszący się dobrą opinią Wojskowy Szpital Kliniczny dowodzony przez płk. dr. n. med. Sławomira Wawrzyniaka, a obecnie kierowany przez płk. dr. n. med. Roberta Szyca, dołuje, grzęźnie w problemach i kłopotach! Z tego, co mówią przejęci złą sytuacją lekarze owego szpitala, pierwotnym źródłem niekorzystnych zmian były zaburzenia relacji interpersonalnych! Rozsiewanie kłamstw, tudzież próby skonfliktowania, zastraszania członków zespołu lekarskiego. Stałą praktyką było szykanowanie i dyskredytowanie medyków w oczach innych pracowników szpitala i osób postronnych. **Konflikt w klinice narastał z dnia na dzień. W efekcie część lekarzy zwolniono, a część odeszła – łącznie 40 specjalistów, w tym dwóch profesorów. Z pracą pożegnała się również ponad połowa kierowników kliniki i oddziałów. Mało tego, nowo wybudowany blok operacyjny przez prawie dwa lata stał pusty i niewykorzystany. Obecnie z czterech sal operacyjnych funkcjonuje tylko jedna!** Tyle z grubsza o *piekiełku* panującym w renomowanym wojskowym szpitalu! Sądzę, że rozkład bydgoskiej lecznicy nie jest czymś wyjątkowym, niespotykanym. Z zazdrością, zawiścią i ludzką głupotą zmaga się w Polsce wiele placówek służby zdrowia! ZGROZA!

ANTONI SZPAK

PS Kwitnie nam *ośla łąka* opieki zdrowotnej!

nawidzi Sikorskiego proporcjonalnie do własnej wartości. – *Coś, co ładnie wygląda od strony medialnej, często nijak się ma do faktycznych działań* – wysnuł były wiceminister spraw zagranicznych Mularczyk, po czym zanurkował w opary absurdu. – *W momencie kiedy toczyła się wojna, gdy Rosja atakowała Kijów, nie widziałem ani Tuska, ani Sikorskiego w Kijowie. A w tym czasie, dwa miesiące później, był tam prezes Kaczyński i premier Morawiecki*. Gdy ma się figury tak niemądre jak Mularczyk, trudno się odeń nie odróżniać, ale Sikorski i tak gra w innej lidze.

Ligę okręgową uosabia pisowski poseł Szrot, chłopina do tego stopnia bezbarwna, że aby ktoś go dostrzegł, musi wołać, że jest z policji. Tenże Szrot mędrkuje: – *Wolałbym prześledzić jego więcej działań, więcej aktywności, a nie tylko wystąpienia...*

Joker, z angielskiego żartowniś, jest w talii kartą tajemniczą. Wyobraża go błazen, co jest tylko kamuflażem. Joker zapowiada wydarzenia, ale i bywa kartą dziką, zastępującą inne, zaś w wielu grach wszystkie inne bije. Radek Sikorski wypisz wymaluj.

henryk.martenka@angora.com.pl

---

nikarzy i Twórców Radia Publicznego, że najważniejsze jest to, kto kieruje dziennikarzami, kto im wydaje polecenia, a co za tym idzie, kto wybiera osoby, które kierują mediami. Tu kółko się zamyka i wracamy do roli KRRiT; Nygren powiedziała, że „trzeba oddać społeczeństwu obywatelskiemu kontrolę nad wyborem zarządów mediów publicznych". Czy to jest możliwe? Zapał studzili politycy PO: Bogdan Zdrojewski („Ja nie wierzę w możliwość uwolnienia spółki media publiczne od polityki") i Jerzy Fedorowicz, który nazwał wypowiedź Nygren „marzeniami". Dokładnie tak. Wydaje się, że w tym wypadku politycy uczą nas realizmu. Mimo wszystko ja jednak zostanę przy marzeniach, bo już czas, żeby politycy zrozumieli, że media publiczne nie są ich własnością, że na ich utrzymanie łoży całe społeczeństwo, więc po prostu odpuśćcie i zostawcie je społeczeństwu!

MAREK PALCZEWSKI

Michał Ogórek przeczyta wszystko

Rządy prawników i psychologów

To chyba Ryszard Bugaj w radiu TOK FM pierwszy zwrócił uwagę na to, jak rządy prawników moszczą się u nas. W Stanach Zjednoczonych dawno już tak się ugruntowały, że nie ma tam bardziej znienawidzonej grupy zawodowej, a podobne brzmienie słów *lawyer* (prawnik) i *liar* (kłamca) nie jest uważane wcale za przypadek. Ich niezwykle wysoka pozycja – również materialna – bierze się m.in. z uzyskiwania przez nich w sądach odszkodowań w najbardziej nieraz absurdalnych procesach, np. za utratę przez kogoś zdrowia w wyniku palenia przez niego papierosów. Są gotowi udowadniać wszystko i nie jest przypadkiem, że w miarę wytaczania Trumpowi kolejnych – często dętych – procesów tylko rośnie mu od tego poparcie wyborców. Tym samym prawnicy trzymają w ręku coraz więcej kart, również wyborczych, jakich w demokracji nigdy im nikt nie powierzył.

W naszym kraju do toczonego przez prawników boju zostaliśmy już wciągnięci wszyscy, bo jako wyborcy wszyscy mamy po którejś stronie stanąć. Oni sami wzajemnie zarzucają sobie uzurpację i chcą się wzajem usuwać, jeden drugiego próbując zabić jakimś przepisem, a najczęściej tylko jego sporną interpretacją. Pomimo że jedynymi, którzy mogą to rozstrzygać, są prawnicy, a oni robią to każdy po swojemu, żądają dla siebie poparcia prostych kibiców, którzy wiele z tego nie rozumiejąc, mają jednych lub drugich popierać.

Trudno pojąć, jak w prawie, które powinno być bezosobowe, wszystko może być motywowane tak osobiście. Najpierw ekipa Ziobry zastosowała wobec sędziów, którzy zaleźli jej za skórę, najprzeróżniejsze szykany, nie kryjąc nawet, że miało to charakter personalnej zemsty. Dla promowania prawników posłusznych i bezproblemowych dla władzy stworzono oddzielny system wspinania się po specjalnie do tego potworzonych szczeblach orzekania. Prawnicy, których w wyniku rządów Ziobry spotkała degradacja albo chociaż tylko jakieś nieprzyjemności, zaprzysięgli bezpardonową walkę. Kiedy tylko nadarzyła się im okazja, chcą teraz sekować nie tylko tych, którzy ich sekowali, lecz także tych, którzy się tylko temu nie sprzeciwiali. Ostatnio za absolutnie niewystarczające uznają już wyważone i ostrożne działania ministra Bodnara, który z doprawdy godną podziwu flegmą próbuje to ogólne zacietrzewienie uporządkować.

Bo każdy z prawników uważa się za całe wcielenie prawa. Za praworządność uznają prawnikorządność.

Ci, co uważali za Ziobry, że wolno im deptać prawo podczas naginania wymiaru sprawiedliwości dla swoich potrzeb, ze wstrętem wzdragają się teraz, kiedy robi się to przeciwko nim. Zaś ci, którzy każdą wątpliwość interpretacyjną uznawali w czasach Ziobry za zbrodnię, teraz zagrzewają do jawnych działań po bandzie i już nie mogą się ich doczekać.

Myśleliśmy, że usunięcie tych ludzi zajmie jeden dzień – mówi w udzielonym **Polityce** wywiadzie zawiedziona sędzia Sądu Apelacyjnego w Warszawie. Oczekiwanie zaprowadzenia sprawiedliwości – a raczej tego, co ona uznałaby za sprawiedliwość – w jeden dzień? Przecież nawet wprowadzenie sądów doraźnych by tego jej nie zapewniło.

Wspomniana sędzia, rozumiejąc i usprawiedliwiając orzekających w stanie wojennym (*wtedy sędziowie się po prostu bali*), równocześnie domaga się ukarania nominatów ziobrowskich – *tutaj działał wiele lat mechanizm polityczno-korupcyjny. Część sędziów zamieniła służbę sędziowską na karierę i wzięła za to pieniądze*. Całkiem znika tu perspektywa podsądnego: tamci sędziowie ze strachu skazywali za niewinność na więzienie, ale okazuje się, że bali to się oni, a nie ci zamykani. A obecni prezesi sądów są gorsi, bo byli źli dla kolegów. Wynika stąd jasno, że sąd jest miejscem, z którego ma być zadowolony głównie sędzia. Poprzednio jedni sędziowie byli zadowoleni z pobieranych pieniędzy, a obecnie drudzy – chcą być z tego, że im je odbiorą.

Władzę sędziowską realizuje u nas kolejno nie jedna, ale dwie różne grupy, które wzajemnie dostają po nosie jedna od drugiej. A jednak w myśl zasady, którą opisał już w swych bajkach Adam Mickiewicz, zanim usunięto je z listy lektur: „każdy ma swoją żabę, co przed nim ucieka, i swego zająca, którego się boi" – sędziowie też wpadli w czyjeś sidła. A mianowicie: psychologów.

Z nieszablonowego tekstu Ewy Wilk w tym samym numerze **Polityki** wynika to aż nadto jasno. *Pozycja psychologa w orzecznictwie rodzinnym czy też jako biegłego w procedurach karnych jest tak wysoka, że w istocie to biegły, nie sędzia, orzeka o winie w drastycznych przypadkach zabójstw czy pedofilii*.

Sędzia tu jakby abdykuje i całkowicie zdaje się na niepodważalność ekspertyzy, która wcale taka nie jest. *Np. w sprawie o zabójstwo prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza pojawiały się sprzeczne diagnozy co do stanu świadomości zabójcy*. Autorytet psychologiczny, prof. Edward Nęcka, tłumaczy: *Może być tak, że każdy biegły postępuje prawidłowo*. Błędem jest traktowanie ich jak wyroczni. *Ja nigdy nie zgodziłbym się na orzekanie, jaka była świadomość sprawcy w momencie czynu*, bo *psychologia może się wypowiedzieć na temat trwalszych cech, tendencji, ale co się w danym momencie w jego głowie działo – tego nikt nie wie. Podobnie nie wiadomo, jak się zachowa w przyszłości*.

Na takiej to wątpliwej i podważalnej podstawie władza rozstrzygania spoczywa w rękach biegłego psychologa bardziej nawet niż sądu. Coraz większa władza prawników i psychologów bierze się stąd, że dano im prawo oceniać innych, podczas gdy innym nie wolno tego robić wobec nich. ■

Ksiądz w cywilu

Biblia to nie tylko książka

Dla nikogo nie jest zaskoczeniem, że spośród najpopularniejszych książek na świecie to Biblia dzierży palmę pierwszeństwa, będąc od stuleci dziełem tłumaczonym na wszystkie języki świata, by obecnie osiągać milionowe nakłady przy każdorazowym wznowieniu.

Do pełni obrazu niezwykłości tej księgi warto uświadomić sobie, że stała się ona swoistą busolą wskazującą kierunki wiary dla trzech największych monoteistycznych religii: judaizmu, chrześcijaństwa oraz islamu, bo wszystkie te wyznania dzielą się bohaterami biblijnych kart (przynajmniej tych ze Starego Testamentu), których wspólnie uznają za ważnych pośredników pomiędzy sprawami doczesności a wiecznością w cieniu boskiego Ojca.

Biblia jest jedyną w swoim rodzaju księgą, która powstawała na przestrzeni tysiąca lat i to w okresie bardzo dla nas odległym, była spisana dla ludzi żyjących grubo ponad 3000 lat przed nami i dodatkowo żyjących w innej strefie kulturowej, cywilizacji Wschodu, bardzo odbiegającej od naszych wyobrażeń.

Judaizm i islam od samego początku odbierały prawdy w niej zawarte jako teologiczne przesłanie obrazujące wiernym istotę boskiego planu zbawienia i dlatego członkowie tych wspólnot religijnych przyjmowali je bez dozy ludzkiego krytycyzmu. Inaczej sprawa się miała i ma nadal w kulturze Zachodu, owładniętej chęcią pragmatyzmu, podpieranego coraz to nowymi zdobyczami wiedzy na temat świata i może dlatego wiele fragmentów Biblii spotyka się z krytycznym odbiorem. Niedawno było mi dane spotkać się właśnie z takim stanowiskiem, gdy jeden z uczestników naszego nieformalnego spotkania otwarcie wyznał, że jest osobą niewierzącą i na poparcie swojego poglądu odwołał się do Pisma Świętego, które, owszem, kiedyś poznał nawet w miarę, ale trudno mu było czerpać z niego inspirację dla swojej tlącej się jeszcze wiary. „Trudno mi zaakceptować niektóre biblijne przekazy, jak chociażby kwestię początku ludzkiej historii, która miałaby się zadziać od naszych prarodziców: Adama i Ewy w raju, gdzie dodatkowo za jej przyczyną na świat rozlało się zło. Także i inne sprawy, kiedy autorzy opisują krwawe rozprawy Narodu Wybranego, torującego sobie drogę do wielkości poprzez hurtowe mordowanie swoich sąsiadów, a Bóg opiekun ich poczynaniom jeszcze błogosławił.

To tylko nieliczne przykłady faktów, które utwierdzają mnie w mojej decyzji, iż to wszystko nie trzyma się kupy i szkoda czasu na pielęgnowanie jakichś mrzonek o życiu po...".

To prawda, że Biblia może być drogowskazem wiary, ale także może być najbardziej niebezpiecznym narzędziem prowadzącym do gruntowania w sobie zgoła odmiennych przekonań.

W trakcie naszej dysputy na temat Biblii zadałem mojemu rozmówcy pytanie:

– Co by ci dała lektura dzieł Homera, kiedy czytałbyś je w oryginale, nie znając ani słowa w jego ojczystym języku? Czy nie doszedłbyś do frustrującego wniosku, że taka lektura nie ma sensu? I tu dochodzimy do konkluzji tłumaczącej „niebezpieczeństwa" lektury Biblii bez gruntownej wiedzy egzegetycznej, bez której trudno nam zrozumieć wiele fragmentów z tej księgi. Owszem, Kościół naucza nas, że Pismo Święte jest fundamentem tradycji naszej wiary, ale to tylko pusty slogan, gdy dla przeciętnego wierzącego zawiera tak dużo spraw niezrozumiałych. Niedzielne spotkania z fragmentami Starego Testamentu także nie załatwiają sprawy, kiedy w homilii kaznodzieja pomija ten aspekt egzegetycznej analizy jako coś zbyt trudnego w zrozumieniu. Jedynym rozwiązaniem mogącym rozjaśnić te obszary wydają się spotkania z Biblią w trakcie solidnych katechez, ale tu trzeba solidarnego wysiłku obu stron: dobrze przygotowanego katechety znającego meandry egzegetycznej teologii, a z drugiej strony woli odbiorców tych prawd. To jedyny sposób, abyśmy rozwijając swój intelekt w obszarze wiedzy powszechnej, nie pozostali karłami w kwestii teologii. Bożego zamysłu, który zawiera w sobie biblijny, niekiedy trudny dla człowieka przekaz.

KRYSPIN KRYSTEK

(kryspinkrystek@onet.eu)

Pieniądze z Unii, tak czy nie?

To się nie może udać

Rozmowa z prof. WITOLDEM MODZELEWSKIM, wiceministrem finansów (1992 – 1996)

TYGODNIK ANGORA

Krajowy Plan Odbudowy i Zwiększania Odporności (KPO) to program, który składa się z 55 inwestycji i 55 reform. Wzmocni polską gospodarkę oraz sprawi, że będzie ona łatwiej znosić wszelkie kryzysy. Otrzymamy 59,8 mld euro (268 mld zł), w tym 25,27 mld euro (113,28 mld zł) w postaci dotacji i 34,54 mld euro (154,81 mld zł) w formie preferencyjnych pożyczek. Zgodnie z celami UE znaczną część budżetu przeznaczymy na cele klimatyczne (46,60 proc.) oraz na transformację cyfrową (21,36 proc.). Pieniądze z KPO pomogą nam szybciej osiągnąć wyznaczone wcześniej cele. Dzięki nim zrealizujemy nowe inwestycje, przyśpieszymy wzrost gospodarczy oraz zwiększymy zatrudnienie. Fundusze zainwestujemy m.in. w rozwój gospodarki, innowacje, środowisko, cyfryzację, edukację i zdrowie. Każdy z nas na tym skorzysta – podaje Serwis Rzeczypospolitej za Gov.pl.

Do tej pory dostaliśmy tylko ułamek przyznanych nam środków i już wiadomo, że z 55 inwestycji zapisanych w KPO 43 jest zagrożonych.

– Przy okazji ogromnych protestów rolników wraca dyskusja nad KPO, gdzie wydatki na zieloną transformację mają stanowić blisko połowę wszystkich przyznanych środków.

– Z punktu widzenia kondycji finansów publicznych naszego kraju, która nie jest najlepsza, bo wiemy, że deficyt przekroczy 200 miliardów, znaczenie środków z KPO jest niewielkie, gdyż nie będą one generować dochodów budżetowych w krótkim okresie. Z punktu widzenia polskiego biznesu znajdą się chętni do wydania tych pieniędzy, zwłaszcza pochodzących z dotacji, ale również nie będą miały one specjalnego znaczenia dla wzrostu gospodarczego. KPO, jeżeli dostaniemy te pieniądze, spowoduje formalny wzrost inwestycji, które kurczą się nam prawie od 10 lat. Pamiętajmy jednak, że te środki są przeznaczone na inwestycje, które mają bardzo odległą stopę zwrotu albo jest ona trudna do określenia, gdyż Zielony Ład to przede wszystkim wydatki, a nie dochody. Cały ten program jest zbyt kosztowny dla Unii, Polski, przedsiębiorców i obywateli (wydatki inwestycyjne na rzecz unijnego Zielonego Ładu w ciągu dekady mają wynieść bilion euro – przyp. autora), zwłaszcza w czasach hamującej gospodarki.

– Wierzy pan, że Unia przeprowadzi rewizję Europejskiego Zielonego Ładu?

– To nie jest kwestia wiary. Jeżeli nie będzie tej rewizji, będziemy wyrzucać pieniądze na całkowicie nieefektywne inwestycje.

– 21 proc. środków z KPO ma zostać przeznaczonych na cyfryzację.

– Zielony Ład już stał się unijną religią. Cyfryzacja, która w wielu dziedzinach jest niezbędna, także staje się pomału ideologią. W powszechnej świadomości utożsamiono modernizację z cyfryzacją, a to nie zawsze jest prawdą. Niemal od początku XX wieku w naszym kręgu cywilizacyjnym panuje przekonanie, że modernizacja jest czymś koniecznym i wszystko trzeba modernizować. Tyczy to zwłaszcza cyfryzacji. Nikt nie bada, czy świat scyfryzowany lepiej zaspokaja potrzeby społeczeństwa, a nie tylko tych, którzy chcą na tym zarobić. Współczesne państwa coraz bardziej realizują interesy lobbystów niż obywateli.

– KPO jest projektem opartym na zasadzie solidarnościowej. Jeżeli Grecja, Portugalia czy Hiszpania będą miały problem ze spłatą tych funduszy, wówczas inne kraje będą musiały to zrobić za nie.

– Dziś nie jestem w stanie powiedzieć, czy ten projekt się spina. I odpowiedzią na te wątpliwości może być przyśpieszenie prac nad federalizacją Unii. Jeżeli tak się stanie, wówczas nowe-stare władze europejskiego państwa, czyli w istocie Niemcy, będą mogły się od tego odciąć, mówiąc: to nie my stworzyliśmy KPO, i wprowadzić politykę zaciskania pasa, żeby stare długi spłacić.

– Część pożyczkowa KPO jest podobno zaciągnięta na preferencyjnych zasadach. Pojawiły się jednak głosy, że gdyby Polska chciała osobno otrzymać taki kredyt, jego warunki nie byłyby gorsze.

– Na to nie ma prostej odpowiedzi. Polskim problemem od lat jest wroga polityka kredytowa. Państwo polskie zajmuje się rozwiązywaniem problemów, które samo tworzy. Dzieje się tak, gdyż nie mamy wystarczającego nadzoru nad sektorem bankowym, który chroniłby interes publiczny. To polska specyfika. W innych państwach Unii aż takiej patologii nie było. Proszę zobaczyć, że od lat nie potrafimy sobie poradzić z rozwiązaniem kwestii tzw. kredytów frankowych i to w sytuacji, gdy mamy do czynienia ze stosunkowo niewielkimi jednostkowo i rozproszonymi kwotami. Nie rozwiązaliśmy tego problemu definitywnie ani na drodze ustawowej, ani sądowej. To trwa tak długo, że kredytobiorcy zdążą się zestarzeć i wychowa się nowe pokolenie postfrankowiczów, które będzie dziedziczyło te problemy. Tak więc dopóki państwo nie będzie miało instytucjonalnej przewagi nad sektorem bankowym, dopóty nie powinniśmy budować, opierając się na tym sektorze, naszej strategii rozwojowej.

– Coraz więcej poważnych ekonomistów, analityków, instytucji badawczych uważa, że wprowadzenie Zielonego Ładu doprowadziłoby unijną gospodarkę na skraj przepaści.

– Cała ta koncepcja jest przykładem atrofii unijnego systemu decyzyjnego, a dokładnie – procesu prawotwórczego. Okazało się, że ten proces jest w stanie nadać moc obowiązującą rozwiązaniom, które za chwilę sam uznaje za absurdalne. Co pokazuje, że nie istnieje żadna wewnętrzna merytoryczna kontrola uchwalania unijnego prawa. A przecież prawo jest jedynym wymiernym instrumentem, który może połączyć: państwa, narody, obywateli.

– Ale, jak pan wspomniał, to jest religia, ideologia, gdzie racjonalne prawne argumenty mają mniejsze znaczenie.

– Dlatego mamy w Unii do czynienia z kryzysem instytucjonalnym. Uważam, że Zielony Ład jest utopią, która

---

To najgłupsze pytanie w Polsce – powiem ci dlaczego

A ty jesteś za czy przeciw CPK?

INN:Poland (22 II)

Polacy znów podzielili się na dwa wrogie plemiona. Jedno mówi, że CPK to dla Polski rozwojowy skok; drugie, że to kolejny megalomański i drogi pomysł. Oba plemiona pytają ciebie i mnie, czy jesteśmy za CPK, czy przeciw niemu. Jak usłyszysz coś takiego, odwróć się i odejdź. Zaraz ci powiem dlaczego.

Jesteś za CPK czy przeciw? W obecnych czasach nie można być obojętnym, trzeba albo popierać CPK, albo być jego wrogiem. Bo jak jesteś przeciw, to nie chcesz, żeby się Polska rozwijała, a jak jesteś za – to popierasz megalomański projekt PiS.

Zalewają mnie setki sond, sondaży, agitacja i propaganda. Szczerze mówiąc, mam już tego mocno dosyć. Bo nie mam pojęcia, czy popieram CPK, czy nie. Wiem za to, że dyskusja, która dziś się toczy, powinna była się odbyć jakieś 8 lat temu. Czyli przed tym, jak rząd pod światłym przewodnictwem Mateusza Morawieckiego zdecydował, że CPK ma być w Baranowie. Dziś jest na to za późno. Tak naprawdę o całym wielkim projekcie CPK nie wiemy nic. Nie wiemy, ile będzie kosztował, bo władze od dawna żonglują cenami. Cała wartość projektu to ponoć 155 mld zł, z czego ponad 67 mld zł ma pochłonąć budowa lotniska z drogami wokół. To potężne pieniądze, kwota wręcz astronomiczna. A pojawiają się też szacunki, że CPK miałoby kosztować nawet 240 miliardów. Albo 300, a może 600. Którą kwotę mam sobie wybrać? Bo każda z nich jest równie mało wiarygodna.

Złote góry kontra spalarnia pieniędzy

Czytam różne teorie popieraczy CPK. Mówią, że przez nasze nowe lotnisko mają się przewijać dziesiątki milionów pasażerów. Że zarobimy na przewozach cargo i że takiego lotniska potrzebuje armia. Potem okazuje się, że prognozy liczby pasażerów są przeszacowane. Inni mówią, że na cargo wcale dużo nie zarobimy. A armia, jak to armia, podpina się do projektu i mówi, że może się przydać. Ale wiadomo też, że armia potrzebuje wielu małych lotnisk w całej Polsce, a nie jednego wielkiego, które będzie można sparaliżować kilkoma bombami, rakietami albo atakami terrorystycznymi. NATO już od dawna ma opracowane plany przerzutu wojsk do Polski i CPK w nich nie ma. Bez niego i tak sobie poradzą.

Za ile? Kto zarobi, kto zbuduje?

Czego jeszcze nie wiem? Nie wiem, kto miałby sfinansować ten cały projekt, kto będzie na nim zarabiał, jakie będą koszty jego utrzymania. Jakie są szanse, jakie zagrożenia? Gdyby CPK weszło dziś na giełdę, to nie kupiłbym jego akcji, bo nie znam żadnych założeń tego biznesu! Nawiasem mówiąc, CPK z takim poziomem organizacji na giełdę nie zostałoby dziś dopuszczone... Nie wiadomo też, kto by to lotnisko i linie kolejowe budował. W Polsce już teraz brakuje rąk do pracy. Skąd weźmiemy kilkadziesiąt albo i kilkaset tysięcy osób do realizacji tych inwestycji? Dziś nie ma kim robić nowych autostrad, a rozbudowa i remonty linii kolejowych się ślimaczą. Jak nie będzie ludzi, to projekt się wydłuży i podrożeje.

nie zostanie zrealizowana, a jeżeli tak, to i KPO nie ma większego sensu, gdyż połowa środków jest przeznaczona właśnie na zieloną transformację.

– Więc co się stanie z tymi miliardami, które szybciej czy wolniej wpływają do państw członkowskich?

– Historia zna całą masę porzuconych inwestycji chociażby po zakończeniu zimnej wojny, gdzie po obu stronach konfliktu zmarnowano miliardy.

– Ekolodzy zapewniają, że KPO uzdrowi nasz klimat. Twierdzą tak, mimo że emisja CO_2 w skali całej Wspólnoty stanowi tylko 7,3 proc. światowej emisji, a emisje ze spalania paliw kopalnych to zaledwie 5 proc. ze źródeł naturalnych. Tak więc wydamy miliardy i biliony, żeby zmniejszyć ilość CO_2 na ziemi o 0,365 proc.

– Nie znam się na sprawach klimatycznych. Odpowiem jak ekonomista. Prawie 50 proc. dochodów budżetowych, z których finansuje się potrzeby publiczne, pochodzi z opodatkowania paliw kopalnych, a zwłaszcza przetworów ropy naftowej. I nic nie zastąpi tego źródła finansowania. Zielony Ład jest więc niewykonalny, a co za tym idzie, KPO w takim kształcie nie przyniesie odczuwalnych skutków.

– Można opodatkować wiatraki.

– (*śmiech*).

Rys. Katarzyna Zalepa

„Znaczone"

CEZARY KAŹMIERCZAK, prezes Związku Przedsiębiorców i Pracodawców

– Uczestniczyłem w rozmowach na temat KPO w czasach, kiedy odpowiadała za niego wicepremier Emilewicz. Morawiecki zdecydował się go podpisać, bo uznał, że gdy tego nie zrobi, to koszt złotówki skoczyłby mniej więcej o 2 proc. i będziemy tracić na konkurencyjności. Czy miał rację, tego nie wiem, ale wygląda na to, że zrobił to „na kolanach". Na jego częściowe usprawiedliwienie powiem, że uległ presji, jaką wywierały media społecznościowe, które przekonywały, że te pieniądze są zbawieniem dla Polski. Tymczasem 80 proc. środków, które ma dostać Polska, to pieniądze „znaczone", które trafią do firm niemieckich i skandynawskich, posiadających odpowiednie technologie. KPO jest wyłącznie programem politycznym. Gdyby Unia przyznała te pieniądze krajom członkowskim i powiedziała: „Wydajcie je na to, co uważacie za najważniejsze", to oczywiście wydalibyśmy je na infrastrukturę. Wydaje się, że KPO w obecnym kształcie jest nie do odwołania i bez względu na to, czy zajmowałby się tym Morawiecki, czy Tusk, nikt nie będzie miał szans tego zmienić. KPO nie będzie miał większego wpływu na gospodarkę. Jakieś pieniądze w kraju zostaną, ale nie za wiele. Tak więc gdy jeszcze jakiś czas temu histeryzowaliśmy, czy dadzą nam te środki, czy nie dadzą, to niepotrzebnie wpadaliśmy w panikę. A jak dadzą, wtedy zapewne ucieszą się takie firmy jak Siemens, o którym żartowano, że będziemy od niego kupować wiatraki, i to się może za jakiś czas zdarzyć.

Płacz i płać

Prof. WALDEMAR GONTARSKI, adwokat, były przedstawiciel Polski przed TSUE

– Teoretycznie KPO można zmienić. Do tego trzeba zmienić unijne rozporządzenie. Komisja Europejska musiałaby zgłosić taki wniosek do Rady złożonej z ministrów państw członkowskich. Następnie musi to przegłosować Parlament Europejski.

Ale moim zdaniem jest to mało realne, a na pewno okaże się niemożliwe, gdyby po wyborach europejskich utrzymał się taki układ sił politycznych jak obecnie. Na razie nie wiemy, ile tych pieniędzy dostaniemy, ale na pierwsze wypłaty trzeba będzie czekać co najmniej dwa – trzy miesiące. Na ich wykorzystanie będziemy mieli czas do 31 sierpnia 2026 roku i już teraz widać, że jest to wręcz nierealne. Pamiętajmy, że jeżeli ich nie wykorzystamy, to w skrajnej sytuacji przejmą je inne kraje, a środki pochodzące z tzw. części pożyczkowej, czyli z kredytu, i tak będziemy musieli spłacać. Będziemy je spłacali (w części) także wówczas, gdy inne kraje nie będą w stanie spłacić swoich zobowiązań, a wydaje się, że najbiedniejsze kraje Południa mogą mieć z tym problem. Już teraz przepadła nam bezzwrotna zaliczka w wysokości 4,7 miliarda euro, którą mogliśmy dostać bez żadnych warunków wstępnych, czyli bez spełnienia tzw. kamieni milowych. Stało się tak, gdyż w odpowiednim terminie Polska nie złożyła w Brukseli dokumentów KPO. Za to, że tego nie zrobiono, odpowiadają konkretni członkowie poprzedniego rządu i moim zdaniem powinni ponieść wszelką odpowiedzialność.

Polak mądry po szkodzie, dziś widać, że nie powinniśmy ratyfikować decyzji w sprawie zasobów własnych, czyli KPO, który ma kształt umowy międzynarodowej. Zamiast tego proponowałem wówczas, żeby rząd wynegocjował te pieniądze w formie umowy międzyrządowej. Wtedy Komisja Europejska nie decydowałaby, komu dawać te środki, a komu nie, tylko byłaby organem „wypożyczonym" działającym na zlecenie państw. Czy istniała szansa na takie rozwiązanie? Istniała, gdyż przyjęcie KPO w obecnym kształcie wymagało zgody wszystkich państw członkowskich, ale do tego potrzeba było mężów stanu, a nie urzędników, którzy w Brukseli ustępowali we wszystkim unijnym instytucjom, a po przyjeździe do Warszawy krzyczeli na cały świat, jaka to Unia jest niedobra.

KRZYSZTOF RÓŻYCKI

Rys. Tomasz Wilczkiewicz

Do tego dochodzi jeszcze nieufność wobec wszystkiego, co promuje PiS. Wszyscy mamy w pamięci wszystkie spaprane inwestycje poprzedniej ekipy. A to przekop mierzei, który kosztował dwa razy więcej, niż planowano i prowadzi donikąd. Rdzewiejącą stępkę promu. Słynną elektrownię w Ostrołęce, na której straciliśmy pewnie około 2 mld złotych. Budowali ją po to, by ją rozebrać, choć na początku było pewne, że ten projekt nie spina się biznesowo. Widzimy lotnisko w Radomiu, z którego prawie nikt nie chce latać, a kosztowało wagon pieniędzy. Do tego dochodzi jeszcze słynny PiS-owski centralizm. Za rządów tej ekipy wszystko musiało być „narodowe" i „centralne". Zauważam to jako mieszkaniec Warszawy, ale mający związki z różnymi regionami naszego pięknego kraju. Może w końcu coś powinno być lokalne, niekoordynowane przez rząd, ale robione oddolnie.

Można nawet pójść dalej, bo ten centralizm nie był nawet warszawski, on był Kaczyński. To prezes decydował o tym, co robimy, a czego nie robimy. Wola prezesa była ważniejsza niż dobro Polaków. Wiemy też, że lotnictwo się zmienia. Nowe technologie sprawiły, że rośnie znaczenie bezpośrednich lotów z punktu A do punktu B, bez przesiadek w hubach. Wiemy, że testowane są nowe rodzaje połączeń samolotami elektrycznymi, wzrośnie więc rola lotnisk naprawdę małych, które nie będą potrzebowały kilometrów pasów startowych. My naprawdę nie wiemy, co przyniesie przyszłość w lotnictwie. Ale tych dwóch kwestii, o których wspomniałem, próżno szukać w publikacjach dotyczących CPK.

Co ja wiem o CPK?

Dlatego, kiedy ktoś mnie pyta, czy jestem za, czy przeciw CPK, mówię, że nie wiem. Nie mam pojęcia. Bo może nam się przyda, a może nie. Może na nim zarobimy, a może będzie wielką spalarnią pieniędzy. Nie wiem, bo brakuje mi wiedzy. Za ten projekt nikt nie ponosi odpowiedzialności, nie ryzykuje własnych pieniędzy. A ten projekt musi się spinać biznesowo. Statystyczny mieszkaniec Polski lata samolotem raz w roku. Większość ludzi nie odczuje więc żadnego pozytywnego efektu jego istnienia. Ważne więc, żeby do niego nie dokładać. Odnoszę wrażenie, że budowa lotniska i linii kolejowych za 200 czy 300 mld zł byłaby absurdem, szczególnie w sytuacji, gdy ponad 6 mln Polaków żyje w miejscach, w których nie ma żadnego transportu publicznego. I nie przekonują mnie argumenty, że dzięki temu wstanę z kolan i pokonam odwieczny polski niedasizm.

Nie podoba mi się też pomysł przepuszczania niemal wszystkich nowo planowanych tras kolejowych przez CPK. Jadąc z Warszawy do Gdańska pociągiem, będę musiał przejechać przez przystanek pod lotniskiem? I nie wiem, czemu wszystkie te nowe linie miałyby być kolejami wysokich prędkości. Wydać miliard, żeby być w Gdańsku 10 minut wcześniej? Mnie oczywiście obchodzi, czy pociąg z Warszawy do Gdańska będzie jechał 3 godziny czy 6. Ale obchodzi mnie też, ile będzie kosztował bilet. Już dawno zauważyłem, że na wielu trasach pociągi Pendolino jeżdżą słabo wypełnione. Za to na tych samych trasach ekspresy czy pospieszne są już pełne. Dlaczego? Bo jadą niewiele dłużej, za to o wiele taniej. Gdybym chciał teraz zaraz jechać do Gdańska, mogę wybrać Pendolino i zapłacić za bilet 169 zł, albo wsiąść w InterCity i zapłacić 71 zł. Ten drugi pociąg jedzie 44 minuty dłużej. Mógłbym też wsiąść w samochód i być na miejscu za 4 godziny, kosztowałoby mnie to jakieś 130 zł, ale mógłbym od razu jechać tam, gdzie chcę. Bo rzadko kiedy ktoś chce dojechać po prostu na dworzec, traci się więc kolejne pieniądze i czas na dotarcie do punktu docelowego.

Dziś problemem większości ludzi w Polsce jest to, jak dotrzeć do pracy, jak dojechać do innego miasta, jak dostać się tam, gdzie nie jeżdżą pociągi i autobusy. I możemy sobie budować nowe duże lotnisko, ale nie zapominajmy o tym, że może być ono jak wielki węzeł komunikacyjny pośrodku pustyni. I więcej ludzi przyjedzie je z ciekawości obejrzeć, niż się z niego gdzieś wybrać. Dokładnie tak jest z przekopem Mierzei Wiślanej.

KONRAD BAGIŃSKI

Fot. Jacek Szydłowski/Forum

TYGODNIK POWSZECHNY
KATOLICKIE PISMO SPOŁECZNO-KULTURALNE
Nr 7 (14 – 20 II). Cena 13 zł

Im bardziej pogubiony jest prezes Kaczyński, tym głośniej mówi się o jego następcy w PiS

Czarnek, nasz Trump

Tempo, w jakim nowa koalicja rządząca zajęła się likwidowaniem ostatnich bastionów, w których okopał się PiS, było dla kierownictwa tej partii szokiem. Nikt w otoczeniu Jarosława Kaczyńskiego nie spodziewał się tak bezceremonialnego przejęcia mediów publicznych, odcinającego partię od realnego wpływu na społeczeństwo. Podobnie było ze zmianami dokonanymi przez ministra Adama Bodnara w Prokuraturze Krajowej oraz bezkompromisowym podejściem nowej władzy do wyroku sądu na Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika.

Obrona ze strony głównej partii opozycyjnej nie przyniosła żadnego sukcesu. Okupacja budynków mediów publicznych zakończyła się po kilku dniach, gabinet prokuratora krajowego Dariusza Barskiego został zaplombowany, a próba wprowadzenia skazanych polityków do Sejmu skończyła się dość żenującymi przepychankami. PiS mimo wszystko walczy, gdyż tego oczekuje od niego najwierniejszy elektorat, a ponadto w świecie prawniczym istnieją wątpliwości co do stosowanych przez nowy rząd metod walki o media i wymiar sprawiedliwości, na które zwraca uwagę m.in. szanowany konstytucjonalista prof. Ryszard Piotrowski.

Dla PiS te prawne niejasności są dowodem na rzekomy zamach stanu i początki dyktatury, która wedle Kaczyńskiego może oznaczać nawet zabójstwa polityków niechętnych nowej władzy. Z jednej strony mobilizuje to środowisko i pozwala zagłuszyć pytania o przyczyny wyborczej porażki, ale z drugiej – coraz więcej działaczy PiS ma dość tych katastroficznych i często absurdalnych komunikatów. Woleliby walczyć z Donaldem Tuskiem, skupiając się na krytyce podejścia obecnego rządu do CPK i nagłaśnianiu kolejnych obietnic wyborczych, które premier schował do szuflady.

Ale w PiS przy tej okazji pojawia się również kwestia najważniejsza i zarazem najtrudniejsza. To pytanie o formę prawie 75-letniego lidera. Niechroniony już kordonem bezpieczeństwa Kaczyński wygłasza na korytarzach sejmowych coraz bardziej zdumiewające wypowiedzi, np. o torturach wobec Mariusza Kamińskiego na polecenie Donalda Tuska. Takie słowa pokazują odrealnienie Kaczyńskiego i osłabiają poparcie – wedle ostatnich sondaży KO właśnie wyprzedziła PiS.

Krytyczna refleksja w partii łączy się też z brakiem przekonania co do sensu walki o Kamińskiego i Wąsika, których większość działaczy po prostu nie lubi za ich butę w epoce rządów, a nastrój dodatkowo pogarszają doniesienia, wedle których grupa ważnych polityków, z Ryszardem Terleckim na czele, również była na liście inwigilowanych Pegasusem.

Krótka lista „prezesów"

Prezes PiS już po wyborach zapowiedział ustąpienie ze stanowiska przy okazji kongresu w 2025 r., ale z naszych rozmów z posłami partii wynika, że mało kto w to wierzy. Zapowiedzi rezygnacji traktuje się jako balony próbne i prowokowanie potencjalnych rywali, by się ujawnili. – Mamy cały czas świetnego lidera, nie ma żadnej dyskusji o jego zmianie – przekonuje poseł Piotr Kaleta.

– Prezes zdecyduje o swoim następcy, gdy uzna to za stosowne. Nie sądzę, by ktokolwiek się mu sprzeciwił – dodaje Arkadiusz Mularczyk.

Kaczyński w przeszłości był już wielokrotnie grzebany politycznie, ale za każdym razem się podnosił. Na początku lat 90. miał duże wpływy, ale dość szybko kierowane przez niego Porozumienie Centrum znalazło się poza Sejmem. Nie partycypował też w sukcesie prawicowej AWS, bo wcześniej został z niej wypchnięty. Powrócił na wielką scenę, gdy sojusz ten rozpadł się wewnętrznie i stracił władzę. Kaczyński stworzył na tych gruzach dużo bardziej spójny ideowo i sprawnie zorganizowany PiS. Po podwójnej porażce wyborczej w 2007 i 2011 r. wielu kolejny raz wieszczyło jego koniec w polityce. Prezes jednak wrócił do władzy i zapewnił partii 8 lat niemal nieograniczonej władzy.

Tyle że, co przyznają dziś niektórzy politycy PiS, widać wyraźnie, iż prezes się starzeje i nie radzi sobie już tak dobrze z emocjami wygenerowanymi przez kryzys po porażce. – Jarosław Kaczyński jest człowiekiem wybitnym, wizjonerem i strategiem, który rodzi się może raz na parę pokoleń. Podobnie jak Józef Piłsudski przejdzie do historii jako ten, który mimo wielu przeciwności był w stanie realizować swoją ideę. Niestety, czas biegnie, a on nie jest przygotowany, by przekazać władzę komuś innemu: uruchomić mechanizm demokracji wewnątrzpartyjnej i doprowadzić do wyłonienia najlepszych. Nie tylko tych, którzy serwują mu pochlebstwa – mówi poseł PiS Jan Krzysztof Ardanowski, uważany za niemal jedynego, który ma odwagę pod nazwiskiem mówić to, co myśli niejedna osoba w PiS.

Zdaniem byłego ministra rolnictwa, który starł się z prezesem przy okazji „piątki dla zwierząt", w partii jest wiele osób, które mają cechy przywódcze, są dobrze przygotowane i kompetentne, ale boją się ujawnić, bo prezes i jego otoczenie natychmiast ich skasują jako zagrożenie. – W historii zawsze tak było, że wokół wodzów tworzyły się dwory, a ich ewolucja polega na tym, że zostają wyłącznie pochlebcy – argumentuje – Ardanowski.

W politycznych kuluarach w kontekście szans na przywództwo w PiS po epoce Kaczyńskiego zaczęły padać już nazwiska. Dwa są mniej prawdopodobne – Beaty Szydło i Mariusza Błaszczaka; dwóm kolejnym daje się większe szanse – to Mateusz Morawiecki i Przemysław Czarnek. Jest jeszcze piąty kandydat spoza partii – Andrzej Duda.

Kto ma szansę

Były premier już otwarcie przyznał w wywiadzie dla Radia Zet, że zamierza walczyć o przywództwo, ale w partii zostało to uznane za błąd i falstart. – Morawiecki jako były premier jest na pewno poważnym kandydatem, ale dla większości z nas wciąż jest nie do przyjęcia. To w sumie obce ciało, człowiek o niejasnych powiązaniach, były „bankster", który omamił prezesa – przekonuje jeden z polityków PiS.

Z naszych rozmów wynika też, że niezbyt poważnie traktowane są aspiracje prezydenta, które ma mu suflować szef gabinetu Marcin Mastalerek. To właśnie ambicje sięgnięcia po przywództwo w obozie prawicy miały być głównym powodem tak mocnego zaangażowania Dudy w sprawę Wąsika i Kamińskiego. Nie za bardzo to wyszło, bo nowa władza nie uszanowała eksterytorialności Pałacu, okazując swą wyższość, a sam Duda swoimi niespójnymi wypowiedziami w sprawie ułaskawienia byłych posłów potwierdził opinię osoby niekonsekwentnej, ulegającej wpływom.

Wraz z lecącymi w dół akcjami prezydenta w PiS (Duda równocześnie spadł z podium rankingu polityków cieszących się największym zaufaniem społecznym) rosną notowania kolejnego kandydata: byłego ministra edukacji Przemysława Czarnka.

Jest bardzo aktywny, grał pierwsze skrzypce zarówno w organizowaniu protestów PiS po zatrzymaniu Wąsika i Kamińskiego, jak i przy okupacji budynków mediów publicznych. Ma również dobre układy z Kaczyńskim, który zlecił mu koordynowanie kongresu sił patriotycznych – ma to przetestować jego zdolności organizacyjne.

Jego poglądom też mógłby prezes przyklasnąć. Choć Czarnek w 1989 r. miał 12 lat i niewiele doświadczeń z PRL, podczas niedawnego spotkania w Radomiu przekonywał: „Żyjemy w czasach rewolucji komunistycznej", a „najazd dzikich komunistów ponownie w Polsce się zaczął. 13 grudnia 2023 roku". Oczywiście na rozkaz Tuska, „który przyszedł gdzieś z Berlina". Tego typu wizje wpisują się w spiskowe teorie Kaczyńskiego i Czarnek dobrze o tym wie. Pewnie dlatego głosi, że zapowiedź uwolnienia uczniów od zadań domowych jest po to, by „ukształtować pracownika, który będzie pięknie Niemca w rękę całował za to, że szparagi będzie mógł sobie chwilkę pozrywać".

Ugryzienie samca beta

Z ostrej retoryki były minister znany jest od dawna, a teraz jego werbalna odwaga widoczna jest również w działaniach wewnętrznych. Jest niekonwencjonalny, jak na standardy PiS, w którym nie tylko nikt nie pozwala sobie na jakiekolwiek oznaki buntu, ale nawet na zaskakiwanie prezesa. Tymczasem Czarnek nie miał obiekcji, by wejść w otwartą konfrontację (fakt – pod nieobecność Kaczyńskiego) z prawą ręką prezesa, szefem klubu Mariuszem Błaszczakiem, który w imieniu szefa domagał się od posłów głosowania za odwołaniem z funkcji wicemarszałka Sejmu Krzysztofa Bosaka. Miała to być zemsta za brak poparcia Konfederacji dla Elżbiety Witek. Jednak Czarnek miał odwagę otwarcie wystąpić przeciwko, jego zdaniem, krótkowzrocznej polityce, skłócającej z PiS jedynego na prawicy teoretycznego sojusznika ideowego. Posłowie PiS poszli za Czarnkiem i większość z nich nie wzięła udziału w głosowaniu, czym uratowali stanowisko Bosaka.

W PiS ta akcja została odebrana jako upieczenie kilku pieczeni na jednym ogniu. Czarnek ujawnił swe aspiracje, przy okazji upokorzył Błaszczaka i ośmieszył go w kontekście przyszłej rywalizacji o przywództwo w PiS. No i wyciągnął po latach zimnej wojny rękę do Konfederacji. Czarnek może pojednać PiS z partią Bosaka, bo ma tam dobre kontakty, co potwierdził nam jeden z liderów Konfederacji („mówimy wspólnym językiem"). W PiS twierdzi się też, że Czarnek byłby w stanie zapanować również nad Suwerenną Polską pogrążoną w kryzysie z powodu ciężkiej choroby Zbigniewa Ziobry.

Niektórzy politycy prawicy mówią nam jednak, że były minister może być naiwny. – Nie rozumie, że Konfederacja jest dziś dowartościowywana przez Tuska, by odebrać nam elektorat i zniszczyć nas. Nie warto w „Konfę" inwestować – mówi anonimowo poseł PiS.

Kapitałem Czarnka są też środowiska ultrakatolickie. Ich liderem jest poseł Bartłomiej Wróblewski, wpływowy, ale pozbawiony przywódczej charyzmy, której nie brakuje Czarnkowi. Środowiska te, według szacunków niektórych posłów PiS, liczą kilkadziesiąt szabel w klubie, i to bliżej stu niż dwudziestu. Choć z drugiej strony pod wpływem tych właśnie środowisk Kaczyński zdecydował się na akcję z zaostrzeniem prawa aborcyjnego w 2020 r., co stało się kamieniem węgielnym porażki 15 października 2023 r.

Amerykańskie wzorce

Dziś nikt nie jest w stanie przewidzieć, czy były minister edukacji zaryzykuje wyjście

Taśmy Obajtka

K..., Adam, szykujmy tira do Watykanu!

„Poznaliśmy kulisy prowadzonej wobec ówczesnego prezesa Orlenu operacji specjalnej, mamy także stenogramy jego rozmów, które znajdują się w materiałach specsłużb. To historia jak z powieści sensacyjnej. Jest w niej słynny handlarz bronią – ten sam, od którego Ministerstwo Zdrowia kupiło trefne respiratory. Są puste loty wynajętego przez Orlen boeinga do Chin i z powrotem, co mogło kosztować aż milion dolarów. Jest nawet papież, któremu Obajtek w pandemii zawiózł wyposażenie ochronne, jakie miało trafić do polskich szpitali. Agenci CBA chcieli, żeby za udokumentowane podsłuchami nieprawidłowości Obajtek dostał zarzuty. Włos mu z głowy nie spadł. Oto kulisy tajnej operacji CBA o kryptonimie „Vampiryna" – pisze Jacek Harłukowicz, dziennikarz portalu Onet.

W latach 2019 i 2020 szef CBA Ernest Bejda – człowiek Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika – złożył w sądzie wnioski o zgodę na kontrolę telefonów Adama Buraka, członka zarządu Orlenu ds. marketingu i komunikacji. Być może jeden z wniosków dotyczył zastosowania Pegasusa. Taśmy zawierają zapis rozmów prezesa Orlenu Daniela Obajtka z jego prawą ręką – Adamem Burakiem. Podsłuchy w restauracji „Sowa i Przyjaciele" za czasów rządów Platformy Obywatelskiej w 2014 roku to nic przy taśmach CBA dotyczących prezesa Orlenu. Ukazują one system rządów PiS-u, rozgrywki wewnętrzne w Zjednoczonej Prawicy, układy, a czasem wręcz działania na granicy prawa, może nawet bezprawne.

Na przykład wynika z nich, że Orlen zakupił sprzęt ochronny wartości 3 mln zł od handlarza bronią, a następnie wysłał do Watykanu, bo papież poprosił o taką pomoc prezydenta Andrzeja Dudę (miało to wesprzeć prezydenta w kampanii wyborczej). Agenci CBA, którzy prowadzili inwigilację, uważali, że mogło to być złamanie prawa. A oto fragment stenogramu (podajemy za Onetem): „K****, Adam, szykujmy tira płynu do Watykanu" – mówił Obajtek Burakowi podczas zarejestrowanej przez CBA rozmowy 30 kwietnia 2020 roku (pandemia nabierała w tym czasie gwałtownego przyspieszenia). „Tira płynu szykuj! Słuchaj k**** maseczek, tych srebrnych k****, tam załadujmy tych maseczek srebrnych dwieście tysięcy z jonami srebra". Ponad miesiąc wcześniej w orlenowskich zakładach gościł prezydent Andrzej Duda. Są zdjęcia z wizyty, komunikat, że płyn do dezynfekcji dla Polaków będzie kosztował tylko 15 zł za litr. Obajtek później docieka, czy dobrze wypadł w TVP, że relacja „ma grzać naród", „...ma być ściskające za serce", „...robimy kampanię, Orlen zawsze jest z Polakami, na dobre i na złe...". Płyn i środki ochronne, które były niezbędne w Polsce, pojechały do Watykanu.

W rozmowach obaj panowie – Obajtek i Burak – odnoszą się też do polityki i swoich kompanów ze Zjednoczonej Prawicy: „To nie jest rozmowa osadzonych w zakładzie karnym, to prezes Orlenu za czasów PiS o Jacku Sasinie, wicepremierze rządu PiS: «trzeba zrobić tak, żeby go za*****, k****. Żeby tymi informacjami... żeby go krew zalała. Żeby nie miał punktu zaczepienia do mojej osoby, słuchaj [...] oni chcą mnie za...»" – podaje Onet.

Były prezes Obajtek odszczeknął się na swój sposób na platformie X: „Jak Pan pewnie wie, materiały z inwigilacji są ściśle tajne. Odtajnić je można tylko w określonej procedurze. Z kolei ujawnienie tajnych materiałów według artykułu 265 kk jest przestępstwem. Rozumiem, że popełnia Pan teraz przestępstwo? Czy publikuje fałszywki? Jak odniesie się do tego Minister? Na czyje zlecenie pracuje red. Harłukowicz?".

Ponadto Obajtek twierdzi, że to, co opublikował Onet, to „mieszanina kłamstw i półprawd, dokument nieprawdziwy", ale bezpośrednio do treści się nie odnosi – „proszę udowodnić, że to nie fałszywka...".

Borys Budka, minister aktywów państwowych o aferze: – Poziom niekompetencji, poziom tego, jak spółka Orlen była narażona na niekorzystne działania Obajtka, jest porażający. Zajmują się tym służby. Nie mogę zdradzać informacji z dokumentów oklauzulowanych. W niedługim czasie opinia publiczna pozna wiele poważniejszych faktów na temat byłego prezesa Orlenu. – Wyciągnięty został przez kolegów z PiS z ławy oskarżonych. Zmieniono Kodeks postępowania karnego, by Daniel Obajtek oskarżony o działanie na szkodę spółki, którą zarządzał, by najpierw jego sprawa trafiła z powrotem do prokuratury, a później została umorzona... Wierzę, że Obajtek wróci na ławę oskarżonych – dodał Budka podczas konferencji prasowej.

Przypomnijmy: Daniel Obajtek to gwiazda i ikona ośmioletnich rządów obozu Zjednoczonej Prawicy. Z posady wójta Pcimia awansował na prezesa giganta paliwowego. W koncernie posłusznie realizował linię PiS. Między innymi manipulował cenami paliw, z gazet zakupionego wydawnictwa Polska Press zrobił tubę propagandową rządzących. Wchłonął też paliwowy koncern Lotosu, którego część – po zaniżonych cenach – odsprzedał Węgrom z MOL i Saudyjczykom z Saudi Aramco. **Opr. MAWIL**

---

przed szereg. On sam żadnych deklaracji nie składa; nie wiadomo też, co o tym pomyśle sądzi lider PiS. Niemniej nawet przeciwnicy Czarnka przyznają, że ma w sobie to „coś". I najczęściej w tym kontekście padają porównania do Donalda Trumpa, choć politycy koalicji rządzącej mówią kpiąco, że „to taki Trump na miarę naszych możliwości". Niczym z filmu „Miś".

Porównania do Trumpa nie są jednak do końca na wyrost. Podobnie jak były (i być może przyszły) prezydent USA Czarnek świetnie odczytuje klimat politycznego populizmu i z łatwością odwołuje się do środków wyrazu akceptowanych poza elitami. Ma niewyparzony język, bywa bezczelny, emanuje pewnością siebie. Ma też podobne do Trumpa swobodne podejście do prawa, choć w przeciwieństwie do biznesmena z USA posiada gruntowne wykształcenie prawnicze i doktorat obroniony na KUL. Jego tematem były zasady państwa prawa.

Polityk większościowej koalicji uważa jednak te porównania za nie do końca trafione. – Trump, zanim został prezydentem, był celebrytą, milionerem aktywnym w życiu publicznym. Czarnek jest człowiekiem znikąd. Z Trumpem łączy go tylko cynizm i populizm – ocenia.

Co ciekawe, Czarnek został wypromowany przez liderów PiS jako remedium na zagrożenie polityczne ze strony odważnie formułującej swoje antyeuropejskie postulaty formacji Zbigniewa Ziobry oraz środowisk, które w 2019 r. utworzyły Konfederację. Gdyby udało mu się związać bliżej z PiS ludzi Suwerennej Polski oraz Konfederacji, byłoby to jego ogromnym sukcesem.

Trudny życiorys kandydata

Urodzony w 1977 r. Czarnek dzieciństwo spędził w Goszczanowie koło Sieradza i do dziś lubi podkreślać swoje prowincjonalne korzenie. Wcześnie został sierotą, ale pod swoje skrzydła wziął go wuj, ks. prof. Jerzy Pałucki, wykładowca KUL. Zadbał o jego wykształcenie, posłał do lubelskiego liceum, a następnie na studia prawnicze, po których zrobił doktorat i habilitację.

Jego nominacja na wojewodę w 2015 r. była zaskoczeniem nawet dla lokalnych polityków. Promotorem kariery naukowca z KUL okazał się poseł PiS Sławomir Zawiślak, który dwa lata temu mówił „Tygodnikowi", że dostrzegł w nim ambicję i kreatywność. Prawie od pierwszego dnia urzędowania Czarnek swój znak rozpoznawczy zrobił z trzech kwestii: otwartej walki z LGBT+, hołubienia Kościoła i zaznaczania dystansu do Unii oraz zachodniej „zgnilizny moralnej". Jednocześnie był niezwykle aktywny, jeździł non stop na spotkania z wyborcami, organizował cykliczne konferencje prasowe, podczas których mówił barwnie, dbał o puenty, szanował dziennikarzy z „wrogich" redakcji. Później jednak zrobił się dumny i protekcjonalny.

W całej Polsce zrobiło się o nim głośno w 2018 r., gdy Marsz Równości, który przeszedł ulicami Lublina, nazwał „promocją zboczeń, dewiacji i wynaturzeń". Natychmiast stał się ulubieńcem Radia Maryja, więc trudno się dziwić, iż nadawał się na kogoś, kto powstrzyma próby obchodzenia PiS z prawej strony. Jego ciągły spór ze środowiskami LGBT+, a zwłaszcza słowa o konieczności obrony polskich rodzin przed „zepsuciem, deprawacją, absolutnie niemoralnym postępowaniem", oraz o potrzebie skończenia z idiotyzmami „o jakichś prawach człowieka czy o jakiejś równości" – zainspirowały Andrzeja Dudę, który z krucjaty przeciwko mniejszościom zrobił oś swej kampanii.

W październiku 2020 r. Czarnek został szefem połączonych resortów edukacji i nauki. Miał zadbać o „patriotyczny" front ideologiczny, wspierać zaprzyjaźnione uczelnie (rozdał im niemal miliard złotych subwencji) oraz wziąć pod but te, które ulegały różnym „lewicowym miazmatom". Efekt? Z jego rządami wiąże się niespotykana w III RP ideologizacja programów szkolnych, rugowanie ze szkół „niewłaściwych" organizacji pozarządowych, przy jednoczesnej akceptacji ludzi w rodzaju kuratorki Barbary Nowak, której poglądy są bliskie ruchom antyszczepionkowym. Jednak jako minister w końcu przesadził. Jego kolejne zmiany, które miały odebrać dyrektorom szkół resztki autonomii, zablokowały weta prezydenta Dudy do dwóch wersji ustawy zwanej lex Czarnek.

Wielu polityków PiS powtarza, że jak na lidera jest zbyt mało doświadczony i jednak zbyt radykalny, by łączyć frakcje. Musi też zbudować swój autorytet w grupie, no i przekonać Kaczyńskiego, do którego ucha wciąż ma szeroki dostęp tzw. zakon PC, nieakceptujący bezczelnego nuworysza. Kłopot jest też w tym, że prezes nie stosuje spójnej logiki, ciężko przewidzieć jego decyzje i zadowalać przez dłuższy czas. Jeśli się mu tylko przytakuje, ląduje się co najwyżej w wiernym drugim szeregu, z kolei zbyt silny bunt może skazać na anihilację. Bez akceptacji lidera w grę wchodzi tylko przewrót – z tego zaś scenariusza wszyscy się śmieją.

– Prezes wciąż jest bardzo silny. Czarnek to rozumie i nie podskakuje, jest długodystansowcem, choć z pozoru wygląda na narwanego. Jego pozycja w PiS na Lubelszczyźnie to przecież mozolne budowanie poparcia na dole. W tym jest dobry – mówi jeden z posłów PiS.

Nowogrodzka to jednak nie Lublin, więc Czarnek musi uważać. W ostatnim czasie już mocno zgrzeszył, wykazując się zbyt dużą „niezależnością". Chodzi nie tylko o bunt w sprawie Bosaka, ale także samowolną decyzję o zakończeniu okupacji siedziby PAP przez parlamentarzystów. Po tym, jak po świętach Bartłomiej Sienkiewicz postawił TVP, Polskie Radio i PAP w stan likwidacji, Czarnek o szóstej rano ogłosił koniec akcji. Nieważne, czy miał rację. Zrobił to bez konsultacji z prezesem. Dlatego niektórzy w PiS ostrzegają, że Kaczyński już mógł zagiąć na niego parol i czeka na potknięcie, by zneutralizować młodą gwiazdę.

Czynnikiem przyspieszającym zmiany w PiS, które dziś wydają się niemożliwe, mogą być jednak wiosenne podwójne wybory – samorządowe i europejskie. W razie słabego wyniku (bardzo prawdopodobnego) partia może zacząć się buntować. Osiem lat korzystania z zasobów państwa i karier w spółkach sprawia, że działacze nie mają ochoty na tkwienie przez lata w opozycji. Inna sprawa, że Kaczyński o tym wie, więc scenariusz na najbliższe miesiące może polegać na tym, że lider formalnie rzeczywiście ustąpi, a na prezesa wskaże kogo innego, ale łatwiej sterowalnego niż ambitny Czarnek. Wtedy Kaczyński zadowoliłby się funkcją w rodzaju szefa rady politycznej. Nadal by jednak rządził, a nowy szef byłby w sytuacji analogicznej do tej, w jakiej byli latami Szydło i Morawiecki w rządzie (...).

Kto mógłby być tym wskazanym z góry „prezesem"? Zapewne ktoś w rodzaju Mariusza Błaszczaka. Jeśli jednak przy okazji kolejnych porażek uruchomi się ferment, Czarnek może zostać zwycięzcą (...).

PIOTR ŚMIŁOWICZ
Współpraca:
MAREK KĘSKRAWIEC

Nie widzę okoliczności łagodzących dla Andrzeja Dudy

Prezydent wie, że łamie konstytucję

Rozmowa z prof. JACKIEM BARCIKIEM z Instytutu Nauk Prawnych Uniwersytetu Śląskiego, adwokatem

Przegląd Nr 8 (19 – 25 II)
Cena 9,80 zł

– Minęły trzy miesiące od chwili, gdy oświadczył pan, że nie zjawi się na uroczystości nadania tytułu profesora, bo nie chce ściskać ręki prezydenta, przestępcy konstytucyjnego. Czy przez ten czas zdarzyło się coś, co złagodziło pański osąd?

– Nic takiego nie nastąpiło, co najwyżej pojawiło się wewnętrzne uczucie ulgi, że wtedy podjąłem słuszną decyzję. Obserwując aktywność głowy państwa z ostatnich kilku miesięcy, muszę, niestety, zauważyć, że nie tylko litera, ale też duch polskiej konstytucji jest zupełnie obcy panu prezydentowi. Po wyborach z 15 października rozpoczął się proces wyłaniania Rady Ministrów. Duch konstytucji jest oczywisty: w państwie powinien istnieć stabilny ośrodek rządowy, oparty na większości parlamentarnej. Już kilka dni po wyborach podpisana została deklaracja zapewniająca przyszłemu rządowi solidną większość, a po stronie „zjednoczonej prawicy" mieliśmy tylko zapowiedź szukania większości. Decyzja była więc oczywista. Tymczasem prezydent, mający stać na straży konstytucji, z przyczyn wyłącznie politycznych zabawiał się ze społeczeństwem – i odkładał jak mógł, ze szkodą dla Polski, powierzenie misji stworzenia rządu przedstawicielowi tej stabilnej większości. To był chocholi taniec człowieka, który miał złoty róg, a wkrótce zostanie z samym sznurem. W pełni podtrzymuję więc swoje słowa z listopada tamtego roku.

– Jakie „przestępstwa konstytucyjne" popełnił prezydent Duda?

– Przede wszystkim podpisał ustawę umożliwiającą wybór dublerów do Trybunału Konstytucyjnego na miejsca obsadzone przez sędziów prawidłowo wybranych na dziewięcioletnią, konstytucyjną kadencję. Zaprzysiągł następnie trójkę dublerów, którzy zastąpili legalnych sędziów TK. Andrzej Duda wiedział, że łamie konstytucję, dlatego dublerów zaprzysiągł w pośpiechu, w nocy, zaraz po tym, jak wybrała ich pisowska większość sejmowa. Trybunał Konstytucyjny (jeszcze ten prawidłowo wyłoniony) orzekł, że ustawa, w wyniku której wybrano dublerów, była sprzeczna z ustawą zasadniczą. Prezydent ma czuwać nad przestrzeganiem konstytucji. Andrzej Duda uchybił temu obowiązkowi i świadomie wprowadził chaos do naszego systemu prawnego, bo rozstrzygnięcia TK przyjęte z dublerami w składzie nie są prawidłowo wydanymi wyrokami.

Potwierdzają to orzeczenia polskie i unijne. Europejski Trybunał Praw Człowieka w sprawie spółki Xero Flor przeciw Polsce orzekł, że rozstrzygnięcie Trybunału Konstytucyjnego z udziałem dublera naruszyło prawo spółki do sądu ustanowionego ustawą, a TK z dublerami w składzie nie spełnia wynikających z art. 6 Europejskiej konwencji praw człowieka wymogów „sądu ustanowionego ustawą". Gdy więc w Trybunale Konstytucyjnym orzeka osoba powołana na stanowisko sędziowskie z oczywistym naruszeniem prawa, przekreśla to prawo jednostki do sądu i rzetelnego procesu sądowego. Dotychczas TK wydał prawie 80 takich nieorzeczeń z udziałem dublerów. Rzecznik praw obywatelskich zasadnie stwierdził, że każde orzeczenie trybunału z udziałem dublera będzie prawnie wadliwe i może narazić Polskę na wypłatę odszkodowań.

– Wybór dublerów do trybunału to nie wszystko...

– Andrzej Duda naruszył też art. 187 konstytucji mówiący, że kadencja członków Krajowej Rady Sądownictwa trwa cztery lata, a Sejm wybiera czterech z nich. Prezydent podpisał ustawę, która umożliwiła pisowskiej większości sejmowej wybranie nie czterech, ale aż 15 członków neo-KRS, a także skróciła poniżej czterech lat kadencję tych członków rady, których wcześniej Sejm wybrał prawidłowo. Naruszenie konstytucji zostało tu potwierdzone orzecznictwem Europejskiego Trybunału Praw Człowieka i Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej.

– Czy TSUE orzekł, że funkcjonowanie neo-KRS, powołanej wbrew konstytucji, jest sprzeczne z prawem unijnym?

– Formalnie Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej nie może wprost kontrolować, czy instytucje krajowe są utworzone zgodnie z prawem UE – tak jak polski Trybunał Konstytucyjny nie ma prawa badania zgodności regulaminu TSUE z naszą konstytucją (choć niedawno to zrobił, uznając oczywiście, że zgodności nie ma, więc TSUE nie może nakładać kar na Polskę). Rząd PiS ciągle zatem podkreślał, że to, jak zorganizowane są sądy, stanowi wewnętrzną sprawę każdego państwa, a Unii nic do tego. Istotnie, zgodnie z traktatem o funkcjonowaniu Unii Europejskiej organizacja wymiaru sprawiedliwości leży w gestii krajów członkowskich i bywa zróżnicowana zależnie od kultury politycznej i prawnej danego państwa. Prawo Unii mówi jednak: organizujcie sobie wymiar sprawiedliwości, jak chcecie, to wasza kompetencja krajowa, ale pod warunkiem, że będzie bezstronny, niezależny i będzie zapewniał skuteczne środki odwoławcze. Art. 47 Karty praw podstawowych UE, przyjętej przez wszystkie państwa członkowskie, stanowi bowiem, że każdy ma prawo dostępu do niezawisłego i bezstronnego sądu, zaś art. 19 ust. 1 traktatu o Unii Europejskiej zobowiązuje państwa członkowskie do ustanowienia środków zaskarżenia niezbędnych do zapewnienia skutecznej ochrony sądowej w dziedzinach objętych prawem Unii. Skuteczność ta musi być oceniana także w kontekście istnienia niezależnego sądownictwa tworzonego przez niezawisłych sędziów. Sędziowie powołani w sposób wadliwy i sprzeczny z konstytucją mogą nie dawać gwarancji spełnienia tych warunków.

– Stwierdzono już, że ci sędziowie rzeczywiście nie dawali takich gwarancji?

– Europejski Trybunał Praw Człowieka niejednokrotnie orzekał, że sąd, który wydał rozstrzygnięcie z udziałem osoby powołanej w wadliwy sposób, nie jest niezależnym i bezstronnym sądem ustanowionym na mocy ustawy. Na przykład ETPC w sprawie Wałęsa przeciw Polsce uznał, że byłego prezydenta pozbawiono prawa do rzetelnego procesu przed niezawisłym sądem, gdyż Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego, która wcześniej decydowała w jego sprawie, nie ma cech sądu powołanego ustawą i nie może wydawać prawidłowych orzeczeń. Zasiadają w niej bowiem osoby niewłaściwie powołane, czyli nieuprawnione do orzekania. ETPC przyznał Lechowi Wałęsie 30 tys. euro zadośćuczynienia i wezwał Polskę do przywrócenia zgodności krajowego porządku prawnego z wymogami niezawisłego i bezstronnego sądu (czyli wyeliminowania wadliwej procedury powoływania sędziów) oraz zapewnienia przestrzegania zasady pewności prawa. Również Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej orzekł, że osoby powołane na stanowiska sędziów przy udziale wadliwie, sprzecznie z konstytucją utworzonej Krajowej Rady Sądownictwa mogą nie dawać gwarancji niezależnego sądu i skutecznego środka prawnego. Ocena tego faktu zależy od sądów krajowych, będących zarazem sądami europejskimi. Jeśli więc polski sąd będzie mieć wątpliwość co do niezawisłości i bezstronności sędziego powołanego z naruszeniem przepisów, może powołać się na orzecznictwo trybunałów europejskich i podważyć tym samym skutki wyroków wydanych przez neosędziów. Prowadzi to do utraty przez polski system prawny cech stabilności, bo każdy wyrok z udziałem neosędziego w składzie orzekającym może być kwestionowany. Takie są skutki podpisu prezydenta pod niekonstytucyjną ustawą o Krajowej Radzie Sądownictwa. A rozstrzygnięcia trybunałów europejskich nas wiążą, konstytucja stanowi, że państwo musi je wykonywać.

– Prezydent, jako prawnik, na pewno wie o tym.

– I mimo to nie zaprzestał naruszania konstytucji. Już po wyborach parlamentarnych z 15 października hurtowo powoływał po kilkudziesięciu kolejnych neosędziów. Art. 179 konstytucji stanowi: „Sędziowie są powoływani przez Prezydenta RP na wniosek Krajowej Rady Sądownictwa, na czas nieoznaczony". Mamy tu więc dwa podmioty: prezydenta oraz KRS, która inicjuje całą procedurę i odgrywa główną rolę, bo sędziego można powołać tylko spośród kandydatów przez nią zgłoszonych. W świetle zaleceń Komisji Weneckiej, ciała doradczego Rady Europy, głowa państwa nie powinna nawet odmówić powołania na sędziego osoby wskazanej przez organ sądowniczy. Komisja Wenecka uważa, że rola głowy państwa powinna być tu deklaratoryjna, czysto ceremonialna. Pod rządami PiS przyjęto zaś rozwiązanie, że powołanie sędziego przez prezydenta jest aktem takiej wagi, że sanuje, uzdrawia wadliwość funkcjonowania neo-KRS i wszelkie składane przez nią wnioski. Czyli, tak jak kiedyś cesarz Kaligula uczynił konia senatorem, tak teraz neo-KRS może wskazać prezydentowi człowieka bez żadnych kompetencji, który – sprowadzając rzecz do absurdu – np. nie skończył studiów prawniczych, i jeśli prezydent go powoła, mógłby on być uznawany za pełnoprawnego sędziego.

– To przykład skrajny, do którego na szczęście nie doszło.

– Doszło natomiast do powołania przez Andrzeja Dudę już ok. 3,1 tys. neosędziów, przedstawionych przez wybraną z naruszeniem konstytucji, upolitycznioną Krajową Radę Sądownictwa. Neosędziowie nie mają uprawnień do orzekania, a ich rozstrzygnięcia są skutecznie podważane. Zaczął się chaos prawny. Na jednej szali mamy wartość, jaką są praworządność i legalność, na drugiej wartość równie ważną: stabilność orzeczeń. Obywatele widzą dramatyczne rozchwianie pewności prawa. Odpowiada za to doktor nauk prawnych prezydent Andrzej Duda. Wśród osób, które, uczestnicząc w procedurze stosowanej przez wadliwą KRS, postanowiły ubiegać się o urząd sędziego, było wielu aplikantów po Krajowej Szkole Sądownictwa i Prokuratury, Bogu ducha winnych temu, że państwo wyznaczyło im taką drogę kariery. Byli jednak i koniunkturaliści, moi niektórzy koledzy ze środowiska akademickiego, i nie tylko, ze stopniami i tytułami naukowymi, którzy bez skrupułów wystartowali do Sądu Najwyższego, z pełną świadomością, że w ten sposób dekomponują system prawny w Polsce. Zaczęli traktować nienormalność jak normalność, na co nie ma zgody. Jak oni mogą potem uczyć studentów o praworządności i legalizmie?

– Uczy o tym np. prof. Małgorzata Manowska, I prezes Sądu Najwyższego, której kandydaturę do SN rozpatrywała obecna KRS...

– ...i która została powołana na stanowisko I prezes przez Andrzeja Dudę, choć jej kandydatury nie przedstawiło Zgromadzenie Ogólne Sędziów SN, czego wymaga konstytucja. Konstytucja mówi też, że I prezes Sądu Najwyższego jest powoływany na sześcioletnią kadencję. Prezydent, chcąc skrócić kadencję Małgorzaty Gersdorf, I prezes SN od 2014 r., podpisał ustawę obniżającą z 70 do 65 lat wiek przejścia w stan spoczynku sędziów Sądu Najwyższego. Złamał więc i konstytucję, i – co orzekł TSUE – prawo unijne. Podpisał też ustawę o państwowej komisji ds. badania wpływów rosyjskich na bezpieczeństwo wewnętrzne Polski, która pozbawiała obywateli ochrony prawnej. Komisja ta, organ polityczny, miała prawo wydać quasi-wyrok sądowy, a osoba, której on dotyczył, nie mogła się od niego odwołać. Ustawa była sprzeczna i z konstytucją, i z wiążącymi Polskę umowami międzynarodowymi dotyczącymi ochrony

Fot. Tomasz Jastrzębowski/Reporter

prawnej. Potwierdzali to niemal wszyscy poza działaczami obozu rządowego. Prezydent oznajmił zaś, że w jego mniemaniu te rozwiązania są właściwe i zgodne z konstytucją – a po pięciu dniach od swojego podpisu złożył własny projekt ustawy, lekko ograniczający kompetencje komisji.

– Dziś o łamaniu konstytucji mówią politycy poprzedniego obozu rządowego. Bronią np. mediów publicznych, jakoby przejętych sprzecznie z prawem.

– W tym wypadku naruszenie prawa nastąpiło dużo wcześniej, gdy Andrzej Duda podpisał ustawę o Radzie Mediów Narodowych, która przejęła część kompetencji konstytucyjnego organu, jakim jest Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji, i wymieniła władze mediów publicznych. Trybunał Konstytucyjny w 2016 r. uznał za niekonstytucyjne pozbawienie KRRiT udziału w powoływaniu i odwoływaniu władz mediów publicznych oraz stwierdził, że Rada Mediów Narodowych nie może mieć uprawnień do ich wybierania.

Pisowska ekipa obiecywała działania w celu wdrożenia tego wyroku, ale nic nie zrobiła. Dlatego uważam, że prawidłowe były, podjęte na mocy Kodeksu spółek handlowych, decyzje ministra Bartłomieja Sienkiewicza, zmieniające rady nadzorcze mediów publicznych. Zarzuty, że postępował nielegalnie, brzmią fałszywie. Nielegalne działania zaczęły się od podpisu prezydenta – tak jak i afera podsłuchowa z użyciem Pegasusa, która ma podłoże w podpisaniu przez niego nowelizacji Kodeksu postępowania karnego, dopuszczającej korzystanie z nielegalnie zdobytych dowodów. Prezydent zawetował też ustawę okołobudżetową, by utrudnić pracę rządowi i zapobiec przekazaniu 3 mld zł mediom publicznym. Tłumaczył, że nie godzi się na łamanie konstytucji i zasad demokratycznego państwa prawa. To weto nie było deliktem konstytucyjnym, ale pokazało, że Andrzej Duda traktuje ustawę zasadniczą jak szmacianką, którą można kopnąć, by strzelić gola przeciwnikowi. Gdy rząd PiS w 2022 r. wpisał 2,7 mld zł dla mediów do ustawy okołobudżetowej, prezydent nie wetował, nie widział naruszania konstytucji i zasad demokracji w tym, że publiczne pieniądze idą na wspieranie propagandy partyjnej w mediach przejętych przez rząd.

– Zapewne nie było też deliktem konstytucyjnym goszczenie skazanych Kamińskiego i Wąsika w Pałacu Prezydenckim, ale jak pan to ocenia?

– Tu także wszystko zaczęło się od decyzji Andrzeja Dudy. Ułaskawił obu panów, z kuriozalnym tłumaczeniem, że uwalnia wymiar sprawiedliwości od ich sprawy. Wyręczanie sądów nie należy do prezydenta. Konstytucja mówi: „Prezydent Rzeczypospolitej stosuje prawo łaski. Prawa łaski nie stosuje się do osób skazanych przez Trybunał Stanu". Skoro prawa łaski nie stosuje się tylko do skazanych przez Trybunał Stanu, to znaczy, że stosuje się je do innych skazanych – ale panowie Kamiński i Wąsik nie byli skazani prawomocnie w chwili ułaskawienia. Zostało to potwierdzone orzeczeniem Sądu Najwyższego i późniejszym wyrokiem sądu okręgowego, który prawomocnie skazał obu panów. Mimo tego wyroku wydanego w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej Andrzej Duda spotykał się z dwoma skazanymi, fotografował się z nimi i przez wiele dni oświadczał, że jego pierwsze ułaskawienie wciąż obowiązuje. To lekceważenie przez głowę państwa norm konstytucyjnych oraz wymiaru sprawiedliwości.

– Kamiński i Wąsik, choć nieprawomocnie, ale byli skazani w chwili ułaskawienia. Są opinie prawników, że prezydent może stosować prawo łaski na każdym etapie postępowania. A także, że skoro Trybunał Konstytucyjny uznał prawo łaski za wyłączną kompetencję prezydenta, to Sąd Najwyższy nie miał prawa negować ułaskawienia. Czyli sąd okręgowy nie mógł potem ich skazać.

– Opinie tego rodzaju z pewnością nie dominują w nauce prawa konstytucyjnego. Podobna argumentacja jest wręcz absurdalna, bo wykładnia, jaką pan przytoczył, oznaczałaby przyznanie prezydentowi prawa do udzielania każdej osobie całkowitej licencji na bezkarność. To sprzeczne nie tylko z intencją konstytucji, ale też z podstawowymi zasadami polskiego procesu karnego, wedle których osoba jeszcze nieskazana prawomocnym wyrokiem jest uznawana za niewinną. Ułaskawienie przed prawomocnym skazaniem pozbawiałoby ją domniemania niewinności oraz prawa do obrony. Ułaskawienie to uznanie, że wprawdzie popełniono czyn zabroniony, ale jest on darowany właśnie przez zastosowanie prawa łaski.

– Prezydent podpisywał sprzeczne z konstytucją ustawy, ale nie on je uchwalał. Czy bardziej winna nie jest zatem pisowska większość, która je przegłosowywała?

– Nasz system ustrojowy opiera się na zasadzie checks and balances (kontroli i równowagi), która ma zapobiec kumulacji władzy w ręku jednostki lub grupy. Władza państwowa powinna być skuteczna, ale i rozproszona, a jej organy mają być dla siebie hamulcami, by nie dopuścić do autokracji czy wprowadzenia szkodliwych przepisów. Jednym z tych hamulców i bezpieczników ustrojowych jest głowa państwa, która może odmówić podpisania ustawy albo skierować ją do Trybunału Konstytucyjnego (to kolejny bezpiecznik).

Polski problem polega na tym, że za rządów PiS usunięto po kolei te bezpieczniki. Jedynym pozostało społeczeństwo obywatelskie, a za granicą – trybunały europejskie, które próbowały mitygować władzę. Idea urzędu prezydenta polega na tym, że ma on być arbitrem między organami władzy, powinien godzić spory polityczne, wygaszać rozwiązania sprzeczne z prawem czy wątpliwe konstytucyjnie i ustrojowo. Andrzej Duda tego nie robił. Podpisywał ustawy sprzeczne z konstytucją i czynnie je akceptował mimo orzeczeń trybunałów i licznych sygnałów ze strony środowisk prawniczych, że czyni źle. Nie widzę dla niego okoliczności łagodzących.

– Jeśli Andrzej Duda jest przestępcą konstytucyjnym, to jaką odpowiedzialność powinien ponieść?

– Widzę oczywiście powody, by postawić go w stan oskarżenia przed Trybunałem Stanu, ale nie ma ku temu większości parlamentarnej. Zgodnie z konstytucją stosowną uchwałę musiałoby podjąć co najmniej dwie trzecie członków Zgromadzenia Narodowego (wspólnie Sejmu i Senatu). Ale prezydent, gdyby chciał, mógłby jeszcze pomóc w naprawie tego, co zepsuł. Przede wszystkim nie powinien blokować żadnych działań ministra sprawiedliwości zmierzających do przywrócenia praworządności i naprawy wymiaru sprawiedliwości. Nie jestem jednak optymistą. Gdy Adam Bodnar jak najsłuszniej przypomniał o konieczności wykonywania przez sądy w Polsce wyroków trybunałów europejskich, Andrzej Duda oświadczył, że to praktyki rodem z czasów stalinowskich. Zrównał zatem wolną Polskę z okresem, gdy człowiek w naszym kraju nie był pewny dnia ani godziny swego życia. Prezydent zdaje się nie widzieć wymogów systemu prawnego ani potrzeb państwa. Widzi tylko swoje zagrożone rzekomo kompetencje. Otóż, panie prezydencie, nie chodzi o pańskie kompetencje, chodzi o stabilność systemu prawnego i oszczędzenie polskim obywatelom jeszcze większych problemów niż te, które pan im dotychczas zafundował swym nieodpowiedzialnym i sprzecznym z konstytucją zachowaniem. Każdy z nas w mniejszym lub większym stopniu ma prawo do pewnej dozy infantylności, jednak od osoby sprawującej najwyższy urząd publiczny powinno się wymagać dojrzałości.

– Jak pan ocenia dotychczasowe decyzje nowej władzy?

– Najpierw trzeba naprawić, aby potem zmieniać. Państwo stoi w obliczu problemu przywrócenia sytuacji zgodnej z praworządnością. Liczę, że nowa ekipa będzie w stanie tego dokonać, a potem zrezygnuje z części autokratycznych narzędzi władzy, zainstalowanych przez obóz „zjednoczonej prawicy". Działania rządzących to konieczne kroki we właściwym kierunku, za ich decyzjami stoją argumenty prawne – i jak najszybciej potrzeba dalszego ciągu. Jeśli chodzi o trójkę dublerów w Trybunale Konstytucyjnym, to sędziów TK wybiera się uchwałą sejmową. Można więc także uchwałą odwołać dublerów i zastąpić ich trójką legalnych sędziów. Należy też zakończyć działalność neo-KRS, do czego również wystarczy uchwała sejmowa. Są wyroki ETPC i TSUE uznające obecny skład Krajowej Rady Sądownictwa za sprzeczny z polskimi zobowiązaniami międzynarodowymi i trzeba je wykonać. Jednak dokonanie prawidłowego wyboru nowych członków KRS i przywrócenie stanu zgodnego z konstytucją wymaga zmiany ustawy o Krajowej Radzie Sądownictwa i powstrzymania się prezydenta od weta. Nie widzę tu raczej światełka nadziei. Ten zabetonowany system trzeba powoli „odbetonować", opierając się na orzecznictwie trybunałów europejskich.

ANDRZEJ DRYSZEL

Supereksfakty

Zbigniew Ziobro (53 l.) toczy zaciętą walkę z chorobą nowotworową. O stanie zdrowia byłego ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego poinformował poseł **Michał Wójcik (52 l.).**

– *Rokowania są trudne. W momencie, gdy diagnozowano nowotwór, były już przerzuty. Jest bardzo ciężko chory, czeka go ciężka operacja. Ma zaawansowaną postać nowotworu przełyku. Na pewno nie jest faworytem w tej walce* – przyznał Wójcik. – *Jest po trzeciej dawce chemioterapii, radioterapii, ale chce stanąć przed komisją* – mówił polityk *Faktowi*. Oczywiście chodzi o komisję do spraw Pegasusa, zajmującą się inwigilacją za czasów rządów Zjednoczonej Prawicy, która chce przesłuchania jako świadków m.in. Jarosława Kaczyńskiego, Beaty Szydło i Zbigniewa Ziobry. Komisji tej przewodniczy Magdalena Sroka (PSL), a wiceszefami są: Marcin Bosacki (KO), Paweł Śliz (Polska 2050), Tomasz Trela (Lewica), Przemysław Wipler (Konfederacja). Członkami zostali też: Joanna Kluzik-Rostkowska i Witold Zembaczyński z klubu Koalicji Obywatelskiej oraz Mariusz Gosek, Marcin Przydacz, Jacek Ozdoba i Sebastian Łukaszewicz z PiS.

* * *

Super Express przyjrzał się, jak mieszka **Radosław Sikorski (60 l.)**, minister spraw zagranicznych w rządzie Donalda Tuska. „(...) Sikorski może pochwalić się wyjątkowym miejscem zamieszkania, ponieważ mieszka w zabytkowym dworze położonym w pięknej okolicy, w miejscowości Chobielin, niedaleko Bydgoszczy. Dwór jest stary i tylko dzięki Sikorskiemu nie popadł w ruinę. Wszystko dlatego, że w okresie PRL budynek należał do PGR i znajdowały się tam PGR-owskie biura, nikt nie dbał należycie o tę architektoniczną perełkę. – *Zgniłe podłogi, zamiast okien – dziury, walące się stropy, zdezelowane schody. W miejscu ogrodu był chlew, a ściślej mówiąc, jakieś jego resztki. Totalna ruina* – opowiadała w jednym z wywiadów przed laty żona Sikorskiego. W 1988 roku, za 1200 dolarów, Sikorski kupił wraz z rodzicami zrujnowany XIX-wieczny budynek, który później przez lata remontował, poprawiał, aż przywrócił dworkowi dawny blask. Dom Radosława Sikorskiego i jego żony Anne Appelbaum, jak na dwór przystało, stoi w otoczeniu pięknej zieleni. Pełno tam drzew, krzewów i kwiatów. Niedaleko jest też staw. To iście sielskie miejsce przywołujące w pamięci szlacheckie dworki i pałace. Równie wytwornie prezentują się wnętrza domu. Pełno tam pamiątkowych zdjęć, obrazów, bibelotów, rzeźb. Posadzki są kamienne, a meble stylowe. W domu jest jednak przytulnie, a w salonie królują kominek i kościelne organy! Kuchnia zaś jest wyposażona i zaprojektowana stylowo, ale i praktycznie".

KATARZYNA GORZKIEWICZ

Kaczyński musi odejść

Rozmowa z prof. RAFAŁEM CHWEDORUKIEM, politologiem z Uniwersytetu Warszawskiego

TYGODNIK ANGORA

– Profesor Andrzej Nowak, jeden z najwybitniejszych polskich historyków, którego kandydaturę rozpatrywał PiS przed Andrzejem Dudą w wyborach prezydenckich w 2015 r. (profesor nie należał do partii), napisał list otwarty. „Głos starego wyborcy z myślą o młodszych". To pierwsza na prawicy tak dosadna krytyka Jarosława Kaczyńskiego, od czasów gdy w 2010 r. politolog Marek Migalski, wówczas europoseł z listy PiS-u, napisał: „Bez Pana nie przetrwamy, z Panem nie wygramy". Pozycja Nowaka zarówno w nauce polskiej, jak i na prawicy jest zdecydowanie mocniejsza niż Migalskiego. Profesor apeluje do prezesa, żeby władzę w partii oddał młodszym. Jakie reperkusje wywoła ten list?

– Profesor Nowak jest człowiekiem z zewnątrz, który jednak swoją aktywnością publiczną wspomagał Prawo i Sprawiedliwość. Jego list na pewno został przeczytany z uwagą... i zaskoczył. Jednak w tak dużej partii, jaką jest PiS, trudno oczekiwać, żeby jeden czynnik mógł być katalizatorem rewolucyjnych zmian. Podobnych sygnałów, choć nie tak dobitnych i wyrazistych, było więcej – jak choćby wypowiedź Mateusza Morawieckiego w sprawie jego przyszłości czy konflikt w PiS-ie w sprawie głosowania nad odwołaniem z funkcji wicemarszałka Krzysztofa Bosaka. To pokazuje, że w Prawie i Sprawiedliwości nie da się już rządzić po staremu. Rysuje się coraz ostrzejszy podział na środowisko dawnego Porozumienia Centrum, czyli tzw. zakon, i resztę.

– Czy kierownictwo PiS-u i jego prezes przed wyborami brali pod uwagę, że stracą władzę?

– Moim zdaniem zdawano sobie sprawę, że wybory będą porażką, ale nie zdawano sobie sprawy, że będą katastrofą. PiS nie miał planu B.

– Dr Józef Orzeł, filozof, socjolog, ekonomista, kolejna postać ciesząca się na prawicy dużym respektem, w wywiadzie dla Radia Wnet powiedział, że zgadza się z diagnozą Nowaka, że PiS popełnił bardzo wiele błędów. Jednak uważa, że gruntownych zmian nie można przeprowadzić bez udziału prezesa, gdyż inaczej walka o następstwo doprowadzi do podziałów i zmarginalizowania PiS-u.

– Ta wypowiedź potwierdza moją diagnozę. Wszelkie inicjatywy oddolne zmierzające do zmiany przywództwa w PiS-ie oznaczałyby powrót do prawicy z lat dziewięćdziesiątych i przypominałyby sejmik szlachecki albo konwent Świętej Katarzyny. Chętnych do objęcia przywództwa po prezesie jest wielu, ale kluczowe będzie to, na kogo postawi główny nurt partii.

– Jarosław Kaczyński od kilkunastu lat mniej lub bardziej wyraźnie sugerował, że niedługo namaści następcę. Potem okazało się, że nie miał takiego zamiaru, a jedynie chciał zobaczyć, kto zgłosi akcesję do walki o tron. Pierwszą ofiarą takiej polityki prezesa był Zbigniew Ziobro. Teraz jednak w PiS-ie coraz głośniej mówi się, że Kaczyński nie wskaże następcy, a ma go wyłonić kongres partii w 2025 r.

– Główny nurt PiS-u gra na czas. Zamiast dyskutować o katastrofie wyborczej, szukać przyczyn porażki, partia uwikłała się w różne, czasem absurdalne, spory. PiS będzie partią słabszą niż do tej pory. Żeby dotrwał do następnych wyborów jako jedna zwarta formacja na poziomie poparcia powyżej 30 proc., muszą zostać spełnione dwie przesłanki. Pojawienie się w Polsce perturbacji ekonomicznych, które wydają się nieuchronne, i Trump musi wygrać wybory. Zwycięstwo kandydata Republikanów może stworzyć zdolność koalicyjną PiS-u w kraju i skończyć z jego międzynarodową izolacją. Dopiero wówczas główny nurt partii i sam prezes zapewne byliby skłonni do zmiany modelu funkcjonowania włącznie ze zmianami personalnymi. Na razie Prawo i Sprawiedliwość nie tylko nie ustaliło, kto może być następcą Kaczyńskiego, ale w imię czego.

– Czy takim koalicjantem mógłby być w przyszłości tworzący się właśnie ruch obrony CPK, w który zaangażowali się ludzie o bardzo różnych poglądach? Tak przynajmniej sugeruje dr Józef Orzeł.

– To nie jest dobry pomysł. Jedno wahnięcie koniunktury gospodarczej lub jedna zmiana sytuacji międzynarodowej wywróci taki ruch. Błędem PiS-u było to, że nie wypracował strategii wobec innych politycznych podmiotów, poza strategią wobec Platformy, która polegała na tym, że jesteśmy przeciw. Nie wypracował strategii wobec Konfederacji, która miała i ma przecież inny elektorat, ani wobec PSL-u, wahając się między kokietowaniem ludowców a frontalnym atakiem spersonalizowanym na Waldemarze Pawlaku, który jest pragmatycznym politykiem i ostatnim, którego PiS powinien atakować. Partia Kaczyńskiego wolała zajmować się absurdami dekomunizacyjno-lustracyjnymi kilkadziesiąt lat po upadku systemu, który to upadek był przecież kontrolowany przez naszych obecnych sojuszników. W efekcie takich działań Lewica w żadnej strategicznej sprawie nie chciała opowiedzieć się po stronie PiS-u. Nie można walczyć ze wszystkimi, chyba że ma się takie zasoby jak Viktor Orbán, a PiS takich nie miał.

– Nowak pisze: Czy Jarosław Kaczyński (...) może zmienić swój wizerunek, tak perfekcyjnie kreowany i wykorzystywany przez Donalda Tuska i wspierający go front medialny?

– Nie jest to takie proste. Co z tego, że pojawiłby się nowy lider, kiedy przeciwnicy PiS-u od razu atakowaliby, że jest to lider malowany. Proszę sobie przypomnieć, jak Ewa Kopacz została premierem, następcą Donalda Tuska, i podczas wystąpienia powiedziała: „Mam dla ciebie, Donaldzie, komunikat...". Miało to poprawić jej wizerunek autonomicznego lidera, ale nikt w to nie uwierzył.

– Ale nawet jeżeli Trump wygra, to wcześniej czekają PiS wybory samorządowe i do Parlamentu Europejskiego, które zapewne skończą się porażką.

– I wówczas nastąpi erupcja niezadowolenia.

– Jeżeli PiS nie przeprowadzi rachunku sumienia, nie odpowie na pytanie, dlaczego przegrał wybory, to ma małe szanse na powrót do władzy.

– Nikt w PiS-ie nie przedstawił jednej wspólnej diagnozy i myślę, że było to celowe działanie. Gdyby taka rzetelna analiza się pojawiła, musiałoby z niej wynikać, że winne jest kierownictwo z prezesem na czele, a wnioski mogłyby być jednoznaczne: trzeba zmienić kierownictwo i dokonać zmiany pokoleniowej.

– Ostatnio w rozmowie z Polsatem Andrzej Duda stwierdził: Młodzi ludzie powinni mieć więcej do powiedzenia w PiS-ie. Czuje się, że potrzebny jest młody duch, młode spojrzenie. Z kolei w rozmowie z Radiem Wnet, już po napisaniu listu, prof. Nowak klęski PiS-u upatruje przede wszystkim w jednoosobowym kierownictwie, gdzie nikt nie śmie mieć innego zdania niż prezes.

– Ponieważ PiS wyrastał z prawicy lat dziewięćdziesiątych, która ideologicznie i personalnie była wręcz groteskowo podzielona, to jedynym wyjściem było jednoosobowe przywództwo. Problem polega jednak na tym, że PiS kompletnie nie odczytał znaków czasu i nie dotyczy to tylko pozycji lidera. Dziś polskie społeczeństwo bardzo różni się od tego z roku 2005, kiedy po raz pierwszy dochodził do władzy. Tamtego świata już nie ma. Czasy polityki Reagana, Thatcher minęły jeszcze wcześniej. Nie można być trumpistą i realizować agendę Bidena, jak próbował to robić PiS. To, czym podczas ostatniej kampanii wyborczej PiS chciał dzielić opinię publiczną, trafiało w absolutną próżnię.

– Co ma pan na myśli?

– Komisję ds. wpływów rosyjskich, odwoływanie się do Jana Pawła II, referendum. To były świetne pomysły jeszcze na początku XXI wieku. To, co proponuje PiS, jest dobre na trwanie w polityce, ale nie zapewni zwycięstwa w wyborach, mimo że będziemy mieli coraz więcej emerytów, a jest to grupa, gdzie PiS zawsze cieszył się największym poparciem. Tylko roczniki emerytów, które teraz zaczynają pobierać świadczenia, są coraz bardziej zindywidualizowane, zlaicyzowane, zakorzenione w społeczeństwie konsumpcyjnym. PiS powinien też zrewidować politykę historyczną, którą prowadzi od lat, a efekt tego jest taki, że ogromna większość młodych ludzi jest przeciwna tej partii. To znaczy, że zarówno treść, jak i forma tej polityki zawiodły.

– Profesor Nowak krytykuje PiS także za jego politykę w stosunku do samorządów i zastanawia się, jak to możliwe, że partia ta wystawia kandydata na prezydenta Krakowa w ostatniej chwili, można powiedzieć z łapanki. To chyba słuszna uwaga, gdyż w tegorocznych wyborach nie wystartuje prezydent Majchrowski, który urząd ten pełni od 22 lat. Dlaczego nie kandyduje Małgorzata Wassermann, która w ostatnich wyborach uzyskała w Krakowie świetny wynik 125 786 głosów.

– Pani Wassermann nie miałaby żadnych szans na zwycięstwo w Krakowie, gdyż wbrew pozorom pod względem ideowym to nigdy nie było konserwatywne miasto. Przed wojną było najbardziej socjalistyczne z wielkich polskich miast – z gigantycznym poparciem dla lewicy. Po 1989 r. to jest miasto liberalne. PiS nie ma szans na zwycięstwo w dużych miastach. W poprzednich wyborach wygrał tylko w Stalowej Woli, a teraz może być gorzej. Gdyby więc pani Wassermann zdecydowała się wystartować w wyborach w Krakowie, to już dojście do drugiej tury byłoby sukcesem, a gdyby do niej nie weszła, to jej kariera polityczna ległaby w gruzach.

– Ale kiedyś PiS był w stanie wygrać w Warszawie.

– Tylko wówczas był inną partią, eklektyczną, z silnym komponentem dawnej Unii Wolności, przy jednoczesnym gigantycznym kryzysie głównych partii liberalnych i lewicowych rządzących Warszawą.

– W stolicy PiS wystawia Tobiasza Bocheńskiego, który co prawda był wojewodą mazowieckim, ale mieszka w Warszawie dopiero od 10 miesięcy.

– Pan Bocheński nie ma żadnych szans na powtórzenie wyniku Patryka Jakiego w poprzednich wyborach (28,53 proc. – 254 324 głosy – przyp. autora), który był zaangażowany w sprawy reprywatyzacji warszawskich kamienic i prowadził bardzo intensywną kampanię. Ta profesjonalna kampania Jakiego paradoksalnie wywołała mobilizację po drugiej stronie, a ponieważ strona liberalna miała o wiele większe zasoby, to Trzaskowski wygrał w pierwszej turze.

– Prof. Nowak twierdzi, że zamiast bawić się w komisję Macierewicza badającą przyczyny katastrofy smoleńskiej, PiS na początku pierwszej kadencji powinien powołać sejmową komisję śledczą.

– Myślę, że brnięcie w temat Smoleńska dałoby PiS-owi większą katastrofę niż ta, którą przeżył. Taka komisja nie miałaby żadnego znaczenia, a jej działania byłyby łatwe do wykorzystania przez opozycję. Upływ czasu działał na niekorzyść takich pomysłów. Z jednej strony PiS racjonalnie próbował przesunąć ciężar dyskusji w stronę polityki historycznej, upamiętnienia Lecha Kaczyńskiego jako męża stanu, co robiłaby każda partia. Z drugiej strony dopuszczał do głosu Antoniego Macierewicza i najbardziej radykalnych polityków. Teorie spiskowe cieszą się dużym zainteresowaniem opinii publicznej, ale rzadko mają oparcie w faktach.

– Marek Migalski bardzo skrytykował list prof. Nowaka. Szczególnie rozbawiło go wskazanie Przemysława

PREZESA PIS ZASTĄPI KTOŚ MŁODSZY?

Fot. J. Bielecki/East News, W. Rozmysłowicz/PAP/CAF Collage Tomasz Wilczkiewicz

Czarnka i Patryka Jakiego (który należy do Suwerennej Polski) jako następców Jarosława Kaczyńskiego. Tymczasem prof. Nowak nic takiego nie napisał ani nie powiedział. Stwierdził tylko, że obaj politycy prawicy powinni prowadzić walkę z obecną koalicją w pierwszym szeregu. W Radiu Wnet zaś wyjaśnił, że widziałby ich jako liderów twardego skrzydła PiS-u. Wspomniał też, że powinno być drugie skrzydło, bardziej umiarkowane, które próbowałoby poszerzyć elektorat (tak jak to zrobił kiedyś Andrzej Duda). Nie wymienił jednak żadnych nazwisk, żeby nie zrobić tym osobom niedźwiedziej przysługi.

– Jeżeli PiS chce tylko przetrwać i mieć poparcie na poziomie 25 – 30 proc., to Przemysław Czarnek czy Patryk Jaki do roli liderów będą się nadawać. Wiązałoby się to jednak ze skrętem na prawo, z którego już nie będzie można wyjść. Jeśli PiS chce przetrwać do lepszych czasów i dokonać transformacji, to kandydatem na takiego lidera byłby Mariusz Błaszczak.

– Kiedyś Marek Migalski zażartował, że bez zgody prezesa Błaszczak nie poprawiłby sobie nawet grzywki...

– To prawda, jednak w okresie przejściowym spełniłby rolę lidera technokratycznego. Jest też trzecia możliwość – pójście na całość i wybranie kogoś z młodej generacji polityków PiS-u, i to szybciej niż w 2025 r.

– Jeszcze niedawno wydawało się, że następcą, choć nie tak młodym, będzie Morawiecki.

– Morawiecki, który miał być reformatorem, został zmuszony do firmowania polityki, która była zaprzeczeniem reform. Do tego były premier jest twarzą przegranych wyborów.

– Politykiem młodego pokolenia, który chyba ma przed sobą przyszłość, jest Kacper Płażyński, adwokat z dobrą prezencją, kulturalny i wyważony, posiadający atut, jakiego nie ma żaden polityk w kraju. Jego ojcem był Maciej Płażyński, marszałek sejmu, pierwszy przewodniczący Platformy Obywatelskiej, który zginął w katastrofie smoleńskiej. Tylko że Płażyński lepiej nadawałby się jako kandydat PiS-u w wyborach prezydenckich niż na lidera partii.

– Bez względu na to, kto miałby być kandydatem PiS-u w wyborach prezydenckich, to już jest spóźniony w tej konkurencji. Druga strona ma kłopoty bogactwa, gdy PiS nawet nie przeprowadził castingu.

– Prof. Nowak zarzuca PiS-owi, że przez osiem lat nie stworzył silnej prywatnej telewizji, która mogłaby być przeciwwagą dla TVN i TVP po przejęciu jej przez Koalicję Obywatelską.

– Zbudowanie prywatnej telewizji przez partię polityczną jest mrzonką. Związanie się z jakąś grupą kapitałową też byłoby trudne, ponieważ takie grupy niekoniecznie dostrzegałyby interes w widowni zdominowanej przez niezamożnych emerytów, którzy byliby grupą docelową dla reklamy leków. Oczywiście PiS stracił czas, nie przygotowując sieci różnych mediów, które byłyby w stanie trwać także w realiach braku dofinansowania ze strony państwa. Zamiast tego media publiczne za czasów PiS-u przeistoczyły się w głosicieli przekazu partyjnego, co było ogromnym błędem i nie przyniosło spodziewanych korzyści.

– Co przed PiS-em?

– Polska prawica w kwestiach gospodarczych powinna być bardziej pragmatyczna, co kiedyś jej się udawało, a w kwestiach światopoglądowych musi definitywnie przegrać batalię o aborcję, żeby już do niej nie wracała. Im dłużej ten spór będzie trwał, tym dla PiS-u gorzej. Gdy zachodnia prawica sprzeciwia się nieograniczonej emigracji, to nie robi tego w imię Boga, ojczyzny, tradycyjnego społeczeństwa, lecz w imię obrony oświeceniowych wartości: tolerancji, liberalizmu, indywidualizmu, praw kobiet. PiS musi wziąć pod uwagę, że nasze społeczeństwo będzie się zmieniać w miarę powiększenia możliwości partycypacji w konsumpcji. Będzie bardziej indywidualistyczne. Dlatego Prawo i Sprawiedliwość musi przejść transformację większą niż w latach 2011 – 2015. Pytanie tylko, czy będzie chciało i czy potrafiłoby to zrobić.

KRZYSZTOF RÓŻYCKI

SWOT dla wojny Putina

RZECZPOSPOLITA
Nr 50 (29 II). Cena 9,50 zł

Dwa lata po ataku na Ukrainę zaczynamy się wszyscy zastanawiać, czy Władimir Putin może wygrać tę wojnę. Zróbmy sobie więc prostą analizę SWOT.

SWOT to popularne w biznesie narzędzie oceny różnorodnych projektów. Polega na ustaleniu ich mocnych i słabych stron, a także stojących przed nimi szans i zagrożeń. Robiąc analizę SWOT, posłużmy się benchmarkingiem (inna technika biznesowa), czyli porównaniem sytuacji Putina z sytuacją innego przywódcy, który zaangażował się w podobne działanie. Kogo? W minionym stuleciu wyzwanie całej cywilizowanej Europie rzucił tylko Adolf Hitler.

Zacznijmy od mocnych stron (S, strengths). Siłą Putina jest armia, którą od kilku lat przygotowywał do agresji, w odróżnieniu od naiwnie rozbrajających się przeciwników. No i trzymany silną ręką kraj, który da się zmusić do wieloletniej wojny. Wprawdzie armia okazała się słabsza, niż można było sądzić, ale przy pełnej mobilizacji gospodarki i użyciu zasobów finansowych może po prostu zamęczyć mniej licznych Ukraińców. Ale Hitler też miał potężną armię, nieprzygotowanych przeciwników, a żelazna kontrola nazistowskiego państwa nad społeczeństwem była znacznie silniejsza niż to, na co może liczyć dziś Putin.

A jaka jest główna słabość Rosji (W, weaknesses)? Jej gospodarka jest bogata dzięki dochodom z eksportu ropy i gazu, ale technologicznie zacofana wobec Zachodu. Natomiast III Rzesza miała przemysł, który dysponował najwyższymi technologiami ówczesnego świata. Rosyjski PKB jest ponad pięć razy mniejszy i od amerykańskiego, i od łącznego PKB europejskich członków NATO. Dla porównania: Hitler ostatecznie przegrał wojnę, bo niemiecki PKB był pięciokrotnie mniejszy od PKB trzech zwycięskich mocarstw razem.

Ale Putin ma też swoje szanse (O, opportunities). Jego przeciwnicy nie działają w sposób zdecydowany, a wybory w USA mogą osłabić więzi transatlantyckie. No tak, ale Hitler miał szanse te same, a nawet większe. Kiedy zmierzał w stronę wojny, pacyfistyczni Europejczycy nie mogli się zdobyć na przeciwdziałanie, Stalin zawarł z nim sojusz, a USA głęboko tkwiły w szponach izolacjonizmu popieranego przez ponad 90 proc. społeczeństwa. Dziś, nawet jeśli nowy prezydent USA nasypie nieco piasku w szprychy NATO, a internetowi trolle Putina podbuntują część europejskich wyborców, zdecydowana większość mieszkańców Zachodu jest jednak za pomocą Ukrainie.

A główne zagrożenia (T, threats)? Pewnie to, na jakich sojuszników może liczyć agresor. Hitler musiał przegrać, bo miał do pomocy tylko operetkowe Włochy i położoną na drugim końcu świata Japonię, a więc kraje, które nie mogły udzielić III Rzeszy żadnego realnego wsparcia. Zawarty na dwa lata pakt ze Stalinem był dla obu stron jedynie taktyczną zasłoną dymną i musiał kiedyś się zakończyć (pytanie było tylko takie, kto kogo zaatakuje pierwszy). Sytuacja Putina wydaje się lepsza. Wprawdzie na bezpośrednie wsparcie może liczyć tylko ze strony państw bandyckich (Iranu, Korei Północnej), ale tuż pod bokiem ma ogromnego, potężnego sprzymierzeńca w konflikcie z USA, który w bardziej lub mniej zawoalowany sposób udziela mu pomocy. No tak, ale to jest też główne zagrożenie dla Rosji. Bo chiński smok wprawdzie ją cynicznie wspiera, ale z przyjemnością wykorzysta trudną sytuację do tego, by ją pożreć i zmienić w swojego satelitę. Więc niezależnie od tego, czy i jak duże sukcesy odniesie Putin w Ukrainie, w ostatecznym rachunku Rosja wojnę przegra.

No cóż, Hitler wojnę przegrał, mimo że w sumie dysponował nieco mocniejszymi kartami od obecnego lokatora Kremla. Z Putinem będzie podobnie, choć jeszcze dokładnie nie wiemy, jak do tego dojdzie.

WITOLD M. ORŁOWSKI

W Kaliszu trwa proces dwóch młodych mężczyzn oskarżonych o zabójstwo bezdomnego w pustostanie pod Ostrowem Wielkopolskim

Wycieczka rowerowa zakończona zbrodnią

TYGODNIK ANGORA

Ciało 60-letniego mężczyzny znaleziono w opuszczonym gospodarstwie w Zacharzewie. Przed śmiercią był kopany, bity drewnianym kołkiem oraz rozbito mu na głowie dwie butelki po piwie. Jak się później okazało, ofiarę pomylono z kimś innym, bo sprawcy zamierzali „dać nauczkę pedofilowi".

Oskarżeni: Alan O. (20 l.), Alan D. (20 l.)
O: zabójstwo
Ofiara: Waldemar P. (60 l.)
Sąd: Anna Zawiślak (przewodnicząca składu orzekającego), Marek Urbaniak – Sąd Okręgowy w Kaliszu
Oskarżenie: Adam Jarych – Prokuratura Rejonowa w Ostrowie Wielkopolskim
Obrona: Małgorzata Sobczyk (adwokatka Alana O.), Katarzyna Necel-Stempin (adwokatka Alana D.)

Tydzień po odkryciu zwłok zatrzymano dwóch nastolatków – bezrobotnego Alana O. z wykształceniem podstawowym oraz również niepracującego nigdzie Alana D. – z zawodu elektryka. 19-latkowie nie byli dotychczas karani. Pierwszy z nich już na pierwszym przesłuchaniu przyznał się do zabójstwa lokatora pustostanu.

– Najpierw kopałem tego człowieka, a później biłem go drewnianym kołkiem tak długo, aż się złamał. Wziąłem więc drugi i dalej go uderzałem. Później rozbiłem mu na głowie jeszcze dwie butelki po piwie, a na koniec oddałem na niego mocz – wyjaśniał Alan O.

Dodał, że mieli zamiar „dać nauczkę pedofilowi", o którym słyszał, że masturbował się przed dziewczynami.

– Opowiedziałem o tym Alanowi D. i zgodził się, że go odszukamy i pobijemy. Na miejscu okazało się, że to nie był ten mężczyzna, o którym myślałem. On jednak na mnie krzyczał, a że byłem trochę „wypity", bardzo się zdenerwowałem i odreagowałem swoją złość w ten sposób.

Alan D. potwierdził, że był na miejscu zdarzenia razem z kolegą, oświecał latarką miejsce, w którym Alan O. bił ofiarę i sam też uderzył tego bezdomnego kilka razy drewnianym kołkiem.

Z wyjaśnień obydwu nastolatków wynikało, że umówili się wcześniej na piwo, a po jego wypiciu postanowili jeździć rowerami po opuszczonych budynkach i nagrywać telefonem filmiki, które planowali umieścić w internecie.

Obaj mężczyźni zostali przebadani przez psychiatrów i psychologa. Biegli uznali, że nie są chorzy psychicznie ani upośledzeni umysłowo. U Alana D. stwierdzono natomiast nieprawidłowy rozwój osobowości, a u Alana O. zespół uzależnienia od alkoholu. Prokurator nie miał wątpliwości, że obaj działali umyślnie z zamiarem ewentualnym pozbawienia życia Waldemara P.

Piwo wypite w zagajniku

Przed sądem Alan O. nie przyznał się do zabójstwa, lecz tylko do tego, że był na miejscu zdarzenia i pobił pokrzywdzonego.

– Tamtego dnia umówiłem się z oskarżonym Alanem D., z którym chodziliśmy kiedyś razem do szkoły, na spotkanie. Wróciłem właśnie z Danii i chciałem mu opowiedzieć, jak tam było. Spotkaliśmy się przed sklepem, w którym kupiliśmy piwo i wypiliśmy je w pobliskim zagajniku. Później jeździliśmy na rowerach trochę po mieście i poszliśmy do starej, opuszczonej przepompowni, bo Alan chciał zrobić parę fotek. Za jakiś czas pojechaliśmy do kolejnego pustostanu, gdzie znaleźliśmy jakiś sierp, młotek i plecak. Alan chciał kupić sobie papierosy i pojechaliśmy do sklepu przy rynku w Ostrowie Wielkopolskim. Wtedy właśnie powiedziałem mu, że w jednym z pustostanów mieszka bezdomny, do którego przychodzą dziewczyny, a on im proponuje seks i się przy nich masturbuje. Zaproponowałem, żeby go odnaleźć i dać mu nauczkę.

Pojechali do pobliskiego Zacharzewa. Zatrzymali się przed „jakąś ruderą", postawili tam rowery i weszli do środka.

– Zobaczyliśmy, że na kanapie siedzi jakiś mężczyzna. Nie byłem nim jednak zainteresowany i chodziłem po całym obiekcie. Tylko Alan D. rozmawiał z tym człowiekiem. Jak wróciłem po 15 minutach, ten mężczyzna spytał mnie, dlaczego chodzę po obiekcie. Odpowiedziałem, że będę chodził, gdzie chcę i gdzie mi się podoba. Doszło wtedy między nami do wymiany zdań i uderzyłem go, ale nie wiem, ile razy. Złapał mnie za kurtkę i upadliśmy na podłogę.

Żal i wyrzuty sumienia

Alan O. – jak wynikało z jego wyjaśnień – podniósł się, usiadł na kanapie i poprosił swojego kolegę o papierosa.

– Gdy skończyłem palenie, ten bezdomny coś zaczął do mnie mówić. Tak mnie to zdenerwowało, że wziąłem jakiś drewniany kołek i uderzyłem go parę razy, aż kołek pękł. Wziąłem drugi i znowu go biłem. Alan też się do tego bicia dołączył. Na koniec rozbiłem mu na głowie dwie butelki, a jak wychodziliśmy stamtąd, przewróciłem na niego, stojące obok futryny, drzwi.

– Nie próbował pan udzielić pomocy pokrzywdzonemu, zadzwonić po karetkę pogotowia? – pytał sąd.

Wyrok na e-papierosy?

WP abcZdrowie (8 II)

Czy po obostrzeniach w przepisach dotyczących sprzedaży tzw. energetyków przyjdzie czas na jednorazowe e-papierosy? Raport wskazuje, że zalały polski rynek, tymczasem ich przeciwnikiem jest wiceminister zdrowia, z wykształcenia neurolog, który stanowczo wypowiada się na temat tego typu używek.

Wiceszef resortu Wojciech Konieczny powiedział Radiu ZET, że on sam jest za „całkowitym zakazem sprzedaży takich używek". Chodzi o jednorazowe e-papierosy, względną nowość na rynku elektronicznych urządzeń tego typu. Jednorazówka kosztuje kilkadziesiąt złotych i wystarcza na 600 do 1000 zaciągnięć. Urządzenie nie umożliwia ponownego napełnienia liquidem ani ładowania. Zdaniem Konieczny z rynku powinny zniknąć także automaty, w których można kupić elektroniczne papierosy, ponieważ automaty nie pozwalają na weryfikację wieku kupującego produkt.

Jak wskazuje Radio ZET, stanowisko rządu w tej sprawie ma się pojawić maksymalnie za pół roku. Wtedy będzie wiadomo, jakie konkretnie zmiany w przepisach są planowane i czy obejmą całkowity zakaz sprzedaży urządzeń do wapowania. Opublikowany niedawno raport Instytutu Prognoz i Analiz Gospodarczych wskazuje, że to właśnie one, a konkretnie jednorazówki, podbiły szturmem polski rynek.

„Za chwilę nad tym nie zapanujemy"

„Dynamiczny wzrost sprzedaży jednorazowych, smakowych e-papierosów sprawia, że stają się one coraz poważniejszym wyzwaniem zdrowotnym, fiskalnym i środowiskowym dla polskiej administracji rządowej" – alarmują autorzy raportu. Prof. Andrzej Fal zwraca uwagę, że papierosy w skali europejskiej odpowiadają za największą liczbę zgonów i są „killerem number one". Elektroniczne papierosy to druga strona medalu.

– Ponadto coraz bardziej powszechne są jednorazowe, plastikowe e-papierosy, które kupują już dzieci i traktują jak cukierki. Za chwilę nad tym nie zapanujemy – mówił w rozmowie z WP abcZdrowie kierownik Kliniki Alergologii, Chorób Płuc i Chorób Wewnętrznych CSK MSWiA w Warszawie; prezes zarządu Polskiego Towarzystwa Zdrowia Publicznego.

Na problem zwraca uwagę także raport IPAG. Jego autorzy uważają, że niska cena, duża liczba wariantów – nawet 770 – i brak kontroli nad dostępnością odpowiadają za to, że elektroniczne zamienniki papierosów są coraz bardziej powszechne także wśród dzieci.

Prof. dr hab. n. med. Maciej Banach alarmuje, że sytuacji nie poprawia powtarzana od lat narracja, zgodnie z którą elektroniczne wyroby tytoniowe są mniej szkodliwe niż tradycyjne papierosy bądź nawet od nich zdrowsze.

Rys. Paweł Wakuła

– Jest to niedopuszczalny i szkodliwy przekaz. Nasze ostatnie badanie na próbie ponad miliona pacjentów dowiodło ponad 50-proc. wzrost udarów u osób użytkujących e-papierosy – wyjaśniał w rozmowie z WP abcZdrowie specjalista w dziedzinie kardiologii, hipertensjologii i lipidologii, kierownik Zakładu Kardiologii Prewencyjnej i Lipidologii UM w Łodzi, przewodniczący Polskiego Towarzystwa Lipidologicznego.

IPAG zwraca uwagę, że coraz więcej krajów chce zakazu sprzedaży jednorazowych e-papierosów. „W Europie wprowadzenie podobnego zakazu rozważa obecnie kilka państw, m.in. Francja, Niemcy i Irlandia, zwracając uwagę na rosnącą atrakcyjność jednorazowych, smakowych e-papierosów wśród nieletnich, ze względu na słodkie i owocowe smaki płynów oraz przystępność cenową tych urządzeń. W dyskusji publicznej często podnoszona jest też kwestia środowiska" – czytamy w raporcie.

KAROLINA ROZMUS

– Nie byłem świadomy, jakie obrażenia spowodowaliśmy u tego mężczyzny. Nie przyszło mi do głowy, że on może umrzeć. Pamiętam, że wstałem rano i zacząłem przeglądać wiadomości w telefonie. I znalazłem informację, że znaleziono ciało jakiegoś człowieka. Domyśliłem się, że chodzi o tego bezdomnego. Byłem zdziwiony, że nie żyje, i bardzo przestraszony. Chyba wysłałem SMS-a albo zadzwoniłem do Alana, ale nie pamiętam, czy mi odpowiedział...

– Podczas postępowania przygotowawczego wyjaśniał pan, że jechaliście do Zacharzewa z zamiarem pobicia pokrzywdzonego, „dania mu nauczki"...

– Może tak mówiłem, ale pewnie prokurator mi to zasugerował, a ja nie miałem siły zaprzeczać. Chciałem mieć to wszystko za sobą i chyba to potwierdziłem. A Alan D. musiał coś źle zrozumieć i opowiada teraz, że proponowałem mu pobicie. Nigdy mu czegoś takiego nie mówiłem.

– Dlaczego w początkowej fazie śledztwa przyznał się pan do zabójstwa? – naciskał sąd.

– Nie wiem, ale żałuję tego, co się stało, mam teraz wyrzuty sumienia.

Ustalenia przy kupowaniu papierosów

Do postawionego mu przez prokuraturę zarzutu zabójstwa nie przyznał się również Alan D. Opowiadał jednak szczegółowo przed sądem o tym, co się zdarzyło tego dnia.

– Około godz. 19 spotkałem się ze współoskarżonym i kupiliśmy sobie po dwa piwa, które wypiliśmy w zagajniku. Później kupowaliśmy papierosy i wówczas Alan O. zaproponował, żebyśmy pobili tego bezdomnego. Dowiedziałem się, że Alan już go kiedyś pobił, bo masturbował się przy dziewczynach. Zgodziłem się, choć później okazało się, że to nie był ten człowiek.

– Dlaczego przystał pan na tę propozycję? – pytała sędzia Anna Zawiślak.

– Jak mi opowiedział, co ten człowiek robi, przypomniało mi się, że moja mama była w dzieciństwie molestowana przez ojca. Był też czas, że bałem się o przyrodnią siostrę, bo mieliśmy informację, że w okolicach szkoły grasuje jakiś pedofil i może jej zrobić krzywdę. Dlatego nie lubiłem takich ludzi.

Dalej oskarżony wyjaśniał, co się działo, gdy weszli do opuszczonego gospodarstwa.

– W środku zobaczyliśmy leżącego na tapczanie mężczyznę. Gdy nas zobaczył, zapytał: „Co się dzieje". Alan zapytał go, czy ma papierosy, a on zaprzeczył. Wtedy uderzył go chyba trzy razy w twarz i ponownie zapytał o to samo. Wówczas tamten wyjął jednak z kieszeni paczkę papierosów, którą Alan mu zabrał, i zrzucił go z kanapy. Gdy leżał na ziemi, Alan kopnął go, a mnie poczęstował papierosem i zapaliliśmy. Za chwilę oskarżony przyniósł drewniany kołek i zaczął bić tego bezdomnego po nogach – ja stałem w głębi pomieszczenia. Później rozbił mu na głowie butelkę. Zauważyłem, że temu gościowi leci krew, i powiedziałem Alanowi, żeby przestał, bo przesadził. Kazałem mu też wezwać pomoc, miałem na myśli pogotowie.

Groźna mina i furia?

Wtedy, jak dalej wyjaśniał oskarżony, jego kolega zacisnął w ręce kij i zbliżył się do niego.

– Patrzył mi w oczy i miał bardzo groźną minę. Wyglądał tak, jakby opanowała go jakaś furia. Za moment odwrócił się ode mnie i zaczął bić pokrzywdzonego, rozbił mu też jeszcze jedną butelkę na głowie. Na polecenie Alana cały czas świeciłem latarką w ich stronę, ale odwracałem głowę, jak ten człowiek był bity.

– Dlaczego pan odwracał głowę? – chciał się dowiedzieć prokurator.

– Nie mogłem już na to patrzeć. Zwłaszcza że nie lubię widoku krwi. Zwróciłem jednak uwagę, że pokrzywdzony przestał się ruszać, a z jego ust wydobywało się charczenie. Wtedy Alan przewrócił jeszcze na niego drzwi. W końcu stamtąd wyszliśmy i dowiedziałem się, że to nie był ten pedofil, o którym mi wcześniej opowiadał. Dodam jeszcze, że kiedy Alan przybliżył się do mnie z tym kijem, strasznie się bałem. W ogóle cały mój udział w tym zdarzeniu spowodowany był strachem o własne bezpieczeństwo. Teraz bardzo żałuję tego, co się stało, ale nie chciałem tego robić. Dlatego z całego serca przepraszam rodzinę tego pana.

– Przyznał pan w śledztwie, że również bił pokrzywdzonego – przypominał sąd.

– To prawda, bo Alan kazał mi wziąć kij do ręki i powiedział: „Bierz, k..., i lej". Mówił to w takiej furii, że bałem się, że jak tego nie zrobię, to on mi też zrobi krzywdę. Uderzyłem więc tego pana w nogi, ale nie z taką siłą, jak robił to Alan.

– Czy od samego początku świecił pan latarką na polecenie współoskarżonego? – dociekała obrona.

– Do momentu, kiedy Alan nie rozbił butelki na głowie tego pana, świeciłem z własnej woli. A później byłem przerażony i świeciłem, bo mi kazał. Mówił, że musi widzieć, gdzie ma bić. Takiego użył zwrotu, proszę wysokiego sądu.

– Dlaczego nie zgłosił pan tego na policji? – chciał się dowiedzieć prokurator Adam Jarych.

– Początkowo myślałem, żeby tak zrobić, bo miałem wyrzuty sumienia, gdy się dowiedziałem, że ten mężczyzna nie żyje. Ale, jak już mówiłem, bałem się Alana O.

Bardzo płochliwy człowiek...

Oskarżony był też pytany o sytuację rodzinną, zwłaszcza relację z ojczymem.

– To było bardzo skomplikowane, bo on nie lubił mojego prawdziwego taty. Wyzywał go wulgarnie i mówił, że ma nas w du... A mnie nawet raz chciał uderzyć, ale się powstrzymał. Od mamy też czasami dostałem po głowie za nieodrobione prace domowe. Dodam jeszcze, że znęcał się nade mną jeden z kolegów i groził, że mnie pobije. Dlatego ze szkoły odbierał mnie brat. W ogóle to ja jestem, proszę wysokiego sądu, bardzo płochliwy człowiek...

Po tych wyjaśnieniach oświadczenie złożył oskarżony Alan O.

– Nie jest prawdą, proszę wysokiego sądu, że Alan D. chciał, żebym zaprzestał bicia pokrzywdzonego i wezwał pomoc. Nie było takiej sytuacji. Wprost przeciwnie, stał obok mnie i raczej mnie dopingował. To znaczy krzyczał: „Dawaj, dawaj...". I wcale nie odwracał wzroku, jak teraz opowiada. Nie rozumiem też, dlaczego miałby się mnie bać. Przecież dwa dni po tym zdarzeniu umówiliśmy się przez telefon, spotkaliśmy i wszystko w naszych relacjach było normalne. Nie jest też prawdą, że podałem mu drewniany kołek do ręki i kazałem uderzać pokrzywdzonego. On to robił z własnej, nieprzymuszonej woli.

Proces trwa, kolejne terminy rozpraw wyznaczono na marzec. Oskarżonym grozi od 8 do 25 lat więzienia.

KATARZYNA BINKOWSKA

Wojna Biedronki z Lidlem się rozkręca!

se.pl (28 II)

Popularne dyskonty obniżają drastycznie ceny produktów do poziomu nieobserwowanego od wielu lat. Jednym z artykułów, które można kupić w Biedronce i w Lidlu wyjątkowo tanio, jest wódka sprzedawana za 9,99 zł. Zapytaliśmy obie sieci o powody wprowadzenia tak niskiej ceny.

Rys. Mirosław Stankiewicz

Wódczane chwyty

Na początku stycznia Biedronka obniżyła regularne ceny 60 produktów, na to odpowiedział Lidl i obniżył ceny aż 300 swoich produktów. Z każdym kolejnym dniem jest tylko taniej. Są parówki za 1,5 zł czy ser za 1 zł. W ofercie Lidla i Biedronki pojawił się też wyjątkowo tani alkohol – wódka, która kosztuje 9,99 zł za pół litra. Co ciekawe – za pół litra czystej wódki 38 proc. kwota podatku akcyzowego wynosi 14,46 zł. Biedronka oferuje wódkę Parkową, a Lidl Polną – obie zawierające 38 proc. alkoholu. Alkohol schodzi ze sklepów szybko, w wielu z nich można już zauważyć tylko puste półki. W sieci pojawiły się zdjęcia, że Biedronka poszła o krok dalej i obniżyła cenę do 8,99 zł!

– Robimy wszystko, co w naszej mocy, by oferować naszym klientom najwyższej jakości produkty w najniższych na rynku cenach. Tylko w tym tygodniu w ofercie sieci Biedronka jest 880 produktów dostępnych w promocyjnych cenach, w tym wiele artykułów pierwszej potrzeby, najczęściej trafiających do koszyków klientów. W dużej mierze dzięki tak aktywnej polityce promocyjnej sieci Biedronka polski rynek handlu detalicznego należy do najbardziej konkurencyjnych w Europie – odniosła się **Joanna Piwowarczyk**, menedżerka ds. komunikacji korporacyjnej w sieci Biedronka.

– Podkreślamy, że Lidl Polska chroni polskie rodziny przed trudną sytuacją ekonomiczną. Oferowanie produktów wysokiej jakości w niskiej, atrakcyjnej cenie jest wpisane w DNA naszej firmy od początku jej działania. Dużym zainteresowaniem cieszą się akcje Lidl Polska, takie jak „Lidlowe ceny", „Tania Sobota w Lidlu" czy „Tydzień XXL". Jednocześnie pragnę podkreślić, że ceny promocyjne są takie same we wszystkich sklepach (...). Cena wódki jest podyktowana warunkami rynkowymi i obowiązuje wyłącznie krótkoterminowo – napisała **Aleksandra Robaszkiewicz**, Head of Corporate Affairs and CSR Lidl Polska.

Bitwa na plakaty

W ramach walki o klienta Biedronka prowadzi kampanię billboardową i paragonową z hasłem „Od 2002 roku Biedronka tańsza niż Lidl". Przy reklamach nie podano informacji, na jakie dane powołuje się portugalski gigant. Lidl nie zgadza się z tym stwierdzeniem i postanowił pójść do sądu. Sieć złożyła wniosek o udzielenie zabezpieczenia roszczeń przed wszczęciem postępowania. Co ciekawe – pierwsze plakaty informujące, że jedna sieć handlowa jest tańsza od drugiej, wywiesił Lidl. Można było na nich przeczytać, że „w 2023 roku Lidl tańszy niż Biedronka". Dodano na nich jednak, że na niższe ceny „wskazują jednoznacznie łączne wyniki koszyków «Faktu» i niezależnych badań ASM Sales Force Agency".

Komornik dokleja wstęgi

Sąd Okręgowy w Warszawie zażądał zaniechania popełniania czynu nieuczciwej konkurencji polegającego na wykorzystywaniu hasła reklamowego „Od 2022 roku Biedronka Codziennie niskie ceny tańsza niż Lidl" oraz nakazał natychmiastowe usunięcie „skutków popełniania czynu nieuczciwej konkurencji". Na wniosek Lidla postanowił udzielić zabezpieczenia.

W efekcie na jednym z warszawskich billboardów Biedronki zawisły komornicze wstęgi. I wszystko wskazuje na to, że dla klientów dyskontu będzie to teraz powszechny widok. Wymóg dotyczy zatem zajęcia materiałów reklamowych, w których wykorzystywane jest sporne hasło reklamowe, na czas trwania postępowania (...).

BEATA LEKSZYCKA

W czwartek mogę od południa, bo rano jem śniadanie z przyjaciółmi, czyli...

20-latki idą do pracy

onet

– Po kilku tygodniach dochodzą do wniosku, że ośmiogodzinny czas pracy to jednak za dużo, że oddawanie materiału tego samego dnia ich przerasta, a bezpośredni kontakt z przełożonym i współpracownikami w biurze „przekracza ich personalne granice". Nie potrafię tego wszystkiego zrozumieć, mam inny stosunek do pracy. Mnie nauczono, że jak ją już masz, to powinieneś ją szanować. Dla nich to jest trochę tak: nie ta, to inna – mówi Agata o 20-latkach na rynku pracy.

Rys. Katarzyna Zalepa

Nie przyjdę przed południem

Iwona pracuje w warszawskiej korporacji. Ma 42 lata, a w swojej firmie uczestniczy w procesach rekrutacyjnych. – Pamiętam ostatnie dwie rozmowy rekrutacyjne do działu marketingu. Był chłopak, który właśnie skończył studia i zaczynał kolejne, ale weekendowo, i dziewczyna po urlopie macierzyńskim – opowiada. – To już był etap, na którym przedstawialiśmy sobie wzajemne oczekiwania w nieco bardziej konkretny sposób i mówiliśmy o wynagrodzeniu. Stawka, którą podał chłopak, była rozsądna i niewygórowana. Natomiast postawił kilka warunków: na przykład w czwartki może zaczynać pracę od 12, bo ma pewien zwyczaj, z którego nie zrezygnuje. Tego dnia jada śniadania ze swoimi przyjaciółmi, a to jest dla niego rzecz święta, warunek jego równowagi emocjonalnej i rytuał trzymający go w harmonii ze światem. Zapowiedział też, że jeżeli w firmie obowiązuje jakiś dress code, to on jest z góry „na nie", bo „nawet w szkole to już nie obowiązuje". Dla moich starszych koleżanek to był szok. Młodsze mówiły, że to nawet rozumieją.

– I tu się od razu pojawia pokoleniowa przepaść: dla 40-latków jest nie do pomyślenia, żeby stawiać takie wymagania, ubiegając się o pracę – podsumowuje Iwona. – My jesteśmy przyzwyczajeni, że na przyjęcie do pracy trzeba zasłużyć i nie oczekiwać zbyt wiele, żeby nie zostać uznanym za osobę roszczeniową. Najmłodsze pokolenie uważa, że to pracodawca powinien o nie zabiegać. Iwona mówi, że takie uwagi podczas rozmowy kwalifikacyjnej już jej nie dziwią, że z jej punktu widzenia zdarzają się dużo bardziej „bulwersujące", zwłaszcza dla statecznych milenialsów przyzwyczajonych do ciężkiej pracy bez upominania się o podwyżki. Zazwyczaj jednak roszczenia 20-latków pojawiają się dopiero w momencie, w którym zostają oni zatrudnieni, a nie w procesie rekrutacyjnym. – Mieliśmy kiedyś takiego kolegę w dziale sprzedaży, który ani razu nie pojawił się fizycznie w pracy. Chciał pracować jedynie zdalnie, bo twierdził, że „to jest dla niego o wiele zdrowsze psychicznie". Utrzymywał, że obecność ludzi go stresuje, przeszkadza mu być efektywnym, że od tego „ma stany depresyjne". Nawet na teamsach nie włączał kamerki, bo nie lubił, jak ktoś na niego patrzył. Iwona zaznacza, że takie zachowanie „przechodziło" tylko do pewnego czasu. Były obowiązkowe spotkania integracyjne, były wyjazdy, trzeba było się klientowi pokazać, porozmawiać z nim inaczej niż przez e-mail. – No i któregoś dnia P. po prostu wysłał wiadomość, że on już dziękuje i od jutra nie pracuje. Nie rozumiał też, że obowiązuje jakiś termin wypowiedzenia kontraktu, że przecież tak się nie robi. Po negocjacjach i prośbach został do końca miesiąca. Jak odszedł, odetchnęliśmy z ulgą.

Nie ta, to będzie inna

W jednym z ogólnopolskich portali internetowych nabór na redaktorów trwa właściwie przez cały rok. – Ci, którzy zatrudnili się jeszcze 10 lat temu, zostali z nami na stałe – mówi Agata, która jest szefową jednej z redakcji. Ale dwudziestokilkulatki, które trafiały do nas w zeszłym roku, zwalniały się po kilku miesiącach. Wśród młodych osób rotacja jest ogromna i podkreślam jeszcze raz – to oni odchodzą, a nie są zwalniani. Po kilku tygodniach dochodzą do wniosku, że ośmiogodzinny czas pracy to jednak za dużo, że oddawanie materiału tego samego dnia ich przerasta, a bezpośredni kontakt z przełożonym i współpracownikami w biurze „przekracza ich personalne granice". Nie potrafię tego wszystkiego zrozumieć, mam inny stosunek do pracy. Mnie nauczono, że jak ją już masz, to powinieneś ją szanować. Dla nich to jest trochę tak: nie ta, to inna. – Kiedyś mieliśmy w zespole trzy stażystki. Przyszedł czerwiec, ułożyliśmy pod cały zespół grafik, ustaliliśmy urlopy. I nagle, w połowie miesiąca wszystkie trzy wysyłają e-mail. Napisały, że było super, ale one muszą odpocząć i jechać na wakacje, bo jest lato. Zgłupiałam.

Ewa ma 48 lat, pracuje w dużej firmie i ma w zespole osoby w różnym wieku, również 20-latki. – Patrzę na tych kolegów z życzliwością, ale wiem, że to „zupełnie inna bajka". Oni mają totalnie inne priorytety niż praca i mówią o tym wprost. Jeśli zdarzy im się zaspać na 9 do biura, to „nic się nie stało – widocznie organizm tego potrzebował". Ja się stresuję, jak stoję w korku, i wiem, że będę w biurze 9.05. Tu nie ma żadnego stresu. Za to stresem jest dla nich rozmowa, podczas której ktoś ocenia ich pracę. Mam na myśli kulturalną, spokojną rozmowę z menedżerem, który pokazuje mocne i słabe punkty pracownika, podpowiada, co można zrobić lepiej, a na koniec pyta: jak się czujesz? Co ja mogę poprawić w naszej komunikacji? Nieraz słyszałam od młodych ludzi, że taki kontakt i spotkanie im uwłacza...

Więcej energii i czasu

– Jedna czwarta problemów w dużych firmach dotyczy komunikacji w zespołach – mówi Róża Szafranek, ekspertka HR z wieloletnim doświadczeniem psychologicznym i menedżerskim. – I to są problemy z komunikacją tzw. międzypokoleniową. Bo z jednej strony są milenialsi, wychowani w kulturze „zap***lu". Wyznają zasadę, że jak chcesz coś osiągnąć, to pracujesz po 14 godzin dziennie. To pokolenie tak właśnie zbudowało firmy i tak żyje, taki ma sposób myślenia. I wiele jest dziś wśród milenialsów odejść „donikąd". Co to znaczy? Senior managerowie albo ludzie z dużym doświadczeniem w korporacjach są wypaleni i zmęczeni, więc jeśli tylko mogą sobie na to pozwolić, robią kilkumiesięczne przerwy od pracy. – Nagle znikają z rynku pracy ludzie, którzy bardzo ciężko pracowali i byli nauczeni tego etosu pracy – kontynuuje ekspertka. – Okazuje się wtedy, że trzeba zarządzać pracownikami, którzy mają inne podejście. Ale zarządzający też są wykończeni, więc mają krótki lont wobec tych 20-latków, których zatrudnili. Koło się zamyka. – W 2024 roku będziemy mieć na rynku pracy kryzys komunikacyjny – przewiduje Róża Szafranek. – Ludzie będą rzucać papierami z dnia na dzień, będą braki w kadrach. Przestrzegam menedżerów, że będą musieli założyć sobie 15 – 20 proc. dodatkowych środków w budżecie na doszkalanie i zatrudnianie dodatkowych project managerów, bo dzisiaj, w porównaniu z zarządzaniem grupą 40-latków, zarządzanie taką samą liczbowo grupą 20-latków wymaga dwa razy więcej czasu i siły. Dzieje się tak dlatego, że młodzi ludzie bardzo potrzebują interakcji, rozczłonkowania zadań. Milenialsom dawało się zadanie i oni je przejmowali z całą odpowiedzialnością – to była taka bardzo podstawowa kompetencja, ważna dla pracodawcy. A dzisiaj ludzie tego nie mają. Młodzi mówią: daj mi dziesięć małych zadań, bo jak mam cały obszar, to ja tego nie ogarnę. – 20-latki nie mają też odpowiedzialności, a wiele rzeczy jest dla nich zbyt stresujących – tłumaczy Róża Szafranek. – Chodzi tu o takie sytuacje, które dla 40-latków są zupełnie nor-

malne. Ale to nie jest tak, że mogą sobie swobodnie mówić: nie ta praca, to inna. Dzisiaj jest mało pieniędzy na rynku i liczba miejsc pracy spada. Mimo to 20-latków to nie przeraża. Oni mówią: „Jestem z tym OK, ja nie muszę mieć pieniędzy, bo ja nie muszę posiadać". „Mogę pracować w kawiarni w Portugalii, zarabiać 200 dolarów i mieszkać w siedem osób". Dla milenialsów to jest nie do pomyślenia. Dla nich posiadanie rzeczy w takim sensie jak kupienie sobie mieszkania albo odłożenie na boku jakichś oszczędności jest ważne dla poczucia bezpieczeństwa. – Dwudziestolatki wolą żyć w zgodzie ze sobą, nie muszą mieć tego statusu, nie muszą mieć kasy. Są w stanie powiedzieć: teraz idę do korpo, będę przekładać papiery. Nawet jeśli usłyszą, że z takim podejściem nie rozwiną się tak szybko, to dla nich rozwój nie jest jedyną miarą sukcesu. Róża Szafranek dodaje jeszcze, że dla 20-latków w pracy ważna jest klasyfikacja i konkret.

Nie dla nich większa odpowiedzialność

– Mówią: no dobra, czyli mam tutaj w opisie stanowiska pięć rzeczy wpisanych, a dziś pojawiły się w pracy dwie nowe rzeczy. To jak to naprawdę ze mną jest? Jeśli chodzi o nadgodziny, to oni też są w stanie powiedzieć: po osiemnastej nie przyjdę, bo dowiedziałam się o tym za późno, mam inne plany. Albo: jeżeli przyjdę, to jak to sobie w takim razie odbiorę? Nie odbieram tego jako roszczeniowość, że oni chcą więcej. Uważam, że ich granice są bardzo mocno postawione. Myślę, że my do tego nie jesteśmy przyzwyczajeni. Ekspertka dodaje, że konflikty pokoleniowe między milenialsami a 20-latkami w pracy dotyczą głównie braku samodzielności tych ostatnich.

– Oczekujemy od młodych ludzi, że oni będą równie szybko i równie chętnie jak pokolenie boomersów czy pokolenie milenialsów wchodzili w nowe zadania. Milenialsi mówili: po prostu zrzuć mi wszystko na głowę, ja to ogarnę. Ale dziś młodzi ludzie powiedzą: przepraszam, ale wydaje mi się, że potrzebuję dostać od ciebie rozpisane zadania razem z deadline'em. „Co mam zrobić? Za co będę nagradzany?". Młodzi ludzie raczej nie zwrócą też uwagi na to, że czegoś w biurze nie ma, nie zgłoszą tego np. do HR-u. Nie mają takiej odpowiedzialności za wspólne mienie. No i milenialsi wkurzają się na nich za to i mówią: „No nie czujesz w ogóle, że jesteś częścią tej firmy". Ale z drugiej strony młodzi ludzie są bardzo wrażliwi społecznie i ekologicznie. Jeśli ktoś na przykład mówi: „No witam, panowie, dobrze was widzieć", to młodsze pokolenie pierwsze odezwie się i powie: „Są tu też panie na sali". – A może to oni mają rację – zastanawia się głośno Agata. – Może to my sami na siebie ukręciliśmy ten bicz w postaci przekonania, że w pracy trzeba zawsze dawać z siebie milion procent i spełniać wszystkie zachcianki szefa, bo jak nie, to ktoś nas zwolni. Może tak właśnie trzeba żyć, dbać najpierw o siebie, potem o wszystko inne? Tylko jedno mi właściwie w tych 20-letnich kolegach przeszkadza. Jak mam katar, to biorę witaminy, wzmacniam organizm, dzień pracuję z domu, a potem wracam do biura. A oni na byle przeziębienie biorą L4. Przyjdą do biura, pociągną nosem, to już wiadomo, kogo nie będzie następnego dnia...

ANNA FRYDRYCHEWICZ

Zmarł Tomasz Komenda, który niesłusznie spędził w więzieniu 18 lat

Radość z życia trwała krótko

W wieku 47 lat zmarł Tomasz Komenda. Mężczyzna został niesłusznie skazany przez wrocławski sąd na 25 lat pozbawienia wolności za zabójstwo i gwałt na nastolatce. Więzienie opuścił po 18 latach. Został też uniewinniony przez Sąd Najwyższy.

Kilka miesięcy później za błędy wymiaru sprawiedliwości sąd przyznał Tomaszowi Komendzie blisko 13 milionów złotych zadośćuczynienia i odszkodowania. Do tej pory nikt jednak nie poniósł odpowiedzialności za niesłuszne skazanie mężczyzny.

Życiem na wolności cieszył się zaledwie 6 lat. Zmarł na raka płuc. Jego pogrzeb zaplanowano na 26 lutego we Wrocławiu. Za pośrednictwem portalu internetowego Salon 24 Gerard Komenda, brat Tomasza, poprosił, aby na uroczystości nie przychodziły media.

Zeznania sąsiadki

Do zbrodni, za którą niesłusznie skazano Tomasza Komendę, doszło w noc sylwestrową 1996/1997 w miejscowości Miłoszyce leżącej niedaleko Wrocławia. Tam na dyskotece bawiła się wówczas 15-letnia Małgorzata K. Jej nagie ciało zostało znalezione 1 stycznia 1997 roku nieopodal budynku, gdzie spędzała sylwestra. Dziewczyna została brutalnie zgwałcona, a później się wykrwawiła i wyziębiła. Zabezpieczono wiele śladów. Wśród nich ślady po ugryzieniu na ciele dziewczyny, krew, nasienie. Biegli byli pewni, że sprawców było co najmniej dwóch. Obiecywano ich rychłe ujęcie. Lata jednak mijały, a sprawa zabójstwa dziewczyny stała w miejscu. Trzy lata po zbrodni w Miłoszycach telewizja po raz kolejny przypomniała o niej. Pokazano portrety pamięciowe ewentualnych zabójców. Wtedy Tomasza Komendę rozpoznała jego sąsiadka – Dorota P. Poznała również, jak twierdziła, jego brata i ojczyma. Grzegorz Głuszak, dziennikarz TVN, jako jedyny dotarł do kobiety. Ta zgodziła się na rozmowę. Próbowała się po latach tłumaczyć:

– Byliśmy u znajomej mojego męża i jej mąż okazał się kapusiem. Siedzieliśmy przy stole w czwórkę, no i w telewizji leciał ten obraz pamięciowy. To był jeden jedyny incydent. I później on przyleciał z jakimś drugim człowiekiem. Przedstawili się, że są policjantami. I mówi: „Powtórz to, co u mnie mówiłaś (...), widziałaś ten obraz pamięciowy". No i to tak było – opowiadała kobieta w reportażu „Superwizjera". – Ja też uważam, że on jest niewinny. Jeżeli on byłby winny, to jego brat i jego ojczym powinni być winni. Przypadek, że powiedziałam, że poznaję obraz pamięciowy, to wszystko.

Dorota P. nigdy nie wyjaśniła, dlaczego kłamała. Zmarła.

Dopasować dowody

Zeznania Doroty P. uznano za przełom w sprawie i właściwie od tamtej chwili zaczęło się dopasowywanie dowodów do Tomasza Komendy. Tak właśnie można to dzisiaj napisać, bo po latach śledczy, którzy jeszcze raz zbadali tę sprawę, obalili owe „dowody" jeden po drugim. Pana Tomasza aresztowano w 2000 roku. Miał wówczas tylko 23 lata. Alibi na noc zabójstwa w Miłoszycach dało mu 12 osób, z którymi spędzał sylwestra we Wrocławiu. Ich zeznania uznano za niewiarygodne, ponieważ byli członkami rodziny i spożywali alkohol. Tyle że na tej sylwestrowej imprezie była także znajoma rodziny, która nie piła. Ona nigdy nie została przesłuchana. Tomasz Komenda zgodził się na pobranie krwi i próbek zapachowych. Nie miał żadnych obaw, bo – jak mówi – nigdy w Miłoszycach nie był. Tymczasem biegli stwierdzili, że jego materiał genetyczny pasuje do próbek zebranych na miejscu zabójstwa Małgorzaty K. Nigdy nie przyznał się do gwałtu i zabójstwa dziewczyny. Tylko raz w czasie śledztwa powiedział policjantom, że rzeczywiście był raz w Miłoszycach i odbył tam stosunek z jakąś dziewczyną o imieniu Katarzyna.

– Tak mnie wtedy bili, że przyznałbym się nawet, że strzelałem do papieża – wyznał w trakcie jednej z wielu rozmów redaktorowi Głuszakowi.

W sądzie Tomasz Komenda milczał. Tak poradził mu jego obrońca, który dzisiaj nie chce rozmawiać z mediami. W 2003 roku Komenda został skazany na 15 lat pozbawienia wolności, a po apelacji karę zwiększono. I tak w 2004 roku sąd wrocławski wymierzył mu karę 25 lat.

Rodzice zamordowanej Małgosi nie mogli się pogodzić z tym, że inni sprawcy tej zbrodni są na wolności. Takie bowiem wnioski wysnuli biegli. Sprawców, jak przekonywali, musiało być więcej. Państwo K. długo starali się o ponowne wznowienie śledztwa w tej sprawie. I tak w 2017 roku raz jeszcze prokuratorzy pochylili się nad dowodami z tej zbrodni. W największym skrócie efektem tej pracy było uniewinnienie Tomasza Komendy.

W marcu 2018 roku Tomasz Komenda opuścił więzienne mury, ale było to tylko warunkowe zwolnienie. Dopiero dwa miesiące później Sąd Najwyższy go uniewinnił. Sędzia sprawozdawca punkt po punkcie omawiał dowody, które 18 lat wcześniej zaprowadziły mężczyznę za kraty:

– Jeszcze raz porównano ślady ugryzień pozostawionych na ciele nastolatki ze śladami zębów napastnika. Biegli w sposób zdecydowany wykluczyli możliwość pozostawienia tych śladów przez Tomasza Komendę. Prokuratorzy analizujący sprawę zbrodni miłoszyckiej zapytali biegłych z Wrocławia, którzy przed laty badali ślady ugryzień, dlaczego wówczas wydali taką opinię. Jeden z nich miał powiedzieć, że opinia świadcząca na niekorzyść Komendy nigdy nie była kategoryczna. Drugi zasłaniał się wiekiem i stanem zdrowia. Po powtórnych badaniach nie znaleziono także śladów DNA Tomasza Komendy, które świadczyłyby o jego udziale w zabójstwie dziewczyny.

Konferencja Tomasza Komendy
Fot. Jacek Dominski/Reporter

Bez konsekwencji

Wznowienie śledztwa, oprócz oczyszczenia Komendy, doprowadziło także do ponownego procesu w sprawie zbrodni miłoszyckiej. Na ławie oskarżonych zasiedli tym razem Ireneusz M., kilka razy skazywany już za gwałty, oraz Norbert B. We wrześniu 2020 roku wrocławski sąd okręgowy uznał ich za winnych śmierci i zgwałcenia Małgosi K. Obu skazał na 25 lat pozbawienia wolności.

Niemal w tym samym czasie inny sąd zajmował się sprawą Stanisława O., byłego prokuratora, który zdecydował o postawieniu zarzutów i aresztowaniu Tomasza Komendy. Sprawa nie dotyczyła Komendy – byłemu prokuratorowi zarzucano korupcję. Miał przyjmować łapówki w zamian za wypuszczanie podejrzanych z aresztu. Sąd skazał go na 5 lat pozbawienia wolności. W trakcie odbywania kary zmarł.

Od 2018 roku Prokuratura Okręgowa w Łodzi prowadziła śledztwo w sprawie błędów popełnionych przez pracowników wymiaru sprawiedliwości, które doprowadziły do skazania Tomasza Komendy. Prokuratorzy badali także wątek dotyczący znęcania się nad skazanym w trakcie odsiadki. Pod koniec ubiegłego roku śledztwo zostało umorzone, głównie z „braku znamion czynu zabronionego". Oznacza to, że nikt nie poniesienie konsekwencji za 18 lat gehenny, jaką przeżył w więzieniu Tomasz Komenda.

KATARZYNA BINKOWSKA

Mini Shop
Godziny otwarcia:
pon.-piąt. 6.30-12.00 i 15.00-20.00
sob. 8.00-12.00 i 15.00-20.00
51375 Leverkusen
Am Kühnsbusch 2

GWIAZDY

Alain Delon

Pod bronią

72 sztuki broni palnej oraz potężny zapas amunicji znalazły francuskie służby bezpieczeństwa w domu legendy kina. Delona czekają teraz poważne problemy z wymiarem sprawiedliwości, gdyż nie miał stosownych uprawnień do posiadania broni – przytacza zaskakujące doniesienia francuskiej prokuratury bbc.com. Na terenie rezydencji odkryto także prywatną strzelnicę. 88-letni aktor, który zmaga się z poważnymi problemami zdrowotnymi, bo na początku roku wykryto u niego chłoniaka, postanowił nie komentować tych doniesień.

Wayne Rooney

Co by było, gdyby...

– *Miałem czternaście lat. Włamywaliśmy się z kolegami do opuszczonych domów w biednej dzielnicy Liverpoolu, wybijaliśmy szyby, piliśmy sporo alkoholu, paliliśmy papierosy. Dorastałem w trudnych warunkach, ale nie narzekam, bo też mnie to zahartowało* – wspomina młodzieńcze lata były piłkarz reprezentacji Anglii i Manchesteru United. Pomimo trudnego charakteru i skłonności do używek Rooney zrobił wielką karierę, zdobywając z „Czerwonymi Diabłami" wiele trofeów i będąc przez lata filarem drużyny narodowej – czytamy na dailymail.co.uk. – *Pozostaje pytanie, czy gdybym prowadził się lepiej, wygrałbym więcej i mógłbym dłużej grać w piłkę* – zastanawia się sportowiec, który jako 35-latek zakończył karierę, poświęcając się pracy trenerskiej. Obecnie pracuje w Birmingham City F.C.

Miranda Kerr

Czwarte szczęście

Australijska supermodelka po raz czwarty została mamą – donosi people.com. Dumnym ojcem dziecka jest jej mąż, Evan Spiegel, amerykański biznesmen nazywany swego czasu „najmłodszym miliarderem świata". Para, która pobrała się w 2017 roku, ma jeszcze dwóch synów, Harta i Mylesa. Najmłodszy chłopiec otrzymał imię Pierre, o czym poinformowała 40-letnia mama, publikując post na Instagramie. Kerr wychowuje jeszcze jednego syna, Flyna, ze związku ze słynnym aktorem Orlandem Bloomem. Głośno komentowana w mediach relacja gwiazdora kina z modelką zakończyła się w 2013 roku, niedługo po tym, gdy na świat przyszedł ich potomek.

(MW)

Zwierzęca miłość

Przegląd Nr 7 (12 – 19 II). Cena 9,80 zł

(...) Zdecydowana większość ptaków bojkotuje skomercjalizowane święto zakochanych, choć niektóre mają pod ogonem akcję strajkową. Ale bądźmy sprawiedliwi, nie lecą ze swoimi potrzebami do centrów handlowych ani nawet do ulicznych kwiaciarek. Zamiast tego skromnie prezentują umiejętności wokalne wobec wybranek. Mistrzynią tej skromności jest... wrona! Nie, nie chodzi o wszystkim znane, trzykrotne KRA – one naprawdę śpiewają. Ich śpiew jest bardzo cichy, słyszalny z zaledwie kilku kroków.

W mojej rodzinnej Łodzi o wrony trudno, toteż pierwszy raz spotkałem się z tym zjawiskiem w warszawskim parku Wiecha. Znałem z literatury ową skromność, ale byłem niezmiernie zaskoczony, gdy usłyszałem dziwną, nieco trelującą piosenkę. Nie byłem w stanie jej rozpoznać i wstyd przyznać, ale początkowo nie mogłem znaleźć wykonawcy, ponieważ szukałem kogoś maleńkiego – wielkości wróbelka, góra szpaka. Tymczasem ptaszysko było doskonale widoczne na bezlistnym drzewie. Dopiero po chwili zrozumiałem, że owe nieskładne strofy wydaje z siebie wrona. A i to bardziej wywnioskowałem z faktu, że ptak aż trząsł się z przejęcia, gdy nucił pieśń miłosną. Wojciech Młynarski w utworze „Lubię wrony" śpiewał: „(...) myśl w głowach nie świta im dzika, by krakaniem udawać słowika", bo „wiedzą dokładnie, że ich głosy brzmią raczej nieładnie". Cóż, pewnie coś w tym jest – mało które zwierzę jest w stanie konkurować z wroną przymiotami intelektu, więc może są autokrytyczne? I może właśnie za to piosenkarz lubił wrony tak jak ja? Kończąc wroni wątek, wspomnę tylko anegdotkę związaną z wronami i samym Młynarskim. Otóż w piosence autor wspomniał: „Żadna wrona przez chwilę nie kryje, że dlatego na zimę zostają, że źle fruwają". Ta zwrotka przyciągnęła uwagę ornitologa, który napisał do pana Wojciecha, że to nieprawda, ponieważ nasze wrony zimę spędzają na Zachodzie, do nas zaś przylatują ptaki z ZSRR. Poruszony Młynarski postanowił to sprostować i podczas koncertów informował publiczność o swojej wpadce. Ponoć do akcji wkroczyła cenzura i wycięła utwór z repertuaru.

Innym wirtuozem okołowalentynkowych nocy jest puszczyk. Wprawdzie puszczyki chłopaki śpiewają przez cały rok, ale najintensywniej zimą. Dlatego bardzo lubię lutowe noce, zwłaszcza pogodne. Wówczas zza płotu śpiewa mój sąsiad. Tu warto wspomnieć, że puszczyki mogłyby służyć za wzór szarmanckości niejednemu ludzkiemu kawalerowi. W tym czasie ciągle fundują dziewczynom rozmaite smakołyki, przeczesują im piórka dziobami (z wzajemnością zresztą i dzieje się tak nie tylko w okolicy walentynek, choć teraz częściej), a gdy damy się posilają, dżentelmeni popisują się swoimi wdziękami, stroszą pióra, podrygują na gałęzi albo przesuwają się po niej bokiem, raz w jedną stronę, raz w drugą, machają skrzydłami, przy czym rytmicznie mruczą, skrzeczą i klapią dziobem. No, chłopaki, który z was ostatnio wykonał taniec ze śpiewem przed konsumującą wybranką? Uczciwie przyznam, że ja tego nie robię, ale wziąłbym przykład z puszczyka, gdyby nie stanowczy zakaz żony (moje tańce niejednokrotnie kończyły się uszczerbkiem na zdrowiu, nie tylko moim).

Biuro Matrymonialne
Hamburg i okolice
Tel. 0178 2907155
lub 040 65798905
Amor
Kontakt telefoniczny poniedziałek, czwartek i piątek
- Skutecznie pomagamy w znalezieniu wymarzonego partnera
- Tylko poważne oferty, którym bliskie są katolickie wartości
- Gwarantuje Państwu bezpieczeństwo podczas poszukiwania partnera
- **Naszym celem są szczęśliwi ludzi**
- Nasza usługa kosztuje od 50 €

I nie opuszczę cię aż do śmierci

Tu zaznaczę, że owo intensywne dokarmianie partnerek ma u sów podłoże podobne do naszych oświadczyn. Zastanawialiście się, dlaczego pierścionek zaręczynowy powinien być kosztowny? To gwarancja, że traktujemy wybrankę poważnie, skoro zainwestowaliśmy poważną sumę. Trochę podobnie jest u ptaków, które obdarowują dziewczyny smakołykami. Pokazują się jako dobrzy łowcy, którzy będą w stanie wyżywić ukochaną i potomstwo.

To o tyle istotne, że u sów i wielu innych ptaków jedynie samice wysiadują jaja i właśnie one w pierwszym okresie wychowu młodych zostają w dziupli. W tym czasie utrzymanie rodziny jest w szponach męża i ojca.

Nie wiem, czy przy okazji oświadczyn puszczyki składają ukochanym przysięgę: „I nie opuszczę cię aż do śmierci", ale postępują tak, jakby to obiecały. Podobnie jest u gęsi. Tu również małżeństwa są dozgonne, a owdowiały ptak przechodzi żałobę, na kształt ludzkiej, zwykle trwającą około roku. Gęsi są ptakami bardzo towarzyskimi, a do życia tak bardzo potrzebują partnera lub partnerki, że w hodowlach, gdy brak im przedstawiciela własnego gatunku, nierzadko wiążą się z innymi gatunkami gęsi. Gdyby tych zabrakło, mogą to być zwierzęta dość odległe pokrewieństwem – niekiedy nie są to ptaki (znane są przykłady umiłowania psa, a nawet człowieka).

W naturze rzadziej mają miejsce takie sytuacje, ale mezalians tego rodzaju, a właściwie mezalianse, pojawiają się w książce „Odmieniec" Freda Bodsworth, w której młody gąsior bernikli białolicej gubi się we mgle i przez przypadek dociera do Kanady. Tam zakochuje się w miejscowej bernikli kanadyjskiej. Wszystkiemu przypatruje się ornitolog pochodzący ze Szkocji, który zakochuje się w kobiecie z miejscowego plemienia. Ponieważ akcja toczy się przeszło pół wieku temu, taki związek jest niemile widziany przez otoczenie. Obie pary przechodzą poważne perypetie, ale nie napiszę, jak to się kończy. Sami sprawdźcie, tym bardziej że to kawał dobrej literatury.

Zaręczyny u gęsi odbywają się wiosną, kiedy ptaki mają około półtora roku. Młody gąsior albo wdowiec, dojrzawszy pannę na wydaniu lub niekoniecznie młodą wdówkę, pręży się niczym kawaler w „Kwiatach polskich" Tuwima. Z tym że u gąsiora pierś nigdy nie jest cherlawa, lecz bardziej niż atletyczna. Mięśnie piersiowe poruszają skrzydła, więc u długodystansowych lotników, do których należą gęsi, muszą być potężne. Z pewnością jednak gąsior nie porusza się lekkim, tanecznym krokiem, charakterystycznym dla walca, tylko wręcz przesadnie sztywno. Co jakiś czas wyciąga przy tym szyję i wydaje trąbiący okrzyk. Jeśli w paradę wejdzie mu inny pretendent do skrzydła wybranki, w ruch idą dzioby. A że to nie przelewki, niech świadczy fakt, że u koleżanki prowadzącej po sąsiedzku agroturystykę gęsi są większym postrachem niż psy. Po prawdzie jej psy potencjalnego złodzieja mogłyby sterroryzować wskakiwaniem mu na kolana i domaganiem się pieszczot, gęsi zaś szczypią po łydkach. Jeśli gąska stanu wolnego wyciągnie długą szyję i odpowie okrzykiem, znaczy to, że zaręczyny zostały przyjęte, i ptaki stają się nierozłączne do grobowej deski.

Komu śpiewa słowik?

Popisy wokalne są generalnie domeną ptaków. Cóż może być bardziej romantycznego niż śpiew kosa czy słowika w ciepły wiosenny wieczór? Sto lat temu nadzwyczaj popularnym motywem kartek dla zakochanych była właśnie wpatrzona w siebie para na ławce, a nad nią z gałązki śpiewa ptaszek pokroju jednego z wymienionych. Pamiętajcie jednak, że śpiew słowika może was zwieść na manowce. W „Piosence o zagubionym sercu" Hanki Ordonówny słowik w upalną noc nie dał spać dziewczynie, przez co nieszczęsna zgubiła serce pod miedzą. Poszkodowana wznosiła modły do św. Antoniego, speca od rzeczy zgubionych. Cóż, święty raczej nie pomógł, wszak były to „sprawy nie dla świętych". Tu warto wspomnieć, że ptasie śpiewy w znacznej mierze kierowane są bardziej do... innych samców niż dziewczyn. Ale spokojnie, konserwatystów uspokajam, że zwykle nie chodzi o amory (choć niekiedy też, bo homoseksualność nie jest naturze obca, wbrew temu, czego by oczekiwali specjaliści od tzw. prawa naturalnego), lecz o zaznaczenie terytorium.

Na przykład śpiew samca zięby można przetłumaczyć tak: „Kochanie, wszystko w porządku, siedź sobie na jajeczkach, nic ci nie grozi. A ty, łajdaku z sąsiedztwa, który masz oko na moją ziębinkę, trzymaj się swojego drzewa, bo inaczej sprawię ci takie lanie, że ruski rok mnie popamiętasz". Jeśli konkurent nie posłucha, dochodzi do pojedynku, przy czym samica dopinguje obu zapaśników (kibicuje lepszym genom dla swoich jaj). Śpiew zięb wywiera wrażenie nie tylko na innych ziębach. W czasach przed wynalezieniem streamingu, a nawet przed radiem, ludzie często

Zięby Fot. Piotr Kamionka/Angora

trzymali ptaki w klatkach, by mieć nieco muzyki w domu. Zięby należały do częściej słuchanych i gdyby to było dzisiaj, a ptaki miały swój kanał na YouTubie, mogłyby do końca świata żyć z zarobionych pieniędzy. Do dziś we Flandrii jednym ze sportów narodowych są zawody w śpiewie zięb.

Z wokalnych popisów słyną także żaby, a polskie śpiewają najpiękniej. Kto ma co do tego wątpliwości, powinien odświeżyć sobie „Pana Tadeusza", gdzie sam wieszcz to orzekł. Skądinąd w narodowej epopei wątków miłosnych nie brakuje. W każdym razie jeśli chcieć szukać gdzieś w naturze najbardziej romantycznych śpiewaków, to właśnie wśród płazów bezogonowych. To ich przedstawiciele śpiewają dla potencjalnych wybranek, nie zaś konkurentów. Najpiękniej śpiewają kumaki, które dodatkowo mają źrenice w kształcie serca! Na podstawie głosu samice oceniają kandydatów, ich siłę i zdrowie, słowem szacują, czy opłaca się mieć z nimi skrzek. Tu sięgnę do wspomnień. Przed laty z koleżanką w ciepły majowy wieczór słuchaliśmy żab śpiewających w stawie tuż przy drodze. Słońce zaszło, księżyc prawie w pełni przeświecał przez rzadkie chmury, nastrój jak z romantycznego filmu. Przez żabi koncert przedarło się skrzypienie nienaoliwionego łańcucha rowerowego. Drogą nadjechało dwóch jegomościów, ale nas nie zauważyli. My za to usłyszeliśmy, jak jeden do drugiego w zachwycie rzekł: „Żaby już się pier...".

Jelonek na drzewie i rykowisku

Również jelonki na rykowisku usiłują wokalnie zdobyć wybranki. Jakże potężnie drą pyski! Ale i tu, podobnie jak u ptaków, to wyzwanie rzucane potencjalnym konkurentom. Zwykle na rykowisku, w centrum polany, jest jeden król. Jeśli przestrzeń jest duża, supermacho może być kilku, ale większość chłopaków robi za jelenie. I biada cieniasowi, który wejdzie w drogę gościowi po byku. A jeśli spotka się dwóch równie potężnych przeciwników, dochodzi do pojedynku kończącego się niekiedy zgonem na ringu. Jeśli samiec jest naprawdę wypasiony, może wokół siebie zgromadzić ponad 20 łań. Jednak porykiwania są przeznaczone i dla samic, bo działają jak afrodyzjak, przyśpieszając ich gotowość do amorów. Wiadomo, lepiej się śpieszyć, wszak zawsze może się pojawić jeszcze silniejszy byk. W każdym razie gdyby rogacze darły paszczę tylko do innych chłopaków, robiłyby to przynajmniej dwukrotnie rzadziej.

Rzecz jasna, pisząc o jelonku, miałem na myśli jelenia szlachetnego, ale we względnie naturalnych lasach spotkamy też prawdziwego jelonka, rogacza na dodatek! To największy z naszych chrząszczy, którego najokazalsi rycerze osiągają 6 cm, i to bez oręża. Orężem owym są przypominające poroże jeleni żuwaczki, czyli coś, co u owadów robi za zęby. Mogą one osiągać nawet połowę długości właściciela. Tu wabieniem zajmują się dziewuchy, które, defekując, rozsyłają po okolicy feromonowe wizytówki. Zwabieni zapachem kawalerowie stawiają się przed potencjalnymi partnerkami. Chrząszcze mają wyjątkowo twarde pancerzyki – właśnie niczym rycerze w zbrojach. I niczym rycerze na turnieju stają naprzeciw siebie. Najpierw prezentują swą moc i potęgę, chwaląc się orężem. Jeśli jeden rywal jest wyraźnie mniejszy, rzuca ręcznik na ring i znika czym prędzej, zanim dama z trybun go wygwiżdże. Jeśli jednak zawodnicy są porównywalni, dochodzi do zwarcia, w którym przeciwnicy usiłują wzajemnie się zrzucić z gałęzi, a więc nieco inaczej niż u nas, gdy konkurentowi każemy spadać na drzewo (cóż za brak szacunku dla grawitacji, Newton przewraca się w grobie!). Zwykle zrzucony przeciwnik rozwija skrzydła, a nawet gdy spadnie, dla twardych owadów upadek nie jest groźny. Niekiedy jednak rywal zostaje przebity.

Zwycięzca ma prawo do kopulacji – staje wówczas nad znacznie mniejszą samicą i zamyka ją w klatce z odnóży i żuwaczek. Sam akt jest dość długi i... pożywny dla zwycięzcy, bo przekształcenie narządu gębowego w oręż sprawia, że nie jest on zdatny do pobierania pokarmu. W czasie erotycznych uniesień dziewczyna głodnieje, przegryza korę dębu i spija sok. Amant korzysta z okazji, wsuwa swój język między jej żuwaczki i syci się podwójnie. Odwrotnie niż u nas, tu bowiem przez serce trafia się do żołądka.

Przez serce do żołądka może również trafić modliszka zwyczajna. Dlatego chłopak stara się zajść wybrankę niepostrzeżenie, aby następnie rzucić się na nią, obejmując za przednie odnóża. Czyni tak, żeby je unieruchomić. Jeśli mu się to nie uda, nie wycofuje się, tylko robi swoje. Jeśli uda się unieruchomić łapki laski, tym bardziej robi swoje. Tyle że w pierwszym przypadku kończy jako przekąska – przednie odnóża modliszek są przekształcone w narząd do chwytania ofiar. Nieudolny samiec zwykle traci głowę, od której samica zaczyna posiłek. Dekapitacja nie przerywa stosunku, przyśpiesza jednak ejakulację. Wbrew pozorom jest to korzystne dla przekąski, bo posilone dziewczę złoży więcej jaj, dzięki czemu więcej genów nieudacznika pozostanie w obiegu. A jeśli samcowi udało się potrzymać za rączkę ukochaną, tym lepiej – ma szansę na kolejny związek. O ile jest dość szybki, by dać nogę. Jak widać, „kochać, to nie znaczy zawsze to samo", choć cel jest zawsze ten sam – zostawić po sobie trochę genów (...).

KONRAD MALEC

GWIAZDY

Dani Alves
Skazany

Były brazylijski piłkarz usłyszał wyrok w sprawie o gwałt na 23-latce w klubie nocnym w Barcelonie. Do zdarzenia doszło w grudniu 2022 roku. 40-latek aż do ostatniej rozprawy próbował przekonywać wymiar sprawiedliwości o swojej niewinności. Alves, który ostatnie miesiące spędził w areszcie, ze łzami w oczach mówił, że poznana w dyskotece dziewczyna prowokowała go i kusiła w tańcu, co było dla niego jednoznacznym sygnałem, aby zaprowadzić ją do toalety w dyskotece – relacjonuje „Mundo Deportivo". Sąd uznał go za winnego napaści seksualnej, skazał na 4 lata i 6 miesięcy więzienia i zapłatę poszkodowanej zadośćuczynienia w wysokości 150 tysięcy euro. W stolicy Katalonii mówi się o upadku legendy, jaką przez lata gry dla FC Barcelona pisał Brazylijczyk.

Natalie Portman
Bez komentarza

Słynna aktorka i francuski tancerz Benjamin Millepied poznali się na planie filmu „Czarny łabędź". Szybko się w sobie zakochali, a w 2012 roku wzięli ślub. Doczekali się potomstwa – syna Alepha i córki Amalii. Jak się okazuje, ich małżeństwo nie jest sielanką. Tabloidy wielokrotnie zarzucały mężczyźnie niewierność, publikując dowody rzekomych zdrad w postaci zdjęć z innymi kobietami. Podobno Portman dała mężowi ostatnią szansę odbudowania relacji. 42-latka nie znosi komentowania swojego prywatnego życia, czemu dała wyraz w rozmowie z „Vanity Fair": – *Nieustannie krążące plotki są straszne, bolą mnie i nie zamierzam dodawać niczego więcej.*

Rooney Mara
Szczęśliwa nowina

Podczas Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Berlinie paparazzi uchwycili amerykańską aktorkę w eleganckiej czarnej sukience, która podkreślała jej wyraźnie zaokrąglony brzuch, świadczący o zaawansowanej ciąży. Do tej pory 38-latce udało się skutecznie ukrywać fakt, że spodziewa się dziecka – czytamy na femalefirst.co.uk. Dumnym ojcem będzie jej narzeczony, także aktor, Joaquin Phoenix. Para jest w związku od 2016 roku, zaś w 2020 roku urodził się ich pierwszy syn, River.

(MW)

Uczulać nas może prawie wszystko, ale każdego coś innego...

Rozmowa z prof. dr. hab. n. med. KRZYSZTOFEM BUCZYŁKĄ, specjalistą alergologiem, dyrektorem Przychodni Centrum Alergologii w Łodzi

– Czy można powiedzieć, że mamy w Polsce epidemię alergii?

– Jesteśmy częścią bogatszego świata, gdzie generalnie wytępiono wiele groźnych chorób, ale w ich miejsce pojawiły się właśnie alergie. W drodze ewolucji organizm człowieka gotowy jest do zwalczania różnych patogenów towarzyszących nam w codziennym życiu. A skoro pozbyliśmy się wielu zagrożeń, nasza wewnętrzna obrona wciąż szuka wroga i odnajduje go np. w banalnym i niewinnym pyłku brzozy czy w mleku. I wtedy atakuje tego rzekomego wroga, często nadmiernie, co prowadzi właśnie do powstawania reakcji alergicznej. Ta hipoteza tłumaczy w prosty sposób, dlaczego tak wiele osób zmaga się z alergią, i pokazuje, że rzeczywiście możemy mówić o swego rodzaju epidemii.

– Jak wiele osób cierpi z tego powodu?

– Nie ma precyzyjnych danych na ten temat, ale ocenia się, że co trzeci – niektórzy twierdzą, że nawet co drugi – Polak ma jakieś cechy alergii.

– Co nas najczęściej uczula?

– Jeśli chodzi o alergie wziewne, to w naszym kraju największe zagrożenie niosą pyłki kwitnących drzew, zwłaszcza tych wczesnowiosennych, czyli leszczyny, olchy, brzozy. Nic więc dziwnego, że już w styczniu czy lutym wielu alergików ma określone objawy. Bardzo dużą grupę pacjentów stanowią też osoby uczulone na trawy i dla nich najtrudniejszym okresem jest czerwiec. Ale uczulać może niemalże wszystko. Jeśli chodzi o drzewa i owoce, to mają one wspólną cząstkę białkową, chroniącą delikatne pyłki. To białko umiemy rozpoznać, co pozwala wytłumaczyć, dlaczego np. osoba uczulona na pyłki drzew doznaje też uczucia puchnięcia ust, gdy zje jabłko lub orzecha. Okazuje się, że jeśli coś szkodliwego jest w jednym źródle, to może pojawić się też w innym. I wtedy mamy do czynienia z alergią krzyżową. Dotyczy ona nie tylko jabłek czy orzechów, ale także ziół, które powszechnie uważane są za bezpieczne i zdrowe. Co ciekawe, problem jest większy w przypadku roślin hodowanych ekologicznie, bo one wspomnianych wcześniej białek ochronnych mają po prostu więcej.

– Jakie objawy mogą sugerować alergię?

– Zależy to zarówno od pacjenta, jak i rodzaju alergenu. Najczęściej mamy do czynienia z objawami ocznymi (swędzenie i pieczenie) i nosowymi (zatkany nos, kichanie, katar). To poniekąd reakcje obronne, bo organizm stara się w ten sposób usuwać szkodliwe pyłki. Niezbyt docenianym objawem alergii pyłkowej i pokarmowej może być ból gardła czy chrypka. O uczuleniu może świadczyć również refluks, duszność czy wysypka skórna. Szkodzić może też tzw. pierwsze wiosenne słońce w połączeniu z pyłkami unoszącymi się w powietrzu. Pylenie roślin bywa często niezwykle obfite i zdarza się, że na pyłki reagują wtedy nawet te osoby, u których testy niczego wcześniej nie wykazały. Jeśli zjemy alergeny spokrewnione z pyłkiem roślin, to możemy mieć bóle brzucha czy wzdęcia.

– Czy alergie mogą być przekazywane z rodziców na dzieci?

– To pytanie często pada w gabinecie lekarskim. Zakłada się, że czynniki genetyczne wpływają na pojawienie się alergii, ale nie udało się ciągle wyodrębnić konkretnych genów odpowiadających za to. Mimo to przyjmuje się, że alergię dziedziczymy w dużym stopniu po rodzicach – nawet w 60 – 70 proc. przypadków. Ważne jednak, by planując potomstwo nie zamartwiać się tym nadmiernie. Każdy z nas ma inny profil alergii, podobnie jak profil linii papilarnych. Dlatego starajmy się unikać jedynie tego, co zostało potwierdzone, że nam szkodzi. Mam pacjenta, któremu np. nie szkodzą jabłka starych polskich odmian, natomiast współczesne odmiany dają objawy alergiczne.

– Czy same objawy wystarczą do postawienia diagnozy?

– Na tej podstawie możemy jedynie podejrzewać, że mamy do czynienia z alergią. Nie wiemy jednak, na co konkretnie dana osoba jest uczulona. Pierwszym krokiem zawsze jest rozmowa z lekarzem, a standardem są testy skórne, obejmujące zazwyczaj ok. 10 alergenów wziewnych. Mamy też testy wykrywające alergeny pokarmowe. Czasami wychodzą one ujemne, pacjent ma zmiany skórne albo jelitowe, co może być skutkiem uczulenia

Fot. archiwum

na inne alergeny, zawarte np. w perfumach, metalach itp. Do ich wykrycia służą testy kontaktowe z różnymi substancjami chemicznymi, co sprawdza się za pomocą specjalnego plastra przyklejanego na plecach na 48 godzin. Uzupełnieniem diagnostyki może być badanie krwi, obejmujące specyficzne przeciwciała E (IgE). Celem jest ustalenie szczegółowego profilu alergicznego dla danego pacjenta. Dzięki temu wiemy, czego powinien on unikać i w jaki sposób można go precyzyjniej leczyć.

– Ale testy obejmują jedynie niewielką część istniejących alergenów. Co z pozostałymi?

– Obecnie dysponujemy cząstkowymi panelami obejmującymi od 5 do 30 oznaczeń IgE dla alergenów, ale jest też taki zestaw obejmujący prawie 300 substancji. Okazuje się, że u niektórych ludzi wspólne elementy białek różnych alergenów są takie same. To upraszcza postępowanie terapeutyczne, bo daje się sprowadzić uczulenie na liczne pyłki czy substancje do jednego białka występującego we wszystkich tych źródłach alergenowych.

– W jaki sposób leczy się alergie wziewne?

– Przede wszystkim nie stosujemy drastycznych diet. Najważniejszym lekiem są sterydy wziewne. Są one niczym innym jak ludzkimi hormonami wytwarzanymi przez nadnercza. W leczeniu alergii stosuje się też odczulanie polegające na podawaniu pacjentowi przez dłuższy czas szczepionki z alergenem. Coraz większe znaczenie zyskuje immunoterapia w formie tabletek, co podnosi komfort i bezpieczeństwo leczenia. Wielką nadzieję pokładamy w lekach biologicznych, które jednak obecnie są bardzo drogie.

– W jakim stopniu skuteczne jest odczulanie?

– Przyjmuje się, że np. trzyletnie odczulanie na pyłki brzozy może później zapewnić pacjentowi nawet 10 lat spokoju. I taki efekt osiąga się w ok. 80 proc. przypadków. Warto więc to zrobić, bo wtedy pacjent nie musi korzystać codziennie z leków. Choroby alergiczne leczone tylko objawowo nie wygasają, tylko stopniowo się pogarszają. Odczulanie blokuje ten proces, który wprawdzie może wrócić za kilka lat, ale najpierw daje pacjentowi spory oddech od choroby. Zwłaszcza gdy walkę z alergią rozpocznie się na wczesnym etapie jej rozwoju.

– Czy brak leczenia alergii wziewnej może wpływać na rozwój innych chorób?

– Tak. Może dojść choćby do pogorszenia się wydolności oddechowej, co prowadzi do astmy. Coraz częściej obserwuje się alergie pyłkowo-pokarmowe i skórne.

– Jakich zasad powinny się trzymać osoby z alergią wziewną w czasie największego pylenia?

– Nie mamy dużego wpływu na warunki atmosferyczne czy stężenie pyłków, choć możemy je kontrolować w aplikacji APSIK! Trzeba się po prostu leczyć i odczulać. Łatwiej chronić się przed alergenami domowymi. Ułatwiają nam to także oczyszczacze powietrza czy odkurzacze z filtrami HEPA. Natomiast decydując się na spacer w czasie wysokiego stężenia pyłków, pamiętajmy o okularach, by chronić oczy, a po powrocie do domu weźmy prysznic. To pozwoli zmniejszyć dolegliwości alergiczne.

– Rozpoczął pan ciekawy projekt wykorzystujący w diagnozowaniu sztuczną inteligencję. O co dokładnie chodzi?

– Zostaliśmy niedawno zaproszeni do współrealizacji badania klinicznego „Allergoscope" nr MESX/ISC/06/22. Będziemy wykorzystywać specjalne urządzenie z zestawem kamer termowizyjnych i oprogramowaniem wspieranym właśnie przez sztuczną inteligencję. Celem projektu jest ocena wyników alergicznych testów skórnych typu punktowego. Mówiąc prościej, podczerwień pozwala poznać rozkład komórek odpornościowych, które reagują na dany alergen. Dzięki temu mamy możliwość zobaczenia, co dzieje się pod warstwą skóry, a nie tylko na jej powierzchni. Specjalne oprogramowanie może ocenić precyzyjniej wynik testu skórnego niż obecne metody. Będzie to krok ku lepszej diagnostyce, a co za tym idzie, lepszej personalizacji leczenia.

– Jakie korzyści może odnieść pacjent?

– Przede wszystkim to możliwość wykonania bezpłatnych testów alergicznych. W projekcie mogą wziąć udział zarówno osoby z jawną alergią, jak i te, które nie mają objawów, ale mają obciążenia rodzinne. Na podstawie uzyskanych wyników pacjentom zaproponowane zostanie leczenie we wskazanych placówkach.

– W jaki sposób można zgłosić się do tego projektu?

– Należy skontaktować się z naszym Centrum Alergologii i wypełnić specjalną ankietę. Wkrótce możliwe to będzie także online. Projekt potrwa do czerwca.

ANDRZEJ MARCINIAK

Między prawdą a fałszem

Aż 8 mln dorosłych Polaków choruje na otyłość. To znaczy, że statystycznie każdy z nas zna przynajmniej jedną osobę, która się z nią mierzy. I każdy zetknął się z pewnością ze szkodliwymi mitami na ten temat.

Oto cztery najczęściej powtarzane, które komentuje **dr hab. n. med. Mariusz Wyleżoł, chirurg bariatra, prezes elekt Polskiego Towarzystwa Leczenia Otyłości:**

Mit 1: Z otyłości się „wyrasta"

Nadmierna masa ciała u dziecka wciąż bywa w społecznym przekonaniu utożsamiana z oznaką zdrowia. Można usłyszeć, że dziecko „dobrze wygląda", bo jest „dobrze odżywione". Błędem jest lekceważenie zbyt wysokiej masy ciała i przekonanie, że w miarę rozwoju dziecko z tego „wyrośnie". Nauka dowodzi, że dzieje się wprost przeciwnie:

– Choroba otyłościowa ma charakter przewlekły i nie ma tendencji do samoustępowania. Według badań 70 – 80 proc. dzieci z nadmierną masą ciała choruje na otyłość także w wieku dorosłym. Ryzyko to jest szczególnie duże, jeśli rodzice także są otyli. Musimy też pamiętać, że dzieci i nastolatki z nadmierną masą ciała rozwijają te same powikłania choroby otyłościowej, co dorośli: nadciśnienie tętnicze, cukrzycę typu 2, zmiany zwyrodnieniowe w narządzie ruchu czy depresję – twierdzi dr hab. n. med. Wyleżoł.

Mit 2: Można mieć otyłość i być zdrowym

Kolejnym nieuprawnionym i szkodliwym mitem jest opinia, że nie musimy się martwić nadmierną masą ciała, jeśli „nie widać" żadnych anomalii w wynikach badań, bo to znaczy, że to „taka nasza uroda", że kilogramy to tylko kwestia wyglądu i nie mają one wpływu na zdrowie. Takie myślenie to bardzo groźna pułapka.

– Nie istnieje coś takiego jak „zdrowa otyłość". To pojęcie jednoznacznie obaliły badania przeprowadzone na grupie 3,5 mln Brytyjczyków. Dowiedziono, że nadmierna masa ciała zwiększyła ryzyko chorób układu krążenia o połowę, nawet u osób, które w danym momencie miały prawidłowe ciśnienie krwi i poziom cholesterolu. To, że wyniki badań są w normie, dowodzi tylko, że nasz organizm potrafi przez stosunkowo długi okres adaptować się do nadmiernej masy ciała. Działa to jednak tylko do pewnego momentu – komentuje dr hab. n. med. Wyleżoł.

Mit 3: Kobieta w ciąży musi jeść za dwoje

To wciąż jeden z najbardziej rozpowszechnionych mitów, powtarzany od pokoleń. Tymczasem przyszła mama powinna jeść „dla dwojga", a nie „za dwoje". Dlaczego?

– Podczas ciąży zwiększa się zapotrzebowanie energetyczne, ale nie od razu i nie podwójnie. Zalecenia Instytutu Matki i Dziecka mówią, że w II i III trymestrze zapotrzebowanie wzrasta średnio o 20 proc., czyli około 300 – 400 kcal, a to odpowiada 3 – 4 bananom. Kobieta w ciąży, dbając o właściwą podaż składników odżywczych i zbilansowaną dietę, ma wpływ na tzw. płodowe programowanie metaboliczne, a więc na prawidłową urodzeniową masę ciała dziecka i na zmniejszenie również u niego ryzyka rozwinięcia się otyłości – podkreśla dr hab. n. med. Wyleżoł.

Mit 4: Operacja bariatryczna leczy otyłość

Zgodnie z wytycznymi obowiązującymi od 2022 roku, zabiegi takie przeprowadza się u osób, u których wskaźnik BMI przekracza 40 jednostek oraz w przypadku pacjentów z BMI powyżej 35, a także u tych z BMI od 30 do 35, którym operacja przyniesie nie tylko pomoc w redukcji masy ciała, ale także w zakresie kontroli ewentualnych powikłań otyłości, stwierdzanych na etapie kwalifikacji do operacji.

– To zabiegi ratujące zdrowie i życie. Otyłości nie można wyleczyć raz na zawsze. Wprawdzie wyniki badań wskazują na to, że operacje bariatryczne naprawiają niejako zaburzone mechanizmy regulacji spożycia pokarmów stwierdzane u chorych na otyłość i w ten sposób same w sobie prowadzą do redukcji masy ciała. Jednak nawet najbardziej zaawansowana operacja bariatryczna może okazać się z czasem zawodna bez odpowiedniej wiedzy żywieniowej operowanych, czy też bez świadomości, jak wielkie znaczenie ma dla zdrowia aktywność fizyczna. Warto zauważyć, że chorzy po operacji bariatrycznej mogą także wymagać leczenia farmakologicznego otyłości. Jeśli indywidualne zalecenia nie będą spełniane, istnieje prawdopodobieństwo, że po pewnym czasie, uzależnionym od predyspozycji osobniczych i środowiskowych, nastąpi nawrót choroby otyłościowej. Co dzień jednak obserwuję, jak pacjenci po operacjach bariatrycznych potrafią dokonywać rzeczy niezwykłych, jeśli chodzi o determinację w dążeniu do zdrowia – podsumowuje dr hab. n. med. Wyleżoł.

Otyłość to choroba, która może dotknąć każdego i w każdym momencie życia. Tylko edukacja i sięganie do rzetelnych naukowych źródeł wiedzy na jej temat pozwolą zwiększyć społeczną świadomość i raz na zawsze obalić mity. Służy temu także kampania „Porozmawiajmy szczerze o otyłości", której 4. już edycja zwraca uwagę m.in. na poważne konsekwencje hejtu i wykluczenia z powodu nadmiernej masy ciała.

A.M.

Przypadki starszej pani

W czapce niewidce

Starszy człowiek niby fizycznie jeszcze istnieje, ale tak jakoś dziwnie. Gdy jest w sklepie albo w urzędzie, wszyscy młodzi omijają go wzrokiem. Jakby był niewidzialny. Szczególnie młodzież patrzy przez niego w dal, jakby go w danym miejscu nie było. Każdy boi się mu spojrzeć w oczy. Czasem tylko ktoś pomoże coś podnieść. Niektóre towary w sklepach ułożone są wysoko. Niskiej kobiecie trudno jest je stamtąd zdjąć. Musi zacząć się na jakiegoś wysokiego mężczyznę i poprosić o pomoc. Upolowany delikwent, zanim zrozumie, o co babie chodzi, to ma panikę w oczach. Zawsze boi się, że to jakaś wariatka. Ludzie podchodzą do osób starszych jak do tych z niepełnosprawnościami. Tak jak przy nich, nie wiedzą, jak się zachować. W takich sytuacjach cała ich inteligencja gdzieś się ulatnia. Na starość, owszem, te ułomności występują, ale to nie znaczy, że można starsze osoby traktować jak powietrze albo jak intruza, który sam nie wie, czego chce, i w ogóle nie wie, na jakim świecie żyje. Z jaką niecierpliwością dorosłe dzieci co chwila sprawdzają godzinę na smartfonie, gdy przyjdzie im towarzyszyć starszym rodzicom w przychodni. Irytują się, gdy babcia lub dziadek nie potrafią wypełnić jakiegoś wniosku. Wraz z systemem emerytalnym starsi ludzie stali się samotni i często zdani tylko na siebie. Obce są nam azjatyckie zwyczaje opiekowania się seniorami przez rodzinę. W niektórych krajach to dorosłe dzieci utrzymują rodziców. U nas jest odwrotnie. To rodzice odmawiają sobie wygód, żeby pomagać dorosłym dzieciom. Dom opieki dla seniorów to intratny interes i przechowalnia, w której ktoś już może tylko czekać na śmierć. Przy wszechobecnym kulcie młodości i piękności starszy człowiek często krępuje się wychodzić między ludzi. Po co ma być zlekceważony i obrzucony zniechęconymi spojrzeniami pełnymi dezaprobaty. Bo po co snuje się, świecąc zmarszczkami i narażając młodszych na dyskomfort psychiczny. Dlatego dużo siedzi w domu i wychodzi z niego tylko wtedy, kiedy musi. W swoim gnieździe, czując się najbezpieczniej, z rozbawieniem patrzy na tych, którzy jeszcze czują się nieśmiertelni.

Rys. Katarzyna Zalepa

MIROSŁAWA KAMIŃSKA
mkaminska@angora.com.pl

Osteopata Piotr Cywiński radzi...

Staw kolanowy – duży kłopot

Spośród wielu dolegliwości układu mięśniowo-szkieletowego najczęściej spotykana jest dysfunkcja stawu kolanowego. Dotyka zarówno osób młodych, jak i w późniejszym wieku. Staw kolanowy łączy kość udową z piszczelową, a więc jest stawem udowo-piszczelowym, którego funkcje łączą zginanie, prostowanie oraz nieznaczne obracanie.

Kolano jest największym i chyba najważniejszym stawem naszego układu szkieletowego. Bez jego udziału nasza motoryka jest niemożliwa, a chodzenie, bieganie, wspinanie są mocno ograniczone. Istnieje wiele czynników, które mogą spowodować przeciążenie i dysfunkcję kolan. Najczęstszym powodem są wszelkie upadki i stłuczenia, które mogą zdarzyć się każdemu codziennie podczas najprostszych czynności związanych z lokomocją.

Urazy sportowe to duży dział medycyny osteopatycznej. Dotyczą najczęściej młodych ludzi trenujących dyscypliny kolizyjne, takie jak piłka nożna czy rugby. Inne sporty, w których wymagane jest szybkie przemieszczanie się i zwroty oraz powtarzające się uderzenia, np. tenis, siatkówka czy lekkoatletyka, również mogą być powodem dolegliwości. Gdy nasze organizmy zaczynają się starzeć, wiele osób cierpi na pogorszenie stanu chrząstek stawowych odpowiadających za amortyzację. Utrata chrząstki może doprowadzić do choroby zwyrodnieniowej stawu.

Jaką rolę ma tutaj osteopata?

Legenda klasycznej osteopatii John Wernham (1907 – 2007) uważał, że przyczyn bólu kolana należy szukać w innych, powiązanych biomechanicznie, naczyniowo czy neurologicznie częściach ciała, o ile nie było bezpośredniego urazu stawu. Mawiał, że kolano jest jak lustro, w którym mogą odbijać się problemy występujące wyżej lub niżej.

Wielu osteopatów wiąże przyczyny specyficznego bólu kolan u kobiet np. z dysfunkcją szyjki macicy. Każde inne niż fizjologiczne jej ułożenie może dawać określone dolegliwości, a wtedy najlepszym sposobem leczenia bolesnego kolana może być terapia wisceralna. Przyjmując holistyczne podejście, osteopata określi przyczynę bólu, a następnie zaplanuje przebieg leczenia. Podstawowym celem będzie poprawa krążenia i zbalansowanie sił działających na ten staw. Myśląc globalnie, spodziewajmy się wykonywania technik osteopatycznych w innych, nawet odległych częściach ciała, oprócz pracy na samym kolanie.

Jeżeli już czujesz jakiekolwiek dolegliwości tego stawu, nie zwlekaj i oddaj się w bezpieczne ręce osteopaty, który postawi diagnozę i dobierze skuteczne sposoby rozwiązania Twojego problemu.

Seniorzy pod kołdrą

Rys. Mirosław Stankiewicz

Co robią seniorzy i seniorki pod kołdrą? Bynajmniej nie śpią, przynajmniej we Francji. Nad Sekwaną seks miał zawsze ogromne znaczenie i stanowił warunek sine qua non udanego życia. Literatura i historyczne pamiętniki pełne są tu erotycznych opisów, a życie dworu królewskiego pod rządami kolejnych Ludwików było wręcz orgiastyczne.

W XIX wieku w społeczeństwie zaczęły dominować wprawdzie bardziej purytańskie normy obyczajowe, jednak istniała przecież instytucja oficjalnej utrzymanki. Studencka i obyczajowa rewolucja 1968 roku obaliła kolejne seksualne tabu. Kobiety się wyzwoliły, seks przestał być tematem zakazanym, a rodzina zeszła na dalszy plan. Liczyła się przede wszystkim przyjemność, tu i teraz. To pokolenie powojennego wyżu demograficznego. Rozpieszczeni przez los *baby boomers* mają obecnie ponad 70 lat, ale wciąż nie chcą oddać walkowerem dawno minionej młodości – również w sypialni. Świadczy o tym wciąż rosnący procent seniorów na portalach erotycznych i randkowych.

Statystyki i badania przeprowadzone m.in. przez stowarzyszenie „Les Petits Frères des Pauvres" wykazują, że ponad 85 proc. francuskich mężczyzn między 60. a 69. rokiem życia pozostaje aktywnymi seksualnie, podobnie jak 60 proc. z grupy 70 – 79 lat i 32 proc. 80-latków. Mało tego, 72 proc. mocno dojrzałych przedstawicieli obu płci deklaruje satysfakcję z życia erotycznego. Połowa zachowała podobną intensywność stosunków jak w czasach biologicznej młodości. Wprawdzie seniorzy kochają się średnio pięć razy w miesiącu (ich młodsi rodacy osiem, dziewięć), ale prawie połowa przekracza tę normę, zaś 13 proc. uważa, że ich libido z wiekiem wręcz rozkwitło. Uwielbiają uprawiać miłość w ciągu dnia (ponieważ nie pracują) i to dosłownie gdzie popadnie. Chętnie używają zabawek erotycznych. – *W naszym wieku mamy już doświadczenie i możemy eksperymentować* – śmieje się 76-letnia **Muriel**. – *To w końcu nasze życie i ciała.*

Większość seniorów uważa przy tym, że dojrzałe czy wręcz leciwe ciało wciąż zachowuje erotyczną atrakcyjność. Oczywiście, nie wiadomo do jakiego stopnia jest to tzw. myślenie życzeniowe. Nie na darmo we francuskim społeczeństwie rządzi ideał wiecznej młodości, a coraz więcej par dzieli różnica 20, 30 czy też 40 lat. Zwycięzcami w tym nierównym pojedynku pozostają zdecydowanie mężczyźni – pozycja społeczna i ekonomiczna wciąż robi swoje. Ale i to się zmienia. **Caroline** ma 67 lat i jest wdową. – *Kiedy pracowałam, nie myślałam o znalezieniu partnera* – mówi. – *Na emeryturze nagle zaczęłam mieć dla siebie czas i poczułam, że nie chcę zrezygnować z tej strony życia. Seksualność jest dla mnie bardzo ważna. Wiem, że jeszcze dużo mnie czeka.* To wyraźny znak czasów – podczas gdy dawniej seksualnych przygód i niezobowiązujących związków poszukiwali przede wszystkim panowie, dziś do akcji wkroczyły kobiety. Po nieowocnych poszukiwaniach na popularnym portalu dla seniorów Disons Demain **Nathalie** zapisała się do klasycznej agencji matrymonialnej, specjalizującej się w kojarzeniu srebrnych par. Wpisowe: 2400 euro za rok bądź ryczałt obejmujący 30 spotkań. Niestety, na sześć kandydatek po sześćdziesiątce przypada tu jeden mężczyzna. Wygrywają młodsze. Inna agencja z kategorii Prestige, mieszcząca się w luksusowej dzielnicy koło parku Monceau, życzy sobie 8000 euro za rok, oczywiście bez żadnej gwarancji. – *Wszystko jest kwestią feelingu i losu* – podsumowuje menedżerka. – *Nie ma reguł* – potwierdza **Aurélie** z biura w „dobrej", 16. dzielnicy Paryża. – *Może poza jedną: nasi klienci pragną pozostać w obrębie tej samej klasy społecznej.*

Marzenia o księciu z bajki, który zaopiekuje się biednym Kopciuszkiem, są więc w wieku mocno dojrzałym całkowitą utopią – nawet pod kołdrą. W grę rzadko wchodzi wtedy przysłowiowa burza zmysłów, ogromną rolę odgrywają natomiast sprawy przyszłego spadku i czujne spojrzenia dorosłych dzieci. W ciągu dwóch lat Nathalie spotkała się jedynie z czterema potencjalnymi kandydatami do serca i łoża. Był wśród nich dyrektor handlowy, emeryci oraz mocno sfatygowany rentier. Prawie wszyscy po siedemdziesiątce. Do seksu nie doszło. Jeden z pretendentów oświadczył, że Nathalie nie jest w jego typie, drugi – że nie odczuwa do niej pociągu, trzeci pragnął zostać jej platonicznym przyjacielem, a podstarzały playboy zadeklarował, że dobrze mu tak jak jest, ponieważ czas jest policzony. – *Chciałam sama przystąpić do akcji, ale na szczęście się powstrzymałam* – wzdycha Nathalie. Determinacja jednak popłaca. Aktualnie Nathalie jest kochanką 75-letniego pana, którego spotkała na wystawie. – *Jest bardzo brzydki* – mówi. – *Ale nie trzeba stawiać sobie zbyt wysoko poprzeczki.* **Philippe** miał być bogatym Szwajcarem. Okazało się, że mieszka na francuskiej prowincji, miał być archeologiem – jest nauczycielem na emeryturze, miał być dyspozycyjny – pojawia

Odzyskać chęć do życia

Nawet kilkanaście tysięcy osób dotkniętych najcięższą postacią przewlekłego zapalenia zatok przynosowych z polipami nosa (PZZPzPN) czeka z nadzieją na kwietniową listę refundacyjną. Być może pojawi się na niej oczekiwane przez nich leczenie biologiczne.

Taką nadzieję ma m.in. 46-letnia pacjentka, która od 26 lat cierpi na wspomniane schorzenie. – Miałam już 17 zabiegów, usuwam polipy, a one i tak cały czas odrastają – opowiada. – Nie mogę przez nie oddychać i normalnie żyć. Czasem, gdy zaczynam się dusić, a termin planowanego zabiegu na NFZ jest odległy, to jadę prywatnie do lekarza, który przycina polipy shaverem, ale to nie załatwia sprawy. Każda taka wizyta to wydatek ok. 2000 zł. W wyniku tych operacji i stosowanych leków mam liczne nadżerki w nosie, które nie tylko okropnie wyglądają, ale i bolą. Po tylnej ścianie gardła spływa mi cały czas wydzielina, powodując, że mam wrażenie, jakbym w gardle miała jedną wielką kluchę. Tragedią jest, gdy w pracy polipy wychodzą mi z nosa. Muszę je wpychać palcem. Chodzę wtedy w maseczce na twarzy, by nie było tego widać.

U podłoża PZZPzPN leży tak zwane zapalenie typu 2. Pod tym pojęciem kryją się procesy układu immunologicznego wywołane przez szereg potencjalnych czynników uszkadzających (np. wirusy, bakterie, alergeny czy zanieczyszczenie środowiska). Prowadzą one do napływu komórek zapalnych do dróg oddechowych, uszkodzenia otaczających tkanek, ich przebudowy i formowania polipów, które – mimo usuwania operacyjnego – charakteryzują się tendencją do odrastania. Najczęściej dochodzi do ich rozwoju u osób z obustronnymi zmianami zapalnymi, powstającymi początkowo w zatokach przynosowych. To choroba, która ma przewlekły i nawrotowy charakter. Towarzyszy jej ciągły ból i uczucie rozpierania głowy. To także niekończące się infekcje i uczucie zatkanego nosa, problemy z prawidłowym oddychaniem, zaburzenia snu i wreszcie utrata węchu. Powyższe objawy powodują, że jakość życia jest porównywalna lub gorsza niż w przypadku choroby Parkinsona czy choroby wieńcowej.

– Szacuje się, że u 15 – 20 tysięcy pacjentów w Polsce widzimy obraz ciężkiego zapalenia, z nawracającymi polipami. Prowadzi to do wielokrotnie powtarzanych operacji, co stanowi olbrzymie obciążenie dla pacjentów, ich rodzin, ale też dla płatnika i systemu opieki zdrowia – zwraca uwagę **prof. dr hab. n. med. Maciej Kupczyk, specjalista chorób wewnętrznych, chorób płuc i alergologii z Kliniki Chorób Wewnętrznych, Astmy i Alergii Uniwersytetu Medycznego w Łodzi.** – Postępowanie terapeutyczne obejmuje płukanie jam nosa, leczenie objawowe oraz podawanie glikokortykosteroidów, najczęściej w postaci kropli do nosa, okresowo w postaci tabletek. Leki te hamują procesy zapalne.

Jednak w przypadku braku odpowiedzi na leczenie zachowawcze pacjenci poddawani są wielokrotnym operacjom. – Podczas zabiegu, usuwając polipy, usuwamy również zdrową tkankę błony śluzowej, tworzą się blizny, istnieje ryzyko powikłań, m.in. uszkodzenia nerwu wzrokowego, nerwu węchowego czy zapalenia opon mózgowo-rdzeniowych – przyznaje **prof. dr hab. n. med. Dariusz Jurkiewicz, kierownik Kliniki Otolaryngologii i Onkologii Laryngologicznej z Klinicznym Oddziałem Chirurgii Czaszkowo-Szczękowo-Twarzowej Wojskowego Instytutu Medycznego w Warszawie.** – Mimo że teraz to przede wszystkim zabiegi endoskopowe, do tych i innych powikłań może dojść w każdej chwili, nawet w renomowanym ośrodku. Ponadto taki zabieg odbywa się w pełnym znieczuleniu, a pacjenci przecież stają się starsi i mają też inne schorzenia, więc zastosowanie narkozy bywa bardziej problematyczne.

Przewlekłe zapalenie zatok nie tylko negatywnie wpływa na jakość życia pacjentów, ogranicza ich aktywność zawodową i dosłownie odbiera chęć do życia. Generuje też więcej zwolnień lekarskich i absencji chorobowych niż takie choroby jak np. łuszczyca, nowotwór złośliwy tarczycy czy prostaty.

Jedyną szansą dla pacjentów z ciężkim przebiegiem choroby byłaby terapia biologiczna, która z powodzeniem stosowana jest w innych chorobach wywołanych zapaleniem typu 2, takich jak AZS czy astma, i jest rekomendowana zarówno przez klinicystów, jak i towarzystwa naukowe. Leczenie biologiczne dupilumabem w ubiegłym roku otrzymało pozytywną rekomendację prezesa Agencji Oceny Technologii Medycznej. Wciąż jednak brakuje decyzji o refundacji wspomnianej terapii.

– Wprowadzenie refundacji leczenia biologicznego dla pacjentów z PZZPzPN pozwoliłoby poprawić jakość ich życia, umożliwić powrót do aktywności społecznej i zawodowej – podkreśla **Hubert Godziątkowski, inicjator kampanii „Masz to w nosie?"**. – Wierzę, że ich codzienny dramat wreszcie się skończy za sprawą oczekiwanej, pozytywnej decyzji Ministerstwa Zdrowia. **A.M.**

się tylko na kilka godzin, a i to rzadko – rodzina zobowiązuje. – *Przez miesiąc przysyłał mi wiersze i piosenki* – mówi Nathalie – *więc kiedy zobaczyliśmy się po raz drugi, zaprosiłam go do domu. Seks bardzo dobrze mi robi*. Nathalie nie zamierza poprzestawać na tej relacji. Ponownie nawiązała kontakt z agencją. – *Zobaczę, kogo mają na rynku. Będę postępowała tak jak faceci* – oznajmia. Pokazuje zdjęcie mocno starszego pana, mówiąc: – *To kolega z kursu rysunku. Ma 88 lat i jest wspaniały. I w końcu po coś wymyślono viagrę*. Niestety, żwawy 88-latek nie szuka kochanki. – *Szkoda* – wzdycha Nathalie, przekonana na nowo o swym seksapilu.

– *Francuskie seniorki nie posiadają zahamowań pod względem seksualnym* – zgadzają się psycholodzy i seksuolodzy. Co prawda większość kobiet między 65. a 69. rokiem życia nie uprawiała seksu co najmniej od roku, jednak zdaniem specjalistów, to sytuacja godna pożałowania. Po sześćdziesiątce orgazm jest w lepszym gatunku aniżeli w wieku 40 lat. Mocno dojrzałe damy ruszają na polowanie, gdzie się da, obserwując potencjalnych kandydatów. Głównie do łoża, o trwalsze związki jest dużo trudniej. – *Przestałam szukać na portalach* – wyznała mi niedawno szefowa administracji pewnej dużej firmy, lat 60 plus. – *Teraz sypiam wyłącznie z tymi, których spotykam w realu. Ale nie z wszystkimi, muszą mi się podobać. Kocham seks! A hormony we mnie wręcz buzują!* Seks to wprawdzie nie tylko sprawa hormonów, faktem jest jednak, że we Francji regularnie zapisuje się je kobietom po menopauzie. – *Nie musimy się już cenzurować* – mówi **Catherine**, lat 65 – *jest przecież równouprawnienie. Moja teściowa, mająca 74 lata, miewa przygody z panami spotykanymi w internecie* – kontynuuje wątek **Valérie**, z zawodu psycholog. **Nadine**, elegancka paryżanka po siedemdziesiątce, miała mniej szczęścia. Jej zalotnik, lat 82, dostał ataku serca po zażyciu viagry. Nadine wezwała pogotowie i odwiedziła go w szpitalu, romans się jednak wypalił. – *Był uroczy* – wzdycha z żalem, ale znów biega na randki. – *Platoniczne* – zaznacza. Mężczyźni przyjmują jednak coraz częściej postawę obronną. – *Zawsze informuję, że nie sypiam na pierwszym spotkaniu* – mówi świeżo upieczony emeryt, bywalec portalu Tinder, proponującego szybki seks. 66-letni **Luca** z mieszanymi uczuciami wspomina z kolei swoje doświadczenia na Meeticu. – *Jedna pani zaczęła się rozbierać już w samochodzie, po pierwszej kolacji* – opowiada. – *Wypisałem się – nie dałem rady.*

W Dinan, malowniczej miejscowości niedaleko Rennes w Bretanii, raz w tygodniu odbywa się kurs gimnastyki dla seniorów. Średnia wieku wynosi tu 76 lat, w grupie jest pięciu panów i dwanaście pań. Te ostatnie przybywają na kurs w pełnym makijażu, po wizycie u fryzjera i manikiurzystki. Ćwiczenia są z reguły indywidualne, czasem jednak uczestnicy się dotykają: może coś zaskoczy? Taniec godowy trwa. Seks to młodość, a młodość to seks.

JOANNA ORZECHOWSKA (Paryż)

Raport ANGORY – Polski pacjent

Pacjent nie doczekał

Na skutek błędów okołoporodowych dziecko doznało nieodwracalnych powikłań. Rodzice złożyli w jego imieniu pozew przeciwko klinice. Sąd przyznał pacjentce odszkodowanie i zadośćuczynienie. Klinika odwołała się od wyroku. Jednak przed rozpoczęciem sprawy apelacyjnej dziecko zmarło.

35-letnia mieszkanka województwa śląskiego zaszła w pierwszą ciążę i podczas jej trwania pozostawała pod opieką publicznej poradni ginekologiczno-położniczej. W 2011 r., będąc w trzecim trymestrze, kobieta zdecydowała się na skorzystanie równolegle z opieki prywatnej kliniki. Tam w trakcie jednej z kolejnych wizyt ginekolog zasugerował, że z powodu wieku (kobieta miała wówczas 36 lat), należałoby rozważyć rozwiązanie ciąży na drodze cesarskiego cięcia, co pozwoliłoby zniwelować wysiłek porodowy. Alternatywnym rozwiązaniem proponowanym przez lekarzy było przeprowadzenie porodu w znieczuleniu CSE (połączenie znieczulenia zewnątrzoponowego i podpajęczynówkowego).

Pacjentka zdecydowała się na drugie rozwiązanie.

Na sali porodowej po podaniu znieczulenia czas rozwiązania zaczął się wydłużać. Nawet gdy doszło do pełnego rozwarcia ujścia, poród nie następował. Podłączony na stałe detektor tętna płodu wykazywał okresowe zaburzenia.

Wezwano lekarza anestezjologa. Rozpoznano wtórne zatrzymanie skurczy porodowych i zdecydowano o konieczności przeprowadzenia cesarskiego cięcia.

Zabieg przeprowadzono w znieczuleniu ogólnym. Ciało dziecka było owinięte pępowiną. Po porodzie w pierwszej minucie życia lekarze ocenili stan dziewczynki na 1 w mającej od 0 do 10 skali Apgar. Noworodek cechował się uogólnioną wiotkością i nie oddychał. Został zaintubowany i przewieziony na oddział neonatologiczny.

Mimo przeprowadzonych działań resuscytacyjnych, wspieranych masażem serca, dziecko było nieprzytomne.

Badanie przezciemieniowe głowy wykonane w trzeciej dobie życia wykazało rozległe uszkodzenie niedokrwienne okolic okołokomorowych mózgu i obustronny wylew dokomorowy krwi (IVH).

X została przewieziona do publicznej kliniki na oddział neonatologiczny, gdzie rozpoznano okołoporodowe uszkodzenia mózgu wynikające z niedotlenienia. Przeprowadzone badania wykazały brak objawów infekcji z okresu ciąży. Dziewczynka została wypisana w 28. dobie życia z zaleceniem dalszych kontroli neurologicznych.

Kleszcze – zapomniane narzędzie

Rodzice zadbali, żeby dziecku wykonywano regularne zabiegi rehabilitacji stacjonarnej i domowej, ale nie przynosiły one efektu.

Około 3. miesiąca życia doszło do wyzwolenia napadów padaczki, którą zdiagnozowano jako lekooporną – tzw. zespół Westa. W imieniu córki opiekunowie złożyli pozew przeciwko klinice, w której miał miejsce poród. Pozwana klinika w całości zakwestionowała pozew, twierdząc, że udzieliła świadczeń w sposób niewadliwy. To samo oświadczył ubezpieczyciel, u którego klinika miała wykupione ubezpieczenie OC.

– Zastosowane w tym przypadku znieczulenie okołoporodowe wpłynęło na osłabienie skurczów macicy – mówi dr **Ryszard Frankowicz**, specjalista ginekolog-położnik. – Ginekolodzy odbierający poród powinni się liczyć z wystąpieniem podobnych powikłań. Trzeba też pamiętać, że przy takich znieczuleniach u dziecka często występuje depresja oddechowa. Dlatego moim zdaniem decydowanie się a priori na takie rozwiązanie wymaga rozwagi i namysłu. Poród się przedłużał, co ostatecznie spowodowało niedotlenienie. W tamtej sytuacji należało użyć kleszczy położniczych, co znacząco skróciłoby poród i w efekcie uratowało dziecko. Jednak tego nie zrobiono. Ginekolodzy-położnicy, zwłaszcza ci, którzy uzyskali specjalizację kilka lat temu, rzadko stosują kleszcze. Dlaczego? Bo nikt ich tego nie nauczył. Obecny poziom szkolenia położników nie zapewnia nabycia wprawy w posługiwaniu się kleszczami położniczymi, które w większości oddziałów położniczych wyparła metoda próżnociągu położniczego. A to urządzenie, działając poprzez przyssaną drogą podciśnienia pelotę na główce rodzonego płodu nie zapewnia rotacji główki w kanale rodnym. Dzisiejsi wykładowcy położnictwa za bardzo zapatrzyli się w najnowsze techniki, zapominając o starych, często nadal potrzebnych umiejętnościach medycznych.

Bezstronny biegły to nieczęsty przypadek

Sąd powołał biegłych, którzy na podstawie dokumentacji medycznej i badania dziecka (podczas którego doszło do napadu padaczki) zdecydowanie stwierdzili, że jest to przypadek nieprawidłowej opieki z okresu pobytu na sali porodowej, przy ewidentnej zwłoce w zakończeniu porodu drogą cięcia cesarskiego. Wskazali także, że po zastosowaniu znieczulenia CSE doszło do wtórnego osłabienia skurczów macicy, co było powiązane z alarmującym objawem zwolnienia akcji serca dziecka poniżej 60 uderzeń na minutę, a więc objawem bradykardii płodowej. Jednocześnie przodująca główka płodu nie weszła jeszcze w ścisły kontakt z miednicą kostną rodzącej, był to więc najbardziej stosowny czas do przeprowadzenia porodu drogą brzuszną. Zdaniem biegłych opóźnienie tej interwencji położniczej stało się przyczyną rozległego niedokrwienno-niedotlenieniowego uszkodzenia mózgu dziecka, co spowodowało trwały i całkowity uszczerbek na zdrowiu małoletniego powoda. Oceniono go na 180 proc. (co wynika z sumy uszczerbków z zakresu różnych dziedzin medycznych).

W 2019 r. Sąd Okręgowy przyznał poszkodowanemu dziecku odszkodowanie i zadośćuczynienie w wysokości miliona złotych.

Pacjent: X
Choroba: mózgowe porażenie dziecięce
Miejsce leczenia: prywatna klinika w województwie śląskim
Pozwany: prywatna klinika w województwie śląskim
Zarzut: brak staranności i ostrożności zawodowej
Kwota roszczenia: milion złotych
Podstawa prawna: art. 415, 430, 445 k.c.

W uzasadnieniu czytamy:

(...) *Zeznania osobiste świadków pozwanej kliniki na okoliczność obserwacji przebiegu porodu i trafnym czasie decyzji o przeprowadzeniu cięcia cesarskiego są niewiarygodne. Czysty płyn owodniowy i prawidłowa masa urodzeniowa noworodka wykluczają przewlekłą niewydolność łożyska, a parametry oznaczonej po urodzeniu równowagi kwasowo-zasadowej wskazują na ciężkie, długotrwałe niedotlenienie płodu – minimalny okres niedotlenienia, który prowadzi do takiego niedoboru zasad, jak to miało miejsce w tym przypadku, to 1,5 godz. Ukończenie porodu wcześniejszym cięciem cesarskim zmieniłoby zauważalne ryzyko związane z konfliktem pępowinowym* (...). *Zaniechano zwrócenia uwagi, że stosowana w tym przypadku metoda znieczulenia wziewnego w I okresie porodu wyzwala wydłużenie jego przebiegu* (...). *Opinie biegłych w sposób jednoznaczny i logiczny ustaliły zdaniem sądu związek przyczynowo-skutkowy pomiędzy niedbalstwem obserwacyjnym porodu a powstałym opóźnieniem w udzieleniu właściwego świadczenia gwarantowanego.*

Klinika złożyła apelację. Niestety, po wydaniu korzystnego wyroku dziewczynka zmarła. Jednak zgodnie z art. 445. par. 3:

Roszczenie o zadośćuczynienie przechodzi na spadkobierców tylko wtedy, gdy zostało uznane na piśmie albo gdy powództwo zostało wytoczone za życia poszkodowanego.

Dlatego Sąd Apelacyjny będzie rozpatrywał sprawę, tak jakby dziecko nadal żyło.

Stopień uszkodzeń zdrowia dziewczynki był tak duży (znajdowała się w stanie wegetatywnym), że nie rokował nawet w niewielkim stopniu na poprawę zdrowia. Niemniej, gdyby sprawy o zdarzenia medyczne nie trwały latami, uzyskane pieniądze można by przeznaczyć na prywatne zabiegi rehabilitacyjne i chociaż minimalną poprawę komfortu życia dziecka.

W tej tragicznej sprawie jest też jeden jasny punkt. To obiektywizm, profesjonalizm i odwaga biegłych. Podczas blisko ćwierćwiecza „Polskiego pacjenta" znacznie mniej niż połowa opinii biegłych odpowiadała standardom bezstronności. Może więc coś zmienia się na lepsze? Chyba że biegli okazali się tak profesjonalni, bo sprawa dotyczyła kliniki prywatnej, a nie publicznej?

KRZYSZTOF RÓŻYCKI

Współpraca: dr **Ryszard Frankowicz.** Telefon kontaktowy: 602 133 124 (w godz. 10 – 12).

Fot. Piotr Kamionka/Angora

Radosne przemijanie

Rozmowa ze SŁAWĄ PRZYBYLSKĄ (91 l.), piosenkarką

TYGODNIK ANGORA

– Prowadzisz bardzo intensywne życie: wywiady, radio, telewizja, koncertowe podróże.

– Tak, najbliższe to Radzyń Podlaski i Międzyrzec Podlaski.

– W Radzyniu dostaniesz tytuł honorowego obywatela miasta.

– Podobno. I bardzo się z tego cieszę, bo te rejony to moje rodzinne strony, moje Podlasie. Mama pochodziła ze wsi koło Międzyrzeca, z Drelowa, i dlatego bardzo często bywałam w tych okolicach. A moje pierwsze zachwyty to las koło Drelowa, pełen śpiewu ptaków, pełen zwierząt i cudownych ludzi. To był czysty panteizm.

– Była bardzo wrażliwa na piękno.

– Mama całą miłość do przyrody, do zwierząt i do ludzi obdarzała uśmiechem i życzliwością. Tym sobie zjednywała naokoło wszystkich, z którymi się zetknęła. Miała ogromną mądrość, a ja od niej wzięłam wszystko, co dobre. Nigdy nas nie pouczała, nie nakazywała, tylko swoim sposobem istnienia i zachowywania się uczyła nas tego, co piękne w przyrodzie i w kontaktach z nią.

– Lubisz wracać do dzieciństwa?

– Ja w ogóle rzadko wracam do przeszłości. Żyję chwilą. Ważne jest to, co się dzieje w tym momencie.

– Międzyrzec jednak zapisał się w tobie wielką traumą.

– Tak, ponieważ mieszkali tam Żydzi. W 1942 roku przeżyłam tam likwidację Żydów. Widziałam, jak ich zabijano. Nie tylko dorosłych, lecz także dzieci. Byłam wtedy już nastolatką i takie przeżycie zapisało się w moim sercu jako cierń. Po latach, gdy już śpiewałam profesjonalnie, postanowiłam zrealizować coś dla mnie ważnego.

– Zaśpiewałaś pięknie żydowskie piosenki.

– Śpiewanie to mój osobisty pomnik ich pamięci. W Międzyrzecu Żydzi mieli osiem synagog, uczestniczyli w życiu miasteczka, budowali szpital i ochronkę dla starych ludzi, a także salę widowiskową. Ta symbioza z Polakami była osobista i bardzo ważna. Po drugiej wojnie wszystko się zmieniło, tylko że ja wyjechałam już do Krzeszowic, gdzie ukończyłam szkołę podstawową, a potem w Warszawie liceum sztuk plastycznych, jednocześnie chodząc do wieczorowej szkoły muzycznej i śpiewając. Śpiew był dla mnie najważniejszy.

– Śpiewałaś od dziecka?

– Śpiewałam też jako harcerka, a mój dom był rozśpiewany. Mama śpiewała cały czas, nawet jak szykowała prosiakom jedzenie. Cały czas ciężko pracowała w domu i w gospodarstwie. Ale jako młoda dziewczyna brała również udział w tych śpiewankach ludowych, przy których wszyscy tańczyli i śpiewali. Mama śpiewała, siostry śpiewały, całe Podlasie śpiewało. A ja od wczesnego dzieciństwa słuchałam ludowych piosenek. To miało ogromny wpływ na moje poczucie piękna. Na wsi śpiewało się przy każdej okazji. Przy narodzinach, przy weselach, przy darciu pierza. A ja udzielałam się też w chórze kościelnym i pierwszy komplement usłyszałam od organisty. Powiedział: Zaśpiewaj. I skomentował: Tak właśnie trzeba śpiewać. To była pierwsza recenzja mojego śpiewu.

– To dlaczego poszłaś do liceum plastycznego?

– Bo rysowałam i malowałam jako dziecko.

– Miałaś wiele talentów.

– Chyba tak, bo napisałam kiedyś wypracowanie, za które dostałam ocenę lepszą niż piątka. Nauczycielka powiedziała mi, że powinnam pisać. Ale potem skończyłam Szkołę Główną Służby Zagranicznej.

– Bo namówiła cię koleżanka.

– Tak, powiedziała, że będziemy jeździć za granicę. W Polsce Ludowej to było właściwie niemożliwe. Jednocześnie prowadziłam chór na uczelni i wszyscy mnie znali ze śpiewu i solówek na akademiach. Zorganizowałam też śpiewający tercet.

– Ale to było jeszcze takie amatorskie. A kiedy zaczęłaś śpiewać zawodowo?

– Po ukończeniu studiów koleżanka powiedziała mi o konkursie w radiu dla amatorów śpiewaków z całej Polski. Ja na ten konkurs się zgłosiłam. Wygrałam go zresztą. Organizował go Władysław Szpilman. Byłam nieśmiała. Nie wierzyłam więc, że mogę śpiewać profesjonalnie, ale ten konkurs mi uświadomił, że to możliwe. Szpilman zorganizował potem roczne studium. Spotkałam na nim Hannę Rek, Ludmiłę Jakubczak, dykcji uczyła nas Hanna Skarżanka. A Bardini interpretacji, co było dla mnie bardzo istotne. I pojawiły się propozycje. Jedna bardzo ważna – to piosenka do filmu „Pożegnania".

– Właśnie, „Pamiętasz, była jesień", którą wszyscy do dziś znają. I „Staruszek portier".

– To zabawne, bo w hotelu w Tarnowie spotkałam portiera, który, z uśmiechem dając klucz, powiedział: „To ja jestem ten staruszek portier, o którym pani śpiewa".

– Miałaś jeszcze potem kontakt ze Szpilmanem?

– Nie, bo on nie grał i nie akompaniował. Proponował mi tylko niektóre swoje piosenki i wtedy rozpoczęłam intensywne życie koncertowe – nie tylko po Polsce, lecz także za granicą. Pierwszy raz pojechałam do Stanów Zjednoczonych. Potem bywałam tam często.

– Zjeździłaś pół świata. Marzyłaś o takim życiu?

– Marzyłam tylko, żeby śpiewać. Nie było to jednak tylko marzenie, bo je realizowałam. To była moja pasja. I mam ją do dzisiaj.

– I ciągle masz w sobie młodą dziewczynę.

– Jak śpiewam, to jestem sobą. Śpiewam o tym, z czym mogę się utożsamiać, i przekazuję to, czego nauczył mnie Bardini. Żeby śpiewać w sposób naturalny, co jest sednem muzyki, która jest we mnie. I ja muszę to sedno przekazać.

– Byłam na kilku twoich koncertach. Za każdym razem, śpiewając tę samą piosenkę, odtwarzasz ją trochę inaczej.

– Bo to wszystko zależy od nastroju, od chwili, w której się znajduję. I od ludzi, którzy mnie słuchają i reagują. Ja chłonę od nich energię.

– Ich miłość i życzliwość.

– Oczywiście. Jeśli tańczę, mój taniec nie jest wyuczony. Tańczę tak, jak śpiewam. Mam poczucie rytmu i ruchu od dziecka. To ja z chłopakami wchodziłam na każde drzewo i nigdy nie spadłam z jabłoni. To ja grałam w zbijanego – zawsze z chłopcami, bo oni to umieli, a dziewczyny zajmowały się tylko lalkami. Ruch był dla mnie imperatywem. Tak jak śpiewanie. Kiedy obserwowałam w telewizji programy baletowe, byłam tak nimi zachwycona, że postanowiłam z telewizji nauczyć się tańca. I wtedy zrozumiałam, że ruch baletnicy nie rodzi się ot tak sobie. Zaczyna się od ramienia, cała ręka musi być elastyczna. Ciałem można wszystko zrobić, ono jest rozciągliwe i przekazuje emocje. Wiele nauczyłam się, oglądając „Jezioro łabędzie". Rosyjski balet mnie zachwyca. Ogromne wrażenie zrobiła też na mnie pantomima Grotowskiego – całą treść można przekazać nie słowami, lecz ruchem. Dla mnie balet i śpiew to naczynia połączone.

– Jak wspominasz STS, od którego zaczynałaś?

– Bardzo miło, bo dla mnie tam zaczęła się magia teatru. Odeszłam od nich, namówiona przez przyjaciół ze Stodoły, którzy mnie zachęcili do przejścia. W Stodole czułam, że jestem wśród przyjaciół, lepiej mi było. Zaśpiewałam tam songi Bertolta Brechta, o czym pięknie napisali Jerzy Waldorff i Stefania Grodzieńska. Ale potem pojechałam z STS-em na koncert do Jugosławii. Cały czas byłam z nimi też w kontakcie.

– W STS-ie zaprzyjaźniłaś się z Agnieszką Osiecką.

– Tam ją poznałam, a kiedy po latach zorganizowała teatrzyk Tingel-Tangel, jeździliśmy z nim po całej Polsce. Była tam Krysia Sienkiewicz, reżyser Wojciech Solarz, który występował jako aktor, i Krzysztof Komeda. Te kontakty ciągle były podtrzymywane. Poza tym nie będę narzekać, bo w ogóle nie staram się utrwalać negatywnych wspomnień, nie użalać się. To tylko śmieci, które zatruwają nasz umysł i serce. Staram się, żeby moje przyjaźnie i życzliwość istniały w dalszym ciągu. Opierają się na ludziach, którzy są mi bliscy. Właśnie dlatego, że nie narzekają, nie mówią o byle czym i umieją słuchać.

– Wiem, że nie lubisz rozmawiać z kobietami o ciuchach, samochodach, facetach i telefonach.

– Nie ciekawi mnie takie kobiece ple-ple. Przyjaciół mam niewielu. Ale takich z empatią, ze zrozumieniem, z mądrością, którą mogą się ze mną podzielić.

– Jak Tylman?

– My towarzysko się nie spotykamy, tylko na koncertach, gdy on akompaniuje, a ja śpiewam. Rozumiemy się wtedy w pół myśli.

– Prawdę mówiąc, nie wyobrażam sobie twojego koncertu bez niego.

– A jednak teraz będę występować z Aldoną Krasucką. Przed koncertem w Radzyniu czeka nas pięć lub sześć prób. Tylman, niestety, w tym czasie musi się wywiązać z umowy z kimś innym. Dla mnie był to cios. Ale Aldona jest tak życzliwą, wspaniałą pianistką i jednocześnie pisze znakomite artykuły o głosie, wibracji. Takiej mądrości na temat głosu jeszcze nigdy nie słyszałam. Ona ma teorię, że głos odzwierciedla charakter człowieka i ma na ten temat wiedzę niczym zawodowy psycholog.

– Utrzymujesz swój głos w świetnej formie. Przez lata nie zmienił on barwy. Można go rozpoznać na końcu świata.

– W ogóle nie myślę o tym, że mam zachować jakąś formę. Ja robię tylko to, co mi sprawia radość i przyjemność. Kiedy wstaję rano i słyszę wspaniałą muzykę w radiu, to po prostu do niej tańczę. To jest taki wewnętrzny nakaz. Pamiętasz książkę Gabriela Garcii Márqueza, w której opowiada, jak żołnierze wyszli z koszar na rynek, usłyszeli muzykę i zaczęli tańczyć? Gdy byłam na Kubie, gdzie wszyscy śpiewają i tańczą, nagle znalazłam się koło kawiarni i zobaczyłam przez okno, że w niej dziewczyna tańczy i śpiewa, i zaczęłam na ulicy robić to, co ona. Spojrzała na mnie przez szybę i zaprosiła do środka. Wewnątrz też tańczyłam, a potem wyszliśmy z tej kawiarni na wielki plac z katedrą, a ja tanecznym krokiem szłam dalej. Siedziały tam dwie grube Hinduski, które za dwa dolary pozowały do zdjęć. Weszłam między nie, a one krzyczą: Balerina Polacca. A ja dalej tańczyłam i cały tłum ze mną. Poczułam wtedy, że naprawdę żyję.

Zwłaszcza gdy słyszę muzykę z Ameryki Południowej, te samby, rumby. Uwielbiam to. We mnie wtedy rodzi się radość.

– Niektóre kobiety tańczą, żeby schudnąć i traktują to jak ciężki obowiązek.

– A ja nie. Dla mnie to samo życie, wpływające na moją psychikę, na ciało, i połączone z radością. To cudowne, dla mnie to radość. Niektórzy ludzie rodzą się z entelechią – to pojęcie Arystotelesa, określające siłę witalną, duchową, która sprawia, że świat jest w ruchu. Jeżeli ktoś jest bierny i ciągle siedzi, to pracuje na różne choroby. Ja nie tańczę po to, żeby schudnąć. Zresztą jestem szczupła. Po prostu mam taki sposób istnienia, by ciągle doznawać czegoś cudownego. Gdy byłam w Grecji, zauważyliśmy w restauracji zespół emerytek, którym ktoś zafundował taką podróż. Tam była orkiestra, muzycy zaczęli grać i nagle te wszystkie starsze panie wstały i tańczyły. I ja do nich się oczywiście przyłączyłam i było wspaniale.

– Czas nie ma dla ciebie znaczenia?

– Czas jest abstrakcją, tajemnicą. Tylko człowiek przemija, a nie czas. Ważne, żeby przemijać radośnie. Nie poddawać się monofobii – smutkowi, poczuciu samotności ani melancholii.

– Człowiek, który pracuje i działa zgodnie ze swoją pasją, żyje pełnią życia? Naucz mnie, jak nie myśleć o mijającym czasie i polubić siebie.

– Wędruję przez życie w swoim towarzystwie, więc muszę się z sobą zaprzyjaźnić, traktować się delikatnie i przede wszystkim akceptować siebie, a nawet kochać. Moja druga strona jest racjonalna i ona obserwuje moją pierwszą spontaniczną istotę. Reaguję na każde wydarzenie, na każde spotkanie z ludźmi, a wieczorem przez moment zastanawiam się, co było w tym dniu dobre, a co złe. I to moja racjonalna osoba podpowiada mi, czy dobrze spędziłam dzień.

– Dlatego wybierasz ludzi, którzy wzbudzają w tobie miłość i życzliwość.

– Oczywiście. A jeśli trafiają się narzekacze, to ja tych znajomości nie kontynuuję. Niektórzy myślą: Ach, będę miał wspaniałą żonę czy męża i będziemy szczęśliwi. To nieprawda, ponieważ szczęście mamy tylko w sobie. Przez radość, że siebie akceptujemy, akceptujemy ludzi i przyrodę. Bo ten kochający mąż nagle może nas zdradzić, odejść, i co wtedy? Szczęście pryska?

– Ale miłość daje szczęście.

– Ona była i jest we mnie. To wielkie słowo. Obdarzam miłością przyjaciół i niektóre wspomnienia. Bo przecież przeżyłam wiele cudownych chwil.

– Podobasz się mężczyznom.

– Cenię swoich wielbicieli, fanów, entuzjastów piękna. Brawa, aplauz, piękne słowa są dla mnie oparciem i szczęśliwą chwilą. Oparcie znajduje się przede wszystkim w przyjaźni. Ludzie zresztą żyją w tak zwanej trzyminutowej kulturze. To znaczy, że ich życie może się zmienić z dnia na dzień. Moja przyjaciółka na przykład bardzo lubiła słuchać Mozarta, a gdy wyszła za mąż, urodziła dzieci, pytałam, czy nadal to lubi, a ona na to: „Wiesz co, jak przygotowuję obiad i słyszę Chaczaturiana «Taniec z szablami», to bardzo szybko zaczynam kroić marchewkę". Ona nie ma już czasu usiąść w fotelu i tylko słuchać.

– Mówiłaś, że masz niewielu przyjaciół.

– Tak, rozrzuceni są po świecie. W Kanadzie, Izraelu, w Szwecji i Nałęczowie. Z niewieloma osobami kontaktuję się na co dzień. A jeżeli już, to dlatego, że mają na mnie cudowny wpływ.

– Na przykład filozofka profesor Maria Szyszkowska?

– Z Marią przyjaźnimy się już wiele lat. To osoba niebanalna, począwszy od zachowania i ubioru. Nie jest wrażliwa na modę. Zawsze nosi to, co jest jej drugą skórą, bo chce być sobą. Jest w tym konsekwentna, i ja też. Jest też wrażliwa na kolor. Dla niej i dla mnie jesień jest pełna intensywnych barw, czerwieni i zieleni, a zima to cudowna biel. Maria ma energię, która wyzwala naszą dobroć od środka. Potrafi słuchać z empatią i ogromnie lubi poznawać nowych ludzi, którzy przy niej stają się lepsi. Poza tym tańczy tango.

– I przyjeżdża na wszystkie twoje koncerty.

– Tak, była na ponad trzydziestu i za każdym razem twierdzi, że jest zachwycona i że zaśpiewałam inaczej. Napisała też o mnie książkę, która nie jest moją biografią, tylko moim obrazem z jej punktu widzenia.

– Premiera książki odbyła się w Kalinowym Sercu na twoje urodziny. I tam zaśpiewałaś też premierową piosenkę.

– Napisał ją Jacek Bursztynowicz, a muzykę do niej skomponował Janusz Tylman. „Tańcząca brzoza" to moja bardzo osobista piosenka. Za oknem mam właśnie te cztery brzozy, które tańczą, gdy jest wiatr, a ja tańczę z nimi. I to ma dla mnie znaczenie, a nie na przykład gromadzenie rzeczy. Patrzę na nie i myślę: Wszystkie trzeba rozdać, rozrzucić, nie mają żadnego znaczenia, bo jeśli odejdę, ktoś będzie musiał się zajmować ich likwidacją. Wiele rzeczy odesłałam więc do moich znajomych i do wielbiciela bartnika, mojego zagorzałego fana. Zmobilizował pół wioski Kuchary pod Krakowem, wynajął autokar i przyjechali na koncert w Warszawie.

– Nie boisz się przemijania?

– Przemijanie to maleńki moment. Jeżeli ludzie się czegoś obawiają, to może starości i niedołężności. Ale samo odejście to cudowne wyzwolenie, zakończenie naszej wędrówki. Strach to jak zardzewiały nóż. Jeżeli wpuścisz go do serca, zrani cię i zostawi toksyny. A ja myślę, że arystokratycznie byłoby, że na przykład wstajesz, siadasz i za chwilę już cię nie ma. Czy to nie cudowne?

– Ale chciałabyś jeszcze nagrać nową piosenkę?

– Mam pomysł na nową płytę, ale za wcześnie o tym mówić. Od dawna szukam i słucham pięknych wierszy. Ja wyłapuję poetyckie określenia, jak na przykład: strączek jej ust pękł, ujawniając w uśmiechu białe groszki zębów. Zachwyciłam się tym u Bohumila Hrabala. Szukanie takich poetyckich zwrotów jest dla mnie cudownym szperaniem.

– A czy chciałabyś jeszcze przeżyć coś całkiem nowego? Wybrałabyś się na rejs jachtem dookoła świata z żeglarzem Krzysztofem Baranowskim, którego życie cieszy tak jak ciebie?

– Baranowski jest legendą, nie znam go. Ale mogłabym się z nim zaprzyjaźnić. Nie wiem jednak, czy z nim bym się wybrała. Ale oczywiście podróż naokoło świata trzeba odbywać w towarzystwie, a nie sama. Może zabrałabym ze sobą Marię Szyszkowską, z którą łączy mnie też filozofia Don Kichota. Ona założyła kiedyś klub Don Kichote, a od niego właśnie narodziła się moja miłość do Hiszpanii. Myśmy byli tam z mężem piętnaście razy. Nauczyliśmy się hiszpańskiego języka i całej filozofii Cervantesa. A potem muzyki flamenco i hiszpańskiego. A drugi mój kraj to Portugalia, jej otwartość, radość i życzliwość zgodna z moim sposobem istnienia.

– I tańczysz zawsze do wiecznej młodości.

– Dostaję dużo listów. W jednym z nich fanka napisała: „Śpiewaj do późnej starości". A ja zmieniłam to na: Śpiewaj i tańcz do wiecznej młodości. Przypominam tu mityczną Hebe, boginię odwiecznej młodości, i jednocześnie od odbierania ludziom kłopotów. Ona zbiera je i zawiesza na drzewach, a one przez to tracą moc. Mam z nią dobre kontakty. Polecam!

KRYSTYNA PYTLAKOWSKA

SPODPRASY

Nikodem Rozbicki (31 l.) wyjechał z Polski, aby pobierać nauki za oceanem, ujawnia Pudelek. – (...) *Jestem tam jakieś dwa miesiące. Stypendium dostałem na rok. Na pewno będzie to rok, który będzie miał przerwy w procesie edukacyjnym, bo mam projekty, które muszę zrealizować w Polsce. Natomiast dobrze mi tam, zawsze o tym marzyłem. Utwierdzam się w przekonaniu, że jest to dobre miejsce do rozwoju i życia. Nigdy raczej nie będę chciał się pożegnać na dobre z Warszawą, bo za bardzo kocham to miasto* – mówi aktor. Nikodem nie ukrywa, że nauka w Instytucie Lee Strasberga w Los Angeles to dla niego wyzwanie. – *Zagraniczne szkoły, a w szczególności te amerykańskie, trochę inaczej podchodzą do aktorstwa, bo bardziej rzeczy nazywają w procesie edukacji. Nie mówię, że nasze szkoły są złe. Wspaniały to był czas w akademii teatralnej, natomiast to jest taka nauka niezdefiniowana. Starszy aktor, który uczy, ma autorytet, dlatego że posiadł tę wiedzę, ale nie tłumaczy, z czego ta wiedza wynika. Tam jest trochę inaczej* – opisuje. Czy będąc już kilka tygodni w Stanach zdążył poznać kogoś naprawdę sławnego? – *Poznałem jedną dziewczynę, która jest moją bardzo dobrą kumpelą, z którą się trzymam. Ona jest z takiej bardzo popularnej rodziny aktorskiej w LA, ale chyba nie chcę o tym gadać.. (...).. Jak będziecie spostrzegawczy, to ją odnajdziecie po moim Instagramie* – odpowiada tajemniczo.

* * *

– *Szafir, bo jest niebieski jak nasze oczy, jak niebo i ocean. Brylanty, bo mają w sobie światło. Ale tak naprawdę to my mamy światło w sobie. Czy myślicie, że powiedziałam „tak"? #takczynie #dobrepytanie #zaręczeni #cozadzień #BeataPawlikowska #DannyMurdock* – tak w 2020 roku pisała **Beata Pawlikowska (53 l.)** po tym, jak zaręczyła się z poznanym w dżungli w Ameryce Środkowej młodszym o siedem lat nowojorskim prawnikiem Dannym Murdockiem. Niestety, wszystko wskazuje na to, że miłość ta właśnie odeszła w przeszłość, obwieszcza Pudelek. W najnowszym poście na Instagramie podróżniczka przyznała bowiem, że znów jest singielką. – *Rozstanie nie jest porażką. Jest raczej odwagą bycia wiernym sobie. Jest też okazaniem szacunku zarówno sobie, jak i partnerowi, kiedy w szczerej i spokojnej rozmowie stwierdzamy, jaka jest prawda o nas* – pisze, a następnie radzi, jak z klasą się rozstać: – *Co zrobić, kiedy na wspólnej drodze pojawiają się fundamentalne różnice w spojrzeniu na życie i świat? Czasem można je pogodzić, ale czasem może zdarzyć się tak, że mimo najlepszych chęci nie ma miejsca na kompromis. Masz wtedy do wyboru: milczeć i skrycie cierpieć z lęku przed rozstaniem, albo życzliwie i otwarcie odważyć się poruszyć trudne tematy, doprowadzić tę rozmowę do końca, wyciągnąć wnioski i w porozumieniu z partnerem podjąć decyzję co dalej. Byłam szczęśliwa w związku. Teraz jestem znów szczęśliwym singlem. Na zdjęciu: pod wodospadem Athirappilly w południowo-zachodnich Indiach* – kwituje pod radosnym zdjęciem z rozwianymi włosami.

MAŁGORZATA KOPE

Tak bym chciała, żebyś był

Rozmowa z DOROTĄ SUMIŃSKĄ, lekarką weterynarii i miłośniczką zwierząt

Fot. East News

VIVA!
Nr 1 (18 I). Cena 7,99 zł

Byli jak księżyc i słońce. Różni. Jedną nogą już na Sri Lance, gdzie chcieli spędzić resztę życia. Ale kiedy on w dniu ich ślubu nagle stracił przytomność i po trzech tygodniach odszedł, jej zawalił się cały świat... Po stracie ukochanego napisała poruszającą książkę „Moje życie z Tomkiem".

***

– „Widziałam, jak wylatujesz mi z rąk, jak umykasz gdzieś, gdzie Cię nie dogonię", tym dramatycznym wyznaniem zaczyna się ta książka, będąca miłosnym wspomnieniem, listem do ukochanego, wspaniałego lekarza Tomasza Wróblewskiego. To, co się stało, musiało być dla pani wstrząsem?

– To przyszło nagle, jak tsunami. Tego dnia wzięliśmy ślub i wróciliśmy do domu w szampańskich humorach. A chwilę potem Tomek upadł w kuchni, był siny i nieprzytomny...

– Rzuciła się pani na ratunek, ale to był krzyk rozpaczy...

– Wierzyłam, że go uratuję. Reanimowałam go tak mocno, że aż połamałam mu żebra. Dwadzieścia minut później przyjechało pogotowie, lekarz i ratownicy przejęli pałeczkę. Wszędzie piszą, że 20 minut reanimacji to zbyt długo, bo mózg umiera. Ale przecież nie można jej przerwać, gdy umiera ktoś, bez kogo nie da się żyć.

– To nie był jednak koniec?

– Potem były trzy najgorsze tygodnie, jakie dane mi było przeżyć, i w końcu śmierć przyszła ostatecznie. Bardziej potem przyszły przemyślenia, samotne wieczory z myślami. Umieranie jest tak samo oczywiste jak narodziny. One są początkiem, a śmierć końcem. Pomyślałam, że może Tomek wybrałby właśnie taką śmierć. W radosny dzień, bez strachu przed nią, bez poczucia beznadziejności. Tylko te trzy straszne tygodnie potem, powolne odchodzenie, kiedy kontakt z nim był niemożliwy. Ale wierzę, że umarł szczęśliwy.

– Taka historia zdarza się raz na milion, a może tylko w filmach. W ciągu jednego dnia zyskała pani męża i go straciła...

– Moim mężem był tylko trzy tygodnie, i to nieprzytomnym. Podłączonym do miliona rurek i pikających dozowników. Trudno w to uwierzyć, ale pomyślałam, że nie jestem jedyna, którą to spotkało. Tyle ludzi żyje na świecie. Wiem, że głodnemu nie pomoże to, że w Indiach głodują, ale myśl, że człowiek nie jest sam, podnosi na duchu.

– Po co wzięliście tak późno ślub, już po sześćdziesiątce?

– Przeżyliśmy razem 14 bardzo aktywnych lat. Objechaliśmy ponad pół świata, poznaliśmy setki ludzi i kultur. Zobaczyliśmy tysiące zwierząt i daliśmy dom kilkudziesięciu psom i kotom. Mieliśmy ciekawe plany na przeżycie starości i właśnie one skłoniły nas do zalegalizowania naszego związku. Napisałam w książce, że chcieliśmy się przenieść z Polski na Sri Lankę, aby zacząć nowe lankijskie życie jako „przystemplowane małżeństwo". Będąc małżeństwem, mogliśmy liczyć na ułatwienia przy zakupie kawałka ziemi i budowie domu. Chociaż gdyby nie wyjazd, ślub byłby zbędny. Mieliśmy po 64 lata, głowy pełne planów, a w kieszeni już wykupione bilety na przelot. Niestety, nie zdążyliśmy. To wszystko prysło jak bańka mydlana, a mnie się zawalił cały świat. Tomek odszedł, kiedy był mi tak potrzebny...

– Nie ma chyba dobrego momentu na śmierć?

– Jest dobry moment na śmierć, kiedy przychodzi o czasie. Kiedy człowiek jest bardzo stary, niedołężny i chciałby już umrzeć. Znałam wielu takich ludzi. Często śmierć jest wybawieniem z nieuleczalnej choroby przynoszącej cierpienie. Ale kiedy człowiek jest pełen życia, bierze ślub i jeszcze planuje radykalną zmianę w swoim życiu, to w takiej chwili śmierć jest katastrofą.

– Ma pani poczucie niesprawiedliwości, że właśnie was to spotkało?

– Nie. Pamiętam, jak umierała moja mama, którą bardzo kochałam, choć byłyśmy zupełnie inne. Modliłam się o jej śmierć, choć jestem niewierząca. Była ciężko chora i tak strasznie cierpiała, że chciałam, żeby to się już skończyło. Ale z Tomkiem było wręcz odwrotnie...

– Jest pani na niego zła? Uratował życie setkom ludzi, a przegrał walkę o swoje życie.

– Byłam zła przez chwilę, ale on nigdy o siebie nie walczył. Uważał, że jest ze stali. Niestety, nie był. Wystarczyło, żeby zrobił EKG, o co nieustannie go prosiłam, i wyszłoby, że grozi mu zawał z powodu zatkania tętnicy wieńcowej. Ale mówił, że jutro. Cały Tomek. Nigdy nie przyznawał się do swoich słabości.

– Byliście różni jak słońce i księżyc. Pani wesoła, rozgadana, on zaś introwertyk, zamknięty na sto kluczy, ale ciągle razem. Jak to się udało?

– Myślę, że właśnie dzięki temu nam się udało. Nie byliśmy idealną parą. Kiedy mówiłam, co czuję, on zamykał się w swojej skorupie. Oczekiwałam wyznań, a dla niego spontanicznie powiedzieć „kocham" to było jak rozebrać się do naga i wyjść w godzinach szczytu na Marszałkowską. Przeszkadzało mi to, ale nigdy nie było między nami poważnych kłótni, nawet kiedy byłam na niego wściekła. Zamykał się wtedy w swoim pokoju i palił papierosy albo jeździł na motorze. Nie umiał przepraszać, za to cudownie umiał wybaczać. I w ramach rekompensaty, niby mimochodem, sprawiał mi jakąś przyjemność. Uwielbialiśmy razem jeździć na urlop, przebywać ze sobą i byliśmy sobie niezwykle życzliwi.

– Tych, których kochamy, doceniamy dopiero, kiedy odejdą?

– Doceniałam go zawsze, choć nie aż tak... Robił mnóstwo pożytecznych rzeczy, czego nie zauważałam. Zauważyłam dopiero, jak odszedł. Nigdy nie wymieniałam opon w samochodzie, nie jeździłam do myjni i nigdy nie przyrządzałam szpinaku, który uwielbiałam, ale tylko w wykonaniu Tomka. Nigdy też nie kupowałam choinki. Bardzo starał się ułatwić mi życie, planował wszystkie dyżury w szpitalu pod kątem moich potrzeb. Zwyczajem się stało, że wieczorem siadaliśmy przy stole, a on mówił: „Weź kalendarz i powiedz, kiedy mam brać dyżury". Ale to ja planowałam nasze życie, a on moje plany brał jak swoje.

– Początki wspólnego życia musiały być jednak trudne?

– Początki bywają trudne, ale nie dla Tomka. Choć to było prawdziwe wyzwanie dla nas obojga, bo nie każdy dom wygląda tak jak mój. Dwadzieścia jeden zwierząt, psów i kotów będących głównymi lokatorami. Wszędzie. Na stole, na kanapie i w łóżku. Ale Tomek też bardzo lubił zwierzęta, miał do nich, tak jak ja, partnerski stosunek. Nie bał się ich, nie brzydził, okazywał im dużo czułości, więc odpłacały mu miłością. Lubił z nimi spać, wręcz się nimi obkładał, i kiedy szedł do łóżka, jeszcze je wołał, żeby do niego przyszły. Muszę przyznać, że bardzo miło śpi się z psami. Są cieplutkie, a zdrowy pies pod kołdrą naprawdę pięknie pachnie i można się do niego przytulić. Tomkowi bardzo to odpowiadało. Tylko że on był od całowania, przytulania, dostarczania zwierzętom smakołyków, a ja byłam od brudnej roboty.

– Podejrzewam, że jako perfekcyjna pani domu nie miała w nim pani oparcia?

– Był typowym przedstawicielem płci męskiej, który nie ma pojęcia, jak się sprząta. Kupiłam mu kiedyś odkurzacz pod choinkę, bo nigdy w życiu go nie użył. Ale zbierał chętnie psie kupy w naszym ogrodzie. Może pani zapytać, co tak bardzo mnie zachwyciło w mężczyźnie, który palił trzy paczki papierosów dziennie, upijał się w chwilach wolnych od pracy, choć potem już rzadziej, bo tego nie znosiłam, i jak prawie każdy facet nie wiedział, do czego służą sprzęty pomagające w pracach domowych. Na pewno odezwały się dawne sentymenty, bo znaliśmy się jeszcze z czasów szkolnych, ujął mnie jego stosunek do zwierząt i oczy pełne miłości. Ale prawdziwy zachwyt budziły jego medyczna wiedza i intuicja. Czułam się przy nim bezpieczna, gdziekolwiek bym była. Byle z nim. Jemu też moje medyczne zdolności dawały bezpieczeństwo.

– Prowadziliście życie medyczno-weterynaryjne, jak to pani ujęła w swojej książce.

– Tak, Tomek potrafił zbadać zwierzęta, miał wręcz kardiologiczne ucho i przy rozpoznawaniu różnych dolegliwości był po prostu genialny. Ale przede wszystkim był niezwykle cenionym lekarzem, bardzo kochanym przez swoich pacjentów. Kiedy wkładał w szpitalu biały fartuch, to stawał się aniołem, który każdego pacjenta umiał wysłuchać i pocieszyć. Pracował na SOR-ze, bo mówił, że potrzebuje adrenaliny, a praca na oddziale jest nudna. Bezgranicznie się jej poświęcał, brał długie dyżury, po których wracał do domu jak zdjęty z krzyża.

– Byliście oboje pasjonatami swojej pracy, bo pani całe swoje życie poświęciła zwierzętom.

– Tak, to prawda. Pod tym względem byliśmy do siebie podobni, oboje byliśmy pracoholikami. Każdego samotnego wieczoru tęsknię za nim. Nazywał mnie „Mrówą" i tak zapisał mnie w swoim telefonie, a czasem mówił czulej „Mrówka".

– Bo drobna i niepozorna?

– Nie, raczej pracowita jak mrówka. To jeszcze szkolne przezwisko, nikt w liceum nie mówił do mnie Dorota. Poznałam Tomka w trzeciej klasie liceum, kiedy do nas dołączył, i staliśmy się szkolną parą.

Fot. Grzegorz Kawecki/Puls Biznesu/Forum

– I co się stało z tą miłością?

– No, ja go rzuciłam. Każde poszło w inną stronę i parę razy naprawdę żałowałam. On został lekarzem ludzi, ja – zwierząt. On miał syna, ja córkę. On jedną żonę, ja trzech mężów. I znów zostaliśmy parą. Po 30 latach Tomek znalazł mnie na portalu Nasza Klasa. Nie wiem, co poczuł, gdy zobaczył mnie po tylu latach. Ale ja poczułam ogromne wzruszenie. Gdy nagle człowiek spojrzy w twarz swojej dawnej miłości, coś łapie go za serce. Tym bardziej że w jego spojrzeniu zobaczyłam odbicie moich uczuć.

– Piękna historia. Zaczynać można w każdym wieku?

– Tak, bo nasze drogi znów skrzyżowały się, kiedy oboje mieliśmy już dorosłe dzieci. Marta, moja córka, nie uwłaczając nic jej tacie, znalazła w Tomku drugiego tatę i miała z nim doskonałe relacje. Bardzo się lubili. Szła do niego z wszelkimi problemami, a on zawsze mówił o niej „Marcychna". Myślę, że w Tomku było dużo ciepła, chociaż nie był wylewny.

– Ale w tym związku to pani była kierowniczką?

– Tak, bo wszelkie wyjazdy czy wydarzenia w naszym życiu działy się z mojej inicjatywy. Dobrze funkcjonuję, kiedy wszystko mam zaplanowane. Natomiast Tomek żył od dyżuru do dyżuru. Kiedy nie pracował, starałam się wyciągnąć go na spacer do lasu. Bardzo lubił zbierać grzyby, ale największym wabikiem do wyjścia z domu były poniemieckie bunkry w Puszczy Kampinoskiej, jakich sporo się zachowało w naszej okolicy. Wtedy szedł z ochotą, bo niesłychanie interesowała go druga wojna światowa, którą miał w jednym palcu. Czasem wyruszaliśmy gdzieś na motorze. Tomek był fantastycznym kierowcą. Miał motor, był czas, że nawet dwa, więc zasiadałam z tyłu jako pasażerka. Każdy urlop spędzaliśmy na motorze, Tomek uwielbiał nim jeździć, zresztą samochodem też.

– Ale śmiertelnie bał się latać?

– Pokonał ten strach i później stał się prawie lotnikiem. Za pierwszym razem polecieliśmy do Tajlandii. Był nią zachwycony i tam zaraził się bakcylem podróżowania. Zresztą wyspa Koh Chang, na którą go zabrałam, stała się dla niego równoznaczna z poczuciem szczęścia. Pokochał to miejsce i ciągle chciał tam jeździć. Potem było Borneo, Filipiny, Laos i Kambodża, ale odwiedziliśmy też kraje Ameryki Południowej, w tym Peru, Kolumbię, Brazylię.

– Podczas podróży zawsze mieliście otwarte głowy i serca, jak w wiosce w głębi afrykańskiej dżungli gabońskiej?

– Staliśmy się tam prawdziwą misją medyczną. Jej mieszkańcy nigdy nie widzieli lekarza. Ktoś pamiętał, że przed 50 laty jakiś człowiek w białym fartuchu przyjechał szczepić dzieci. Natychmiast ustawiła się do nas długa kolejka pacjentów. Zostałam pielęgniarką wykonującą polecenia doktora. Kłułam kościste pośladki, nakładałam maści i opatrunki. Nagle usłyszeliśmy rozpaczliwe wołanie i zobaczyliśmy pędzącą chudziutką postać. Staruszek, biegnąc, zdzierał z siebie ubranie. Zaspał i przestraszył się, że nie zdąży. Stanął przed nami, jak go Pan Bóg stworzył, i natychmiast został przyjęty. Nikt nie protestował. Miał potworną grzybicę skóry i musiał bardzo cierpieć, bo nieustający świąd i ból popękanej skóry to koszmar. Rozebrał się, bo chciał pokazać najgorsze ogniska. Był tak wzruszony naszym widokiem i pomocą, jakiej mu udzieliliśmy, że zaczął płakać. Nie ukrywam, że my też. Do tej pory z tą wioską utrzymuję kontakt. Gdziekolwiek z Tomkiem jeździliśmy, staraliśmy się pomagać i zawsze zabieraliśmy tony leków.

– Napisała pani, że kiedy odszedł, nic pięknego już się nie zdarzy.

– Tak, bo doskonale się zgraliśmy. Nasze prywatne życie toczyło się wokół podróży. Wracając z jednej, już zbieraliśmy pieniądze na kolejną. Dużo czytaliśmy na ten temat i rozmawialiśmy, dokąd pojedziemy i co tam zobaczymy. Dawało mi to mnóstwo radości i chęci do życia. Myślę, że jemu też. Staraliśmy się przynajmniej raz w roku, a czasem dwa razy, dokądś wyjechać. Tomek wtedy drukował jakieś słowniki w różnych językach i bardzo dbał, żebyśmy nauczyli się kilku podstawowych zwrotów w języku kraju, do którego jechaliśmy. Mieliśmy więc pełno kartek ze zwrotami: „dziękuję, proszę, gdzie jest to, gdzie jest tamto".

– W takich chwilach wydaje się, że życie będzie trwać wiecznie...

– Oczywiście. To dawało nam napęd do życia. A potem to nagle się skończyło.

– Czuje się pani samotna?

– Może nie samotna, czuję się opuszczona. Na szczęście mam zwierzęta, sześć psów i 13 kotów. Zabierają mi mnóstwo czasu, ale dają dużo radości i zadowolenia, że jest im ze mną dobrze. Jeden pies znów podarł worek na śmieci i rozwłóczył je wszędzie. Wkurzyłam się na niego i nakrzyczałam. Potem żałowałam, bo ma potężny guz płuca i jego dni są policzone. Ratuję go, jak mogę, ale to w zasadzie koniec. Jest mi bardzo przykro. Chciałabym utrzymać swoje zwierzęta do ich końca. A potem wziąć ze schroniska starego, malutkiego pieska, który będzie wszędzie ze mną chodził. A jak nie będzie mógł chodzić, to będę go nosić, bo bez psa nie umiałabym żyć. Chyba Tomek też nie umiałby. Był pierwszy, gdy wspominałam o psim czy kocim nieszczęściu w jakimś schronisku. „No, to bierzemy!", mówił. Chciał wziąć wszystkie chore i bezpańskie zwierzęta do naszego domu.

– Gdyby można było cofnąć czas, co by mu pani powiedziała?

– Żeby zrobił EKG, a gdyby nie chciał, zmusiłabym go siłą. Bardzo żałuję, że tak się nie stało. Myślę, że on o tym wie.

– Wierzy pani, że jeszcze kiedyś się spotkacie?

– Nie wierzę, ale mam nadzieję.

ELŻBIETA PAWEŁEK

SPODPRASY

Po czterech miesiącach spędzonych w Dubaju **Agnieszka Włodarczyk (43 l.)** wraz z rodziną przeniosła się do Stanów Zjednoczonych. Mimo że celebrytka z żalem opuszczała Emiraty Arabskie, to zdaje się, że jej nastrój uległ ogromnej poprawie, a wszystko za sprawą domu, w którym przez najbliższe tygodnie przyjdzie jej mieszkać w Orlando, donosi portal Pudelek. Widać, że nieruchomość bardzo przypadła aktorce do gustu, bowiem celebrytka opublikowała na Instagramie kilka materiałów, w których pokazała wnętrze domu. Oprowadzanie zaczęło się od kuchni, gdzie aktorce przypadł do gustu potężny stół. Przechadzając się po domu, Włodarczyk nie ukrywała swojego zachwytu. – *Jakie tu wszystko jest wielkie* – stwierdziła. Po czym dodała, że mieszkanie jest *ciasne, ale własne przez jakiś czas*. Ogromne wrażenie na Agnieszce wywarł także imponujących rozmiarów salon z aneksem kuchennym. Co ciekawe, w budynku znalazło się miejsce dla kilku sypialni, łazienek, a nawet pokoju gier! To jednak nie wszystko. Na piętrze najemcy mają do dyspozycji przedpokój urządzony na specjalne pomieszczenie do oglądania filmów. Naturalnie na terenie posiadłości nie mogło zabraknąć basenu.

* * *

Marek Włodarczyk (69 l.) stale gości na ekranach telewizorów i jest widzom dobrze znany. Jeśli chodzi o życie prywatne, należy do grona gwiazd raczej skrytych. W związku z tym niewielu wiedziało, że aktor ma dorosłego już syna – donosi portal gwiazdy.wp.pl. Vincent jest owocem miłości, która łączyła Włodarczyka i Karen Friesicke. Chłopak na stałe mieszka w niemieckim Hamburgu. Vincent w przeszłości próbował podążać śladami swojego ojca i związać swoją przyszłość z branżą filmową, ostatecznie jednak to jego wyjątkowa uroda otworzyła mu drzwi do świata mody. Dzięki niej Vincent miał okazję współpracować z wieloma prestiżowymi, luksusowymi markami modowymi, które są znane na całym świecie. Włodarczyk junior miał również okazję zaprezentować swoje umiejętności na wybiegach najważniejszych stolic mody. Występował w pokazach mody w takich miastach jak Mediolan, Paryż oraz Londyn. Ostatecznie postanowił iść na studia. – Vincent studiował ekonomię, jednak po dwóch latach doszedł do wniosku, że kierunek nie jest dla niego (...). W tej chwili studiuje zarządzanie mediami i pragnie iść w kierunku produkcji filmowej – wyznał Marek Włodarczyk w rozmowie z „Faktem". Ojciec Vincenta zdradził wówczas, że jego syn marzy o karierze w branży filmowej, ale nie jako aktor, a jako producent.

MAŁGORZATA KOPEĆ

SZUKAMY CIĄGU DALSZEGO

TOMASZ GAWIŃSKI

Dzięki udziałowi w telewizyjnym „Idolu" Marta Smuk zdobyła popularność i spełniła swoje marzenie

Trudno mnie dziś zatrzymać

Finalistka drugiej edycji „Idola". Choć podbiła serca widzów i jury, programu nie wygrała, ale została zapamiętana. Już jako dziewiętnastolatka występowała w musicalach na deskach najlepszych teatrów muzycznych w Polsce. Jest laureatką „Szansy na sukces". W karierze przeszkodził jej siedmioletni kontrakt podpisany z jedną z firm fonograficznych, który związał jej ręce. Potem plany pokrzyżował rak. Po wyjściu z choroby nie wróciła na scenę. Jest pogodna, tryska pozytywną energią i realizuje się artystycznie w innej roli.

Rozmawiamy w jej gdyńskim „królestwie". To Warsztat Działań Scenicznych, którego jest założycielką. W podziemiach willi prawie w centrum miasta znajduje się duża sala baletowa, jest też miniteatr. – *Moje najwspanialsze, wyczekiwane i wypracowane miejsce. Właśnie tutaj przeniosłam całą swoją pasję ze sceny na małą scenę.* Na Wybrzeżu rozpoczęła nowe zawodowe i prywatne życie. – *Warsztat to był mój pomysł. Na 40. urodziny wyprawiłam na Kaszubach fantastyczną imprezę. I wtedy podjęłam decyzję, że muszę stworzyć miejsce, w którym będzie można kompleksowo przygotowywać ludzi do zdawania do szkół artystycznych, egzaminów, które są niebywale wymagające. Wcześniej prowadziliśmy już warsztaty taneczno-wokalne z* ***Mateuszem Pietrzakiem****, korzystając z pomieszczeń Teatru Muzycznego w Gdyni. Świetnie się nam razem pracowało i uznaliśmy, że zrealizujemy tę ideę. To było trzy lata temu, akurat wybuchła pandemia. Grałam w Teatrze Muzycznym i udzielałam lekcji wokalu. Warsztat powstał z troski o uczniów. Czułam, że pandemia ich nie zatrzyma, muszą się uczyć. Znaleźliśmy z mężem stary warsztat tokarski. Sporo przestrzeni i bałagan, smród smarów, oliwy. Trudno było zrobić porządek, ale oczami wyobraźni widziałam już salę baletową, teatralną, wokalną, koncerty w ogrodzie... Zaczął się remont i totalne wariactwo. Mąż do tego wszystkiego się zabrał. Pomagała rodzina, pomagali przyjaciele i uczniowie, którzy mieli tu znaleźć swój azyl.*

I znaleźli. Warsztat pozwolił przejść młodym ludziom przez trudny okres izolacji. Od trzech lat jestem tu właściwie 24 godziny na dobę, bo Warsztat jest w mojej głowie i sercu. Stał się on częścią mojego życia rodzinnego, moim drugim domem. Zawsze myślałam o scenie w kategoriach – ja na scenie, ja aktorka... I przyszedł taki moment, że wszystko się przewartościowało. Czuję się spełniona jako artystka, aktorka, wokalistka i mogę już to miejsce na scenie oddać innym.

Marta Smuk pochodzi z Głogowa. W ósmej klasie podstawówki wystartowała w programie „Szansa na sukces", śpiewając piosenkę **Czesława Niemena** „Dziwny jest ten świat". Zajęła drugie miejsce i wystąpiła na wielkiej gali w Sali Kongresowej. Uczyła się w Legnicy w Liceum Muzycznym. – *Wybrałam klasę wokalną, bo głównym moim instrumentem był głos, ale jestem też dyplomowaną pianistką.* W trakcie matury pojechała do Gdyni na casting do musicalu „Hair" w Teatrze Muzycznym. – *Dostałam się i zadebiutowałam już profesjonalnie na wielkiej scenie. Zaczęłam regularnie tam występować.* Podczas premiery wypatrzył ją dyrektor stołecznego Teatru Muzycznego Roma **Wojciech Kępczyński**. – *Zaprosił mnie do współpracy. Po roku wyjechałam do Warszawy. Tak zaczęła się moja dziewięcioletnia przygoda z „Romą". Decyzja o wyjeździe z Gdyni nie była łatwa. Pojawiła się perspektywa roli w „Śnie nocy letniej" w Muzycznym. Postanowiłam jednak, że skoczę na głęboką wodę. Nigdy tego nie żałowałam, a do Gdyni i tak wróciłam.*

Studiowała w Akademii Muzycznej w Katowicach. Dlaczego akurat tam, a nie w stolicy czy w Gdańsku? – *Bo tam był jazz, prestiż, wspaniała uczelnia. Zdecydowałam się na zaoczne, na dzienne nie miałam czasu.* Później pojawił się „Idol". – *Wywrócił mi wszystko do góry nogami. Musiałam na trzy miesiące porzucić teatr, studia, zamieszkać w „Domu Idola" i walczyć o swoje marzenia.* Do finałów dostała się z największym, bo 52-procentowym poparciem, śpiewając przepiękną balladę Olety Adams „Get here". Mimo wielkiej sympatii widowni i telewidzów, a także jurorów, nie udało się jej wygrać. Triumfował wtedy **Krzysztof Zalewski**. *Z finału wykluczył mnie mój przyszły mąż* ***Mariusz Totoszko****. Niestety, nasze małżeństwo nie przetrwało próby czasu. Ale mamy wspaniałą córkę, Julię, która jest na pierwszym roku studiów w Akademii Teatralnej w Warszawie.* Musiała zmierzyć się z krytyką i falą hejtu. – *Pisano, że jestem zawodową aktorką i nie powinnam brać udziału w programie. A nigdzie nie było powiedziane, że „Idol" jest tylko dla amatorów. Nie byłam zaskoczona, że odpadam. Widziałam, jak Mariusz jest lubiany i ceniony. I że ludzie zechcą dać szansę komuś, kto dopiero zaczyna karierę.* Mimo przegranej podpisała kontrakt z dużą wytwórnią fonograficzną. – *Miałam zaproponować materiał na płytę, lecz nie byłam na to gotowa. Chciałam tworzyć coś autorskiego, a nie zgodnego z sugestiami wytwórni. Nie dojrzałam wówczas do tego, żeby stworzyć autorski, wartościowy materiał, a bardzo nie chciałam płyty złożonej z utworów zaproponowanych przez wytwórnię. Ponadto kontrakt, który podpisałam jako uczestnik „Idola", nie pozwalał mi na swobodną współpracę z innymi twórcami i wytwórniami.*

Wróciła do „Romy" i śpiewała tam jeszcze pięć lat. Występowała gościnnie na innych scenach muzycznych. Dlaczego odeszła? – *Dużo się działo, kryzys w małżeństwie, narodziny córki, miałam apetyt na zmiany. Zaczęła pojawiać się rutyna, a ja chciałam się rozwijać. I znalazłam się znowu w Gdyni. Ciągnęło mnie na Wybrzeże, do miejsca, od którego wszystko się zaczęło. Kiedy zjawiłam się w Teatrze Muzycznym, dyrektor* ***Maciej Korwin*** *zapytał, czy zwariowałam? Bo wszyscy stąd chcą tam, skąd przyjechałam, „A pani stamtąd tu?...". Powiedziałam, że nie mam dyplomu aktorskiego, więc uczę się w praktyce i chcę robić to u najlepszych. A w Gdyni byli i są najlepsi aktorzy musicalowi. I dostałam rolę w „Skrzypku na dachu", w spektaklu, który reżyserował* ***Jerzy Gruza****.*

W Gdyni spotkała przyjaciela z dawnych lat. Zaiskrzyło, zostali małżeństwem. Z tego związku ma dwójkę dzieci, Hugona i Różę. – *Wszystko dobrze się układało. Na scenie występowałam z rodziną, bo z siostrą i córeczką. Niestety, szczęśliwe życie przerwała diagnoza, że jestem chora. Rak piersi. Nie wiem jednak, czy ta choroba była bardziej przekleństwem, czy błogosławieństwem. Pozwoliła mi się zatrzymać, przewartościować swoje życie, docenić to, co mam, i po jakimś czasie rozpędzić się tak, że trudno mnie dziś zatrzymać.*

Po chorobie żyje się tak, jakby jutra miało nie być. Poświęciłam się pracy w Warsztacie. Każdego dnia odwiedza nas kilkadziesiąt osób. Są tacy, co przychodzą codziennie, inni kilka razy w tygodniu, a niektórzy traktują to miejsce jako swój dom. Są i tacy, dla których jest tylko przystankiem w drodze. Ale ponad 30 „Warsztatowiczów", jak lubią o sobie mówić, znalazło się już na wymarzonych uczelniach artystycznych na całym świecie. Rozpiera mnie duma. Chce się żyć.

Tekst i fot.:
TOMASZ GAWIŃSKI
togaw@tlen.pl

Gruchel
- pomoc w zakładaniu firm
- kompleksowa obsługa biurowa
- rozliczenia finansowe firm oraz osób prywatnych

Finanzwirt
Marian Gruchel
Lise-Meitner-Str.-1-3, 42119 Wuppertal
Tel.: 0202-60933172
finanzwirt@gruchel.com

Z wizytownika Andrzeja Bobera

Twarze ważne i średnio ważne. Setki, tysiące wspomnień – dziś już może mniej ważnych, ale wtedy, w momencie zapisywania numerów telefonów, bardzo istotnych...

Ks. Henryk Jankowski – smutny koniec

Z Kościołem byłem zawsze na pół gwizdka. Ochrzczony, ale nie chodzi do kościoła, był u komunii, lekcje religii zaliczone, ale kościół obchodzi szerokim łukiem. Dlaczego? Długo opowiadać, wystarczy powiedzieć, że księży uważa tylko za urzędników Pana Boga. Oni właśnie stanęli na drodze do kościelnej nawy.

Ma to wszystko znaczenie, bo 30 i parę lat wcześniej poczułem klepnięcie w ramię, obejrzałem się i zobaczyłem... księdza Henryka Jankowskiego. Instynktownie odskoczyłem, a było to w Gdańsku w trakcie uroczystości związanych z prezydenturą Lecha Wałęsy. Okazało się szybko, że prałat wziął mnie za Gustawa Holoubka, „który też garbi się, jak pan". Przywitaliśmy się. Minęło parę miesięcy i wraz z Barbarą Piasecką-Johnson i innymi osobami odwiedziliśmy księdza Jankowskiego na jego plebanii. To był czas „kupowania" Stoczni Gdańskiej przez naszą rodaczkę. Prawdę mówiąc, inaczej wyobrażałem sobie warunki mieszkaniowe księdza. Tu zobaczyłem dużą przestrzeń zapełnioną piękną porcelaną, meblami, kotarami. I to był jeszcze czas, kiedy Lech Wałęsa wypowiadał się o księdzu Jankowskim bardzo pozytywnie. „Jego parafia to było miejsce, gdzie można się było spotykać, przyjmować gości. Miał swoją klasę. Odegrał bardzo dobrą rolę, ale do momentu, kiedy byliśmy zniewoleni".

Czas upływał, a z Gdańska zaczęły dochodzić różne wieści o ks. Henryku Jankowskim. Że stracił umiar w pławieniu się w luksusie, widziałem na własne oczy butelkę z winem ozdobioną wizerunkiem księdza, plotkowano o jego sympatiach do młodocianych kleryków. Wszystko to średnio mnie interesowało, więc dopiero przy kolejnej wizycie na Wybrzeżu miałem okazję porozmawiać o tym z Lechem Wałęsą. Nie z ciekawości wobec zasłyszanych opowieści, tylko z uwagi na prawdę: tak było czy to tylko plotki?

„Ksiądz Jankowski odegrał fajną rolę, ale na prezydenckiego kapelana się nie nadawał. Dlatego w ogóle nie brałem go pod uwagę" – opowiada mi były prezydent. „Miał o to pretensje, bo chciał zostać biskupem polowym. Ja się w to nie mieszałem. Byłem wiernym synem Kościoła, ale dobierałem ludzi do zadań. Może to nie była dobra ocena, ale uznałem, że on by się do tego nie nadawał. Po odzyskaniu wolności nie potrafił wejść na swoje tory. Kiedy naród odzyskuje wolność, Kościół powinien się wycofać na swoje pozycje. Ksiądz Jankowski i paru innych nie potrafili tego zrobić. Przegrał przez to wiele".

Dalsze losy ks. Jankowskiego śledziłem już wyłącznie z mediów. Informacje o pedofilii, współpracy z SB, antysemityzm – wszystko to mieszało się w wielu wypowiedziach. Byli też tacy, którzy go bronili.

Ale koniec tego tańca chochołów był przygnębiający: 21 lutego 2019 roku w ramach obywatelskiego nieposłuszeństwa, pomnik Jankowskiego w Gdańsku został obalony. Już tego nie doczekał – zmarł w 2010 roku.

Fot. Juliusz Multarzyński

ALFABET
DLA ZAAWANSOWANYCH

SŁAWOMIR PIETRAS

W „Alfabecie dla zaawansowanych" spróbuję uchronić od zapomnienia postacie, z którymi związało mnie życie osobiste albo zetknąłem się z nimi w czasie działalności publicznej. Albo wreszcie byli to po prostu moi przyjaciele lub wrogowie. Tych ostatnich obiecuję potraktować łagodnie, licząc na wzajemność w odwecie.

Janusz Pietkiewicz

Z dawnych impresariów pagartowskich postać szczególnie mi bliska, bo kulturalna, kompetentna, zręcznie poruszająca się w gremiach międzynarodowych i skuteczna w propagowaniu polskiej kultury za granicą. Z wykształcenia ekonomista, którego terenem działań impresaryjnych były najczęściej Włochy. Wiele lat funkcjonujący w strukturach Polskiego Radia i Telewizji, następnie Urzędu m.st. Warszawy, a potem nawet działający przez dwa sezony na stanowisku dyrektora naczelnego Teatru Wielkiego w Warszawie. Pamiętamy mu szereg mądrych posunięć, ale nie próby wykonywania idiotycznych konceptów Ministra Kultury, którym był – najgorszy ze wszystkich dotychczasowych – Kazimierz Dejmek. *(20 lutego 2024)*

Antoni Majak

Wiele razy śnił mi się po nocach jako Mefisto w *Fauście,* którego śpiewał najpierw na Śląsku, potem w Poznaniu i Łodzi. Z jego bogatego repertuaru basowego najbardziej lubiłem Młynarza w *Rusałce* Dargomyżskiego, tytułowego Don Pasquale, no i oczywiście Borysa Godunowa.

Rozpoczynając pracę w Łodzi, dowiedziałem się, że jest już na emeryturze, do Teatru nie przychodzi i ma wiele żalu do wszystkich i o wszystko. Natychmiast to „odkręciłem", wezwałem na konsultacyjne rozmowy i urządziłem jubileusz

Antoni Majak jako Mefisto w „Fauście" Fot. www.okoliceopery.pl

z koncertowym wykonaniem *Don Carlosa*. Antoni zaszczycił mnie bruderszaftem, stając się najstarszym wiekiem moim przyjacielem. Dopiero potem pozwolili mi spoufalić się Paprocki, Hiolski i Ładysz.

Antoni Majak pozostał w mojej głowie i sercu postacią legendarną, wybitną, serdeczną i wrażliwą, a przede wszystkim człowiekiem kulturalnym i dystyngowanym, niezapomnianą operową „una figura teatrale". *(20 lutego 2024)*

Katarzyna Liszkowska

Moja wieloletnia poznańska kierowniczka literacka, osoba nie tylko kompetentna i energiczna, ale umiejąca przeciwstawiać się moim konceptom, gdy tylko miała swoje odrębne zdanie. Całe życie otoczona postaciami muzycznymi i teatralnymi. Ojciec – Piotr, wieloletni solista Teatru Wielkiego w Poznaniu, świetny bas, wychowanek i absolwent legendarnego Karola Urbanowicza, również basa. Siostra Maria – wiolonczelistka, koncertmistrzyni Filharmonii Poznańskiej. Mąż – Zbigniew Łakomy, wieloletni artysta Polskiego Teatru Tańca, a po powrocie z kontraktów zagranicznych szef techniczny (tak się przekwalifikował), najpierw w Operze, a później w Teatrze Muzycznym. Tylko dwaj udani synowie zdystansowali się od profesji rodzinnych; Tomek poświęcił się cyberbezpieczeństwu, a Stasiu studiuje gospodarkę przestrzenną. Piszę o tym, bo pewna moja decyzja stała się przyczyną tego małżeństwa. Organizując Festiwal Ave Maryja, wysłałem dwójkę wieloletnich i zaufanych współpracowników – Kasię i Zbyszka – aby służbowym samochodem przywieźli z jej rodzinnego Lewina Kłodzkiego do mojej rodzinnej Czeladzi Violettę Villas, osobę – poza wszystkim – religijną i pobożną, a więc dobrze nadającą się na gwiazdę takiego Festiwalu.

Przyjechali pod dom artystki rano, ale Violetta jak zwykle nie była gotowa i trzeba było czekać w samochodzie aż do popołudnia. W międzyczasie z nudów tak się zaczęli sobą interesować, że po kilku miesiącach odbył się ślub, a potem co dwa lata następowały urodziny udanych potomków.

Katarzyna po moim odejściu z Gmachu pod Pegazem zrezygnowała ze swej znakomicie wykonywanej profesji i od kilku lat funkcjonuje na stanowisku kierownika sekretariatu Akademii Muzycznej im. Jana Ignacego Paderewskiego w Poznaniu. Zazdroszczę pani rektor Hannie Kostrzewskiej, że zyskała tak wartościowego, cennego współpracownika.

(27 lutego 2024)

Wiktor Kozłowski

W chwili gdy to piszę, ten młody, niezwykle utalentowany dyrygent ciągle jest bez pracy. Od lat staram się wirtualnie i realnie wspierać uzdolnione dzieci moich artystów, które wybierając drogę życiową swych rodzicieli, wcale nie mają „z górki", a często „pod górkę", a nawet gorzej.

Tak jest z zaledwie dwudziestokilkuletnim Wiktorem Kozłowskim, synem wybitnego dyrygenta Tadeusza, mojego niegdysiejszego partnera w budowaniu sezonów świetności Teatru Wielkiego w Łodzi. Wiktora znam od dziecka, pochwalałem decyzję Ojca, gdy oddawał go na studia do swego przyjaciela Wojciecha Rajskiego, równie wybitnego mistrza batuty, trochę mniej operowego, ale bezwzględnie doskonałego pedagoga.

Tak wykształcony młodzieniec trafił na krótko jako asystent do Teatru Wielkiego w Poznaniu, następnie też na krótko do Opery Śląskiej. Obecnie ciągle szuka pracy, dzieląc los pokolenia młodych polskich śpiewaków, którymi nie interesują się nasze sceny operowe. Prawie

Rys. Mirosław Stankiewicz

wszędzie (co kuriozalne) pozwalniano dotychczasowych solistów, a i dyrygentów kształcimy za dużo jak na potrzeby rynku pracy. Naszego Wiktora obserwowałem dwukrotnie, kiedy na zmianę z Ojcem dyrygował w Filharmonii Poznańskiej i Teatrze Wielkim w Łodzi. Technikę manualną, temperament, fantazję i sprawność ruchową ma jeszcze lepszą niż Stary, a precyzję interpretacyjną, muzykalność i opanowanie gry zespołowej prawie tak doskonałe jak jego wybitny Ojciec.

Chłopak nieśmiało poprosił mnie o rekomendację w dalszych staraniach o miejsce dyrygenckie przy polskich pulpitach. Udzielam jej z pełnym przeświadczeniem, że tym, którzy wypromują ten niewątpliwy talent dyrygencki, przypadnie pamięć i wdzięczność w środowisku i wśród publiczności. Dotychczasowe moje interwencje u wszechwładnych naszych dyrygentów napotkały rezerwę, sceptyczność i co najmniej powściągliwość. I tym razem potwierdza się to, że dzieci artystów mają „pod górkę", uprawiając profesję swych rodzicieli.

(27 lutego 2024)

ZA KIEROWNICĄ
MACIEJ WOLDAN

Wybór nieoczywisty

Duży, bardzo drogi i luksusowy SUV... Czyli BMW, Mercedes, Audi, Volvo, Range Rover? Niekoniecznie. Takie auto znajdziemy też w salonach Volkswagena. Touareg trzeciej generacji, który jest na rynku od 2018 roku, ostatnio przeszedł subtelny lifting. Jak ten okazały wóz prezentuje się na tle bardziej prestiżowych konkurentów? I czy promowana przez Niemców hybryda typu plug-in ma w nim sens?

Kiedy po raz pierwszy miałem do czynienia z największym i najdroższym Volkswagenem w gamie, który mocno różni się od mniejszego i tańszego rodzeństwa, byłem pod wrażeniem. Nie tylko okazałości, wygody i względów praktycznych, jakimi wyróżnia się ten kawał SUV-a, ale też wprowadzonych nowinek technologicznych w postaci np. gigantycznego „telewizora" w miejscu, gdzie tradycyjnie znajdowały się zdecydowanie mniejsze ekrany. To był 2020 rok, czasy się zmieniły. Cztery lata później piętnastocalowy wyświetlacz wciąż wydaje się duży, ale na pewno już nie szokuje. Niemal wszyscy producenci stawiają na montaż coraz większej liczby dotykowych ekranów, w dodatku w coraz bardziej imponujących rozmiarach, i nic nie wskazuje na to, żeby ten trend miał się zatrzymać. To dobrze czy źle? Nie ma sensu się nad tym rozwodzić, tak po prostu wygląda współczesna cyfrowa motoryzacja. Dlatego przejażdżki starszymi, analogowymi autami już teraz dają i będą dawać w przyszłości jeszcze więcej radości...

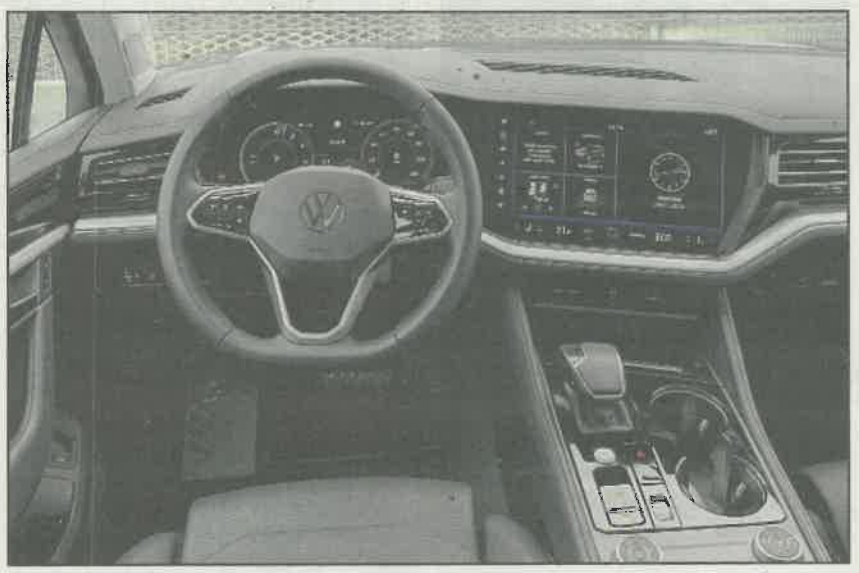

Touareg w trzeciej odsłonie nie jest najmłodszym autem, lecz trudno mówić o przestarzałej konstrukcji. Kilka lat po rynkowym debiucie należy odświeżyć model. Lifting z 2023 roku okazał się bardzo dyskretny. Zmieniono reflektory na nowocześniejsze i lepiej świecące, przeprojektowano także kształt tylnych lamp i poprowadzono czerwoną ledową listwę, na środku której widnieje teraz logo Volkswagena, podświetlone na czerwono. Od znajomego usłyszałem, że wygląda to „tragicznie"... A według mnie świecący znaczek VW na tylnej klapie prezentuje się fajnie i efektownie. Drobiazg, o który nie ma sensu wszczynać awantury. Tak samo jak nie ma sensu doszukiwać się kolejnych „rewolucyjnych" elementów w Touaregu z 2024 roku, w porównaniu z tym z 2018, bo właściwie ich nie znajdziemy.

Niemieckiego SUV-a zapamiętałem jako przestronne i komfortowe auto, naprawdę ładne, przykuwające spojrzenia. Przez kolejne miesiące musiałem bazować na wspomnieniach, bo Touareg nie występuje często na naszych drogach; żeby się na niego natknąć, trzeba mieć sporo szczęścia. Najwidoczniej przy tak wygórowanej cenie klienci wolą się wybrać do salonów marek premium. Być może to kwestia nudnej i zachowawczej konfiguracji (granatowy lakier, czarne wnętrze), ale „drugie pierwsze wrażenie", jakie zrobił na mnie długi na 4,9 metra Volkswagen, nie było już tak dobre. Solidny, masywny, ale pozbawiony ikry. Od razu przyszło mi na myśl, że to propozycja dla tych, którzy nie chcą się rzucać w oczy, nawet jeśli mają w garażu cztery kółka z wysokiej półki. Przynależności do segmentu premium Touaregowi nie sposób odmówić. Ma bardzo dobre materiały wykończeniowe, skórzane fotele z opcją masażu, miękkie obicia deski rozdzielczej oraz boczków drzwi, elektrycznie domykane drzwi, dobrze wyciszoną kabinę, olbrzymi panoramiczny dach, pneumatyczne i adaptacyjne zawieszenie, znacząco poprawiające komfort podróży, a także sporo innych mniej lub bardziej przydatnych bajerów. Prowadzi się lekko i przyjemnie jak na swój gabaryt, który zza kierownicy da się odczuć dopiero podczas manewrowania na ciasnych parkingach przed marketami. Ten sam gabaryt niesie korzyści w postaci bardzo obszernego wnętrza, które możemy aranżować wedle aktualnych potrzeb, co umożliwia dzielona na trzy części, składana i przesuwana na szynach tylna kanapa.

Testowana wersja napędowa to hybryda typu plug-in, czyli taka, którą powinniśmy regularnie „karmić" nie tylko benzyną, ale i prądem, żeby choć trochę uzasadnić jej wybór. Składa się na nią benzynowe, trzylitrowe V6 i elektryczny silnik. Taki zestaw ma łączną moc równą 381 KM. Nie ukrywam, że nie jestem fanem tego rodzaju hybryd i ostatnia przygoda z Touaregiem nie zmieniła moich upodobań. Duży SUV kojarzy mi się z samochodem na długie wakacyjne trasy, podczas których nie będziemy przecież tracić czasu na poszukiwanie ładowarek. Chcemy sprawnie zatankować paliwo i jechać dalej. Wtedy podróżowanie plug-inem przekłada się na wysokie, zupełnie nieekonomiczne zużycie benzyny. Na autostradzie, przy dynamicznej jeździe, Touareg cechuje się sporym „apetytem". Pochłania nawet powyżej 13 litrów bezołowiowej na setkę. Jasne, przy codziennym kręceniu się po mieście możemy liczyć na jazdę na prądzie, prawie bez ingerencji spalinowej jednostki. Tyle że deklarowane przez producenta 52 kilometry zasięgu trzeba traktować z przymrużeniem oka. W rzeczywistości w zimowych okolicznościach na w pełni naładowanych akumulatorach da się przejechać ok. 30 kilometrów. Delikatnie mówiąc – bez szału. Czy taki zakup ma sens? Odkładając na bok ekologiczne pobudki, nie sądzę. OK, fani osiągów zwrócą uwagę, że według danych technicznych potężny Volkswagen rozpędzi się w takiej odmianie do setki w mniej niż sześć sekund, co jest więcej niż dobrym rezultatem. Jednak towarzyszy temu poszarpywanie napędu, który nie lubi stanowczego wciskania pedału gazu i reaguje z odczuwalną zwłoką. „Lżejsza noga" gwarantuje znacznie więcej przyjemności i zapewnia komfort jazdy.

Opisywana hybryda jest też najdroższą z opcji, jakie oferuje producent. Jej cennik startuje od ponad 400 tys. złotych, żeby zatrzymać się – jak w przypadku prasowego egzemplarza – na 517 tys. Ponad pół miliona złotych zwala z nóg! Warto wspomnieć, że w ofercie VW wciąż są niehybrydowe warianty. Sensowny, trzylitrowy, wyposażony w 286 koni diesel, dobrze sprawdzający się chociażby w wielu modelach Audi, będzie tańszy o 60 tys. złotych (mowa o tej samej, dość bogatej wersji wyposażenia „Elegance"), zaś trzylitrowa benzyna kosztuje mniej o 50 tys. To wciąż mnóstwo pieniędzy, lecz jeśli marzymy o Touaregu, warto poszukać oszczędności. Bo samo postawienie na hybrydę typu plug-in raczej ich nie przyniesie...

Zapraszam też do słuchania podcastu „Garaż Angory"

Fot. Maciej Woldan

SAT - RUDEK
Oferujemy:
- Sprzedaż anten satelitarnych oraz akcesoriów
- Polska telewizja NC+. z umową lub bez umowy
- Doładowanie kart NC+
- Dekodery
- Moduły CI

Gwarancja niskich cen i pełnego serwisu!

Odwiedź nasz sklep:
www.sat-rudek.de
Tel. 05031 9585207
0176 62596861

Usłyszałem głośną kłótnię

ZAGADKA KRYMINALNA WOJCIECHA CHĄDZYŃSKIEGO

Inspektor Nerak skończył akurat rozmawiać przez telefon, gdy do pokoju wszedł jego kolega i wiedząc, że Nerak chętnie słucha dowcipów, postanowił mu jeden opowiedzieć.

– Podczas długiej podróży pociągiem blondynka wyszła do toalety i po opuszczeniu jej, nie mogąc trafić do swojego przedziału, stanęła na korytarzu i zaczęła płakać. Widząc to, jeden z pasażerów pyta: „Dlaczego pani płacze. Co się stało?". Na to blondynka: „Nie mogę znaleźć mojego przedziału". Pasażer: „Proszę sobie przypomnieć coś szczególnego z pani przedziału, to go z pewnością odnajdziemy". Blondynka po dłuższym namyśle: „Już wiem. Za oknem było widać jezioro".

– Dobre, teraz ja. Blondynka do blondynki: „Wyobraź sobie, Krysiu, że w tym roku sylwester wypada w piątek". Słysząc to, Krysia z przejęciem w głosie woła: „Ojej, aby tylko nie trzynastego".

Wesoły śmiech obu policjantów przerwał dzwonek telefonu stojącego na biurku Neraka. Inspektor odebrał i usłyszał głos naczelnika wydziału: „Proszę udać się na ulicę Lipową, gdzie w siłowni popełniono morderstwo. Ekipa z wydziału kryminalnego już tam jest".

Kilkadziesiąt minut później inspektor Nerak zaparkował przed czteropiętrową kamienicą, na której parterze znajdowały się klub fitness i siłownia. Kiedy wszedł do lokalu, podszedł do niego atletycznie zbudowany mężczyzna w śnieżnobiałej koszulce z niewielkim logo znanej na świecie firmy i oznajmił: – Nazywam się Artur Krawczyk i to ja zadzwoniłem pod numer alarmowy. Zamordowano bowiem mojego kolegę Bogdana Nowaka, z którym dziś ćwiczyłem. Gdy przyszliśmy do siłowni, nie było jeszcze klientów. Właściciel natomiast musiał załatwić coś w banku, więc zostawił nas samych. Po skończeniu ćwiczenia na atlasie poszedłem wykąpać się do łazienki. Na sali został Bogdan, który miał jeszcze chwilę potrenować na stepperze. Kiedy wyszedłem spod prysznica i ubrałem się, usłyszałem głośną kłótnię i po chwili odgłos przypominający bolesny jęk. Natychmiast wybiegłem z łazienki i korytarzem popędziłem w kierunku sali. Gdy dobiegłem do drzwi, przez zamontowaną w nich szybę zobaczyłem wysokiego mężczyznę, który najprawdopodobniej, słysząc moje kroki, wybiegał z salonu. Kiedy otworzyłem drzwi i wbiegłem na salę, zobaczyłem trzymającego się steppera Bogdana, którego koszulka na wysokości piersi była cała zakrwawiona. Gdy podbiegłem do niego, puścił maszynę i runął na mnie. Złapałem go, a kiedy kładłem go na podłodze, próbował mi coś powiedzieć. Nie zdążył jednak, ponieważ skonał. Natychmiast zadzwoniłem pod numer alarmowy i do właściciela siłowni, który powinien zjawić się tu lada chwila. Do przyjazdu policji nie ruszałem się z miejsca. Sądzę, że...

Wypowiedź mężczyzny przerwał sierżant Wrzosek: – Lekarz stwierdził, że Nowak został ugodzony nożem. Jednak, jak do tej pory, nie udało się odnaleźć narzędzia zbrodni.

– Czy przed przyjazdem ekipy z wydziału kryminalnego ktoś zaglądał do salonu? – zapytał Nerak Krawczyka.

– Nie, natychmiast po wykonaniu telefonów powiesiłem na drzwiach tabliczkę informującą, że lokal jest nieczynny i, niczego nie dotykając, czekałem na policję.

– Czy pana kolega miał jakichś wrogów? – zapytał Nerak.

– Nic mi o tym nie wiadomo, chociaż, jakby tak się dobrze zastanowić, to mógłby nim być Patryk Wiśniewski, któremu Artur odbił dziewczynę, a z którą Wiśniewski spotykał się ponad dwa lata.

– Panie inspektorze, może pojechać po tego Wiśniewskiego i przywieźć go do komendy? – zapytał sierżant Wrzosek.

– Nie potrzeba, ponieważ Bogdana Nowaka zamordował obecny tu Artur Krawczyk.

Słysząc to, mężczyzna załamanym głosem spytał: – Jak się pan tego domyślił?

Na jakiej podstawie inspektor Nerak zorientował się, że mordercą jest Artur Krawczyk?

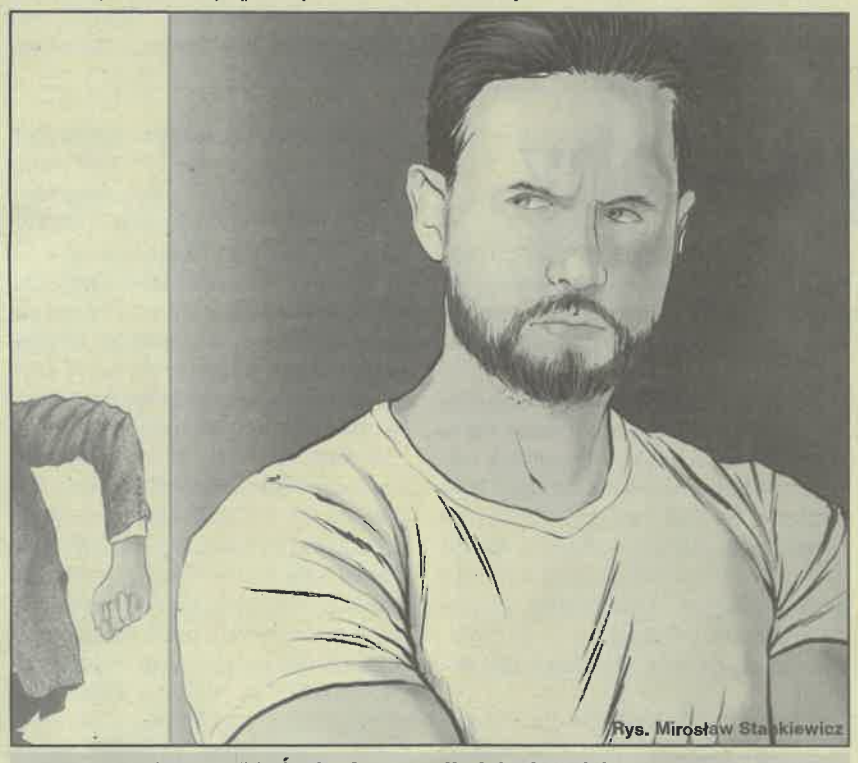

Rys. Mirosław Stankiewicz

Rozwiązanie zagadki **„Śmierć nastąpiła jakąś godzinę temu"**: Wierzchnia strona kartki, na której napisany był list pożegnalny, była czysta. Gdyby napisał ją Piotr Kowalczyk, a następnie się zastrzelił, to byłaby ona, podobnie jak cały blat biurka, pobrudzona jego krwią.

Powieści i romanse

Zamówienia telefoniczne: 02174 8964480
Na stronie internetowej: www.sklep.de
Zamówienia pisemne: Verlag Matuszczyk KG, Luisental 2, 51399 Burscheid

Godni przeciwnicy - Danielle Steel

Spencer od zawsze wiedziała, że jej przeznaczeniem jest przejąć rodzinny biznes. Dom towarowy Brooke's został założony przez jej dziadka w 1920 roku i stał się najbardziej luksusowym i prestiżowym miejscem w Nowym Jorku.
Gdy firma wpada w kłopoty finansowe, oferta biznesowa od bogatego inwestora wydaje się być odpowiedzią na wszystkie problemy. Spencer staje przed trudnym wyborem – zaryzykować stratę rodzinnego biznesu czy uzależnić przyszłość firmy od jego decyzji? A może Mike i jego propozycja są tym, czego potrzebowała?

Szeptun - Tomasz Betcher

Julia ma dwoje dzieci: nastoletnią córkę Marysię i ośmioletniego syna Kubę. Jej mąż pracuje w Norwegii na platformie wiertniczej i niespecjalnie interesuje się rodziną. Kiedy wydaje się, że w życiu znudzonej nauczycielki z Gdańska nic nie może się już wydarzyć, rodzice fundują jej i wnukom wczasy w Beskidach, u prawdziwego szeptuna leczącego ziołami. Na miejscu okazuje się, że mężczyzna nie jest żadnym sympatycznym staruszkiem sporządzającym wywary z roślin, ale wyklętym przez miejscowych odludkiem, bardzo tajemniczym, a do tego nieziemsko przystojnym.

Szt.	Książki	Cena
	Amanda - Nora Roberts	8,90
	Catherine - Nora Roberts	8,90
	Dziecinna gra - Danielle Steel	10,90
	Godni przeciwnicy - Danielle Steel	**9,90**
	Jej portret - Anna H. Niemczynow	6,90
	Kaprys milionera - Izabella Frączyk, Jagna Rolska	8,90
	Kochanka - Edyta Folwarska	7,90
	Kopciuszek na pustyni - Natasha Oakley	5,90
	Królewska narzeczona - Kate Hardy	5,90
	Księżna - Danielle Steel	10,90
	Księżniczka - Danielle Steel, pocket	6,90
	Lilah - Nora Roberts	8,90
	Moje serce wraca do życia - Srebrna miłość, zdarzyło się naprawdę	2,00
	Niegrzeczny szef - Whitney G.	7,90
	Niewidzialna - Danielle Steel	10,90
	Niewinni i cała reszta - Dana Spiotta	8,90
	Nocne kompozycje - Nora Roberts	5,90
	Odpowiedni moment - Danielle Steel	10,90
	Palazzo - Danielle Steel	10,90
	Paryska pokojówka - Ewa Grocholska	5,90
	Perfekcjonistka - Iwona Sobolewska	9,90
	Podejrzani - Danielle Steel	10,90
	Pokusa - Edyta Folwarska	7,90
	Pośród żółtych płatków róż - Gabriela Gargaś	6,90
	Powiedz życiu tak, Lili - Anna H. Niemczynow	6,90
	Punkt zwrotny - Danielle Steel, pocket	6,90
	Recepta na szczęście - Po prostu miłość, zdarzyło się naprawdę	2,00
	Rok na końcu świata - Agnieszka Zarzewska	9,90
	Sąsiedzi - Danielle Steel	10,90
	Siedem sióstr. Tom 1 Maja - Lucinda Riley	8,90
	Skandaliczne życie modelek - Monika Goździalska	9,90
	Sosnowe dziedzictwo - Maria Ulatowska	5,90
	Srebrna łyżeczka - Magdalena Witkiewicz	9,90
	Suzanna - Nora Roberts	8,90
	Szczęście w nieszczęściu - Danielle Steel	10,90
	Szczęśliwe liczby - Danielle Steel, pocket	6,90
	Szeptun - Tomasz Betcher	**8,90**
	Szepty - Irena Matuszkiewicz	5,90
	Szpieg - Danielle Steel, pocket	6,90
	Szukaj mnie - Weronika Wierzchowska	5,90
	Tam gdzie jesteś - Tomasz Betcher	8,90
	To jedno lato - Dorota Milli	6,90
	W ślady ojca- Danielle Steel	10,90
	Warto poczekać na szczęście - Srebrna miłość, zdarzyło się naprawdę	2,00
	Własny kawałek nieba - Renata Kosin	9,90
	Wysoka stawka - Danielle Steel	10,90
	Wysokie tony - Danielle Steel	9,90
	Wyzwanie - Danielle Steel	9,90
	Zgubić i odnaleźć - Danielle Steel	10,90
	Zgubić i odnaleźć - Danielle Steel, pocket	6,90

ZAMÓWIENIE ANG 4/2024

Płatność z góry - Zarezerwowany towar wysyłamy po zapłaceniu rachunku (Vorkasse)
Przy zamówieniu przez internet możliwość płatności przez PayPal.

Koszt wysyłki:
❑ na adres w Niemczech - 6,90 € (Deutsche Post DHL)
❑ do pozostałych krajów Unii Europejskiej - 16,90 €

Wysyłka z Niemiec

Imię, nazwisko _____

Ulica, nr domu _____

Kod pocztowy, miejscowość _____

Nr telefonu _____

Data, podpis _____

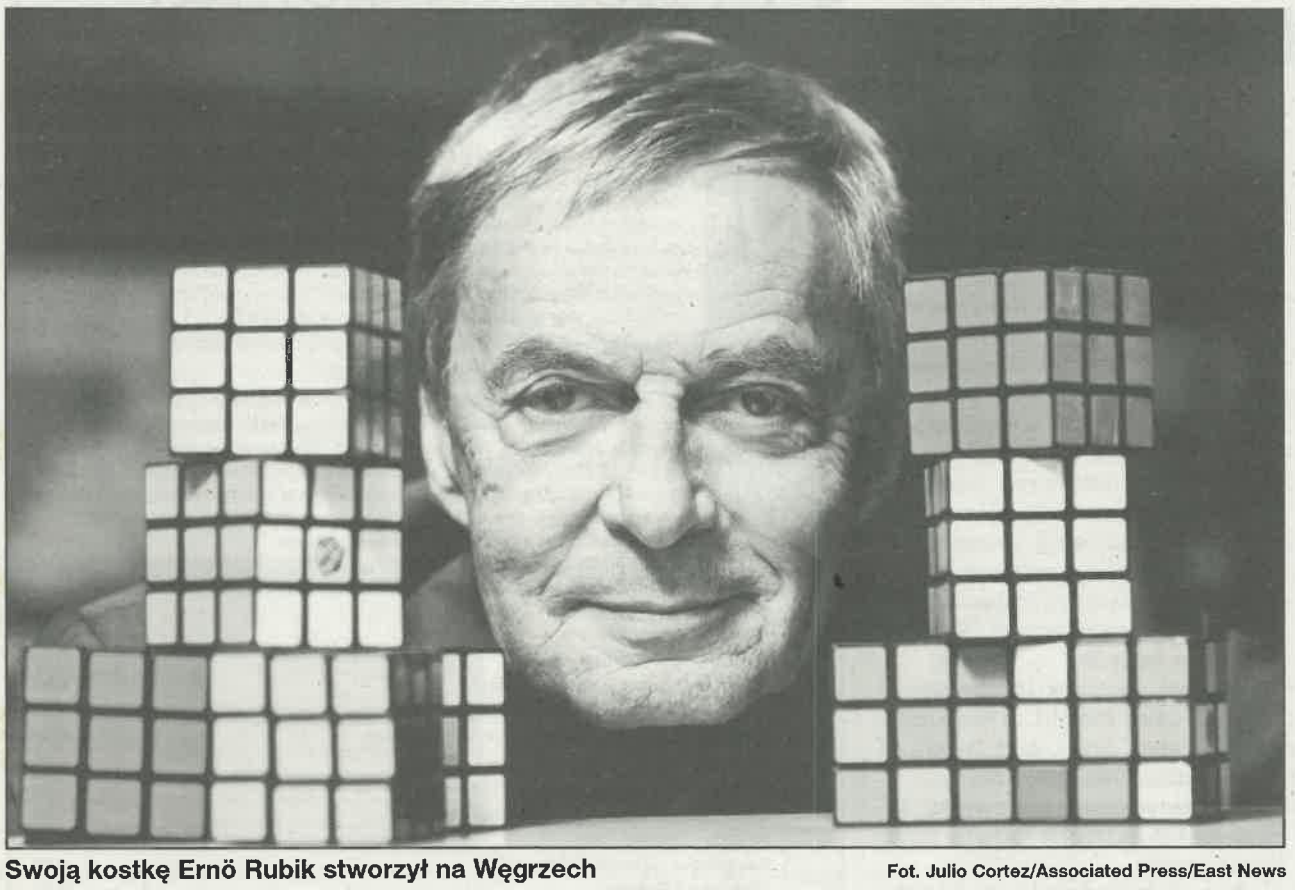

Swoją kostkę Ernö Rubik stworzył na Węgrzech Fot. Julio Cortez/Associated Press/East News

Kolorowy sześcian na nowo podbija świat. W nowojorskim metrze, na arabskich bazarach czy w japońskich ekspresach układają go kolejne pokolenia

Pół wieku kostki Rubika

Przegląd Nr 8. Cena 9,80 zł

Czy urodzeni w latach 60. lub 70. rozumieją internetowo-elektroniczne zabawy milenialsów – pokolenia Y oraz urodzonych już w tym wieku? Odpowiedź nie wydaje się łatwa. Oni mieli zupełnie inną, rozwijającą umysł zabawę. Mieli *büv's kocka*, „magiczną kostkę" – ogólnodostępną rozrywkę, zwaną też kostką Rubika. Wynaleziona dokładnie pół wieku temu przez węgierskiego architekta i rzeźbiarza Ernö Rubika kostka była rozrywką z najwyższej półki i narzędziem niemal sportowej rywalizacji. Z kostką miał do czynienia chyba każdy z nas. Wielu nie mogło oderwać się od niej przez większą część dnia, zaniedbując szkolne czy nawet służbowe obowiązki. Wynalazek Rubika przyciągał i znów zaczyna przyciągać jak najsilniejszy magnes.

Choć z kolorową kostką kojarzymy jedynie urodzonego w 1944 r. w Budapeszcie Ernö Rubika, trzeba pamiętać, że na pomysł stworzenia tego rodzaju zabawki już wcześniej wpadli inni. W roku 1970 podobną łamigłówkę wymyślił Kanadyjczyk Larry Nichols. Różnica polegała na tym, że jej ściany miały cztery pola, a nie jak węgierska dziewięć.

Łut szczęścia

Swoją kostkę Ernö Rubik stworzył w czasach kadarowskich na Węgrzech. W tzw. bloku wschodnim osoby obdarzone wyjątkową pomysłowością miały problem z przebiciem się i zaprezentowaniem na Zachodzie. Rubik zdawał sobie sprawę, że bez pokazania swojego pomysłu w krajach kapitalistycznych nie może liczyć na sukces. Niespodziewanie uśmiechnęło się do niego szczęście. W 1979 r. kostka Rubika pojawiła się w ofercie zbiorowej Made in Hungary na targach zabawek Toy Fair w Norymberdze. Pewien wpływowy węgierski biznesmen mieszkający w Austrii zainteresował nią innego Węgra, biznesmena z Londynu, a ten podsunął wynalazek Rubika amerykańskiej firmie Ideal Toy. Jej szef przyjechał na Węgry i podpisał umowę z węgierskim Konsumexem na produkcję 1 mln sztuk. Niezależnie od tego kostki zaczęła produkować węgierska firma Politechnika (później Politoys). Do większości krajów europejskich, w tym do Polski, kostka trafiła w roku 1980. W następnych latach producenci się zmieniali i tak jest do dziś.

Kim jest Ernö Rubik, ubrany zwykle w skromny sweterek wynalazca ulubionej zabawki milionów? Bez wątpienia to postać dość tajemnicza i introwertyczna. Przez niemal całe swoje życie skupiony na nauce i nauczaniu, ale też na tworzeniu gier, zabaw i trudnych łamigłówek. A ściganie się, kto najszybciej ułoży rzeczone łamigłówki, np. jego kostkę, uważa za... bezcelowe. Od wielu już lat Węgrowi przypina się łatkę wroga dziennikarzy, mediów i wszelkich spotkań z fanami. Choć w ostatnim czasie, w przededniu osiemdziesiątki, u pana Ernö możemy zaobserwować większą otwartość na świat. Czyli tych, którzy marzą, by poznać genialnego mistrza i zamienić z nim parę słów.

W królestwie liczb i rekordów

Początkowo przyrząd wymyślony przez Rubika nie miał być ani łamigłówką, ani tym bardziej rozrywką. Węgier za pomocą kostki chciał jak najprzystępniej wyjaśnić studentom zasady trójwymiarowości i przestrzenności. – Przestrzeń frapowała mnie właściwie od zawsze. Chodziło mi o tkwiące w niej ogromne możliwości,

Superwilki przejmują watahy

interia (6 II)

Pasożyt *Toxoplasma gondii*, który jest znany z manipulowania zachowaniem swoich nosicieli, infekuje także wilki i robi z nimi coś dziwnego. Badacze dowiedli, że zainfekowane zwierzęta robią błyskawiczne kariery i mają 46-krotnie większe szanse na zostanie przewodnikiem stada.

Toxoplasma gondii to powszechny pasożyt, doskonale znany np. właścicielom kotów. Mikroorganizm jest w stanie rozmnażać się wyłącznie w organizmach kotowatych, ale potrafi też zarażać niemal każde stałocieplne zwierzęta. W tym ludzi, u których wywołuje chorobę znaną jako toksoplazmoza, która zazwyczaj przebiega bezobjawowo, może jednak być śmiertelnie niebezpieczna dla płodów i ludzi o osłabionej odporności. Pierwotniak ten ma wyjątkową cechę. Gdy trafia do organizmu nosiciela innego niż kot, jest w stanie wpływać na jego zachowanie. W wielu przypadkach zainfekowane zwierzę zaczyna podejmować zdecydowanie więcej ryzykownych działań.

W przypadku gryzoni – myszy i szczury zaczynają aktywnie wyszukiwać miejsc, w których wyczuwają zapach kociego moczu. W przypadku szympansów i hien naukowcy zaobserwowali, że zainfekowane zwierzęta o wiele częściej padają ofiarą lampartów czy lwów. Zmiany w zachowaniu zwierząt są tak wielkie, że często porównuje się je do zombi.

Wpływ pasożyta na zwierzęta inne niż gryzonie był jednak jak dotąd słabo zbadany. Najnowsze badanie, w którym naukowcy przeanalizowali dane o zachowaniu wilków, zbierane przez 26 lat, wskazuje jednak, że *T. gondii* może mieć ogromny wpływ także na najważniejsze drapieżniki Eurazji i Ameryki.

Naukowcy z Parku Narodowego Yellowstone porównali archiwalne dane o zachowaniu wilków i dynamice wilczych watah z wynikami analizy krwi pobranej od 229 zwierząt. Wyniki są bardzo zaskakujące. Okazuje się, że zwierzęta, w których organizmach wykryto pasożyta *Toxoplasma gondii*, 46 razy częściej stają się przewodnikami stada niż wilki, które pasożyta nie mają.

Wilki w Parku Narodowym Yellowstone zamieszkują rewiry, które często pokrywają się z terytoriami mieszkających w tym samym parku pum. Wielkie dzikie koty są nosicielami *T. gondii*, a oba gatunki polują na te same zwierzęta, w tym łosie, jelenie i bizony. Naukowcy podejrzewają, że wilki mogą zarażać się „kocim" pierwotniakiem, jedząc martwe pumy lub ich odchody.

Zespół pod kierunkiem biologów Kiry Cassidy i Connora Meyera wykazał, że tak zainfekowane wilki zaczynają zachowywać się... inaczej. Wilki działające pod wpływem pasożyta aż 11-krotnie częściej opuszczały swoje watahy, by udać się na nowe terytoria.

Jednak te wilki, które pozostały w swoich watahach, bardzo często stawały na ich czele. Badacze spekulują, że pasożyt może zwiększać produkcję testosteronu w organizmie wilka, co z kolei zwiększa jego poziom agresji. To natomiast sprawia, że wilk może łatwiej zająć dominującą pozycję w grupie.

Co z kolei jest bardzo korzystne dla samego pasożyta? Po pierwsze, zakażenie *T. gondii* może być przekazywane na potomstwo, a zazwyczaj przywódca stada jest jedynym wilkiem, który się rozmnaża. A po drugie, wilk przewodnik odpowiada za wiele kluczowych decyzji

transformacje różnych przedmiotów, ruch w miejscu i czasie – tłumaczył wiele lat temu Rubik w wywiadzie dla CNN. Na ile udało mu się oświecić studentów, trudno powiedzieć. Stworzył za to coś, o czym mówi i mówić będzie świat jeszcze przez dziesięciolecia.

Standardowa kostka 3x3x3 składa się z 26 sześcianów w sześciu kolorach i przegubu umieszczonego w środku. Tym, którzy już nie pamiętają, przypominamy: zadaniem jest ułożenie jej tak, żeby na każdej ścianie znalazły się kwadraty jednego koloru.

Gdy słynna kostka pojawiła się na rynku, wielu wydawało się to wręcz niemożliwe. Sam Rubik po raz pierwszy układał kostkę przez... miesiąc. Nic dziwnego, kombinacji jest ponad 43 tryliony. W latach 80. ci, którzy po wielogodzinnych katuszach wreszcie osiągali cel, w szkołach, na uczelniach, w fabrykach (praca pracą, ale wynalazek Rubika wciągał) uważani byli za... geniuszy przestrzeni!

Dziś ułożenie kostki nie musi być aż tak trudne. Wystarczy kilka sekund, by w internecie znaleźć dziesiątki instrukcji i wskazówek. Jak w każdej rywalizacji, nieprzerwanie trwa wyścig, kto kostkę ułoży najszybciej. Najnowszy rekord świata w pojedynczym ułożeniu kostki 3x3x3 z czasem 3,13 sekundy należy do tzw. speedcubera Maxa Parka. Jego rezultat został oficjalnie odnotowany w „Księdze rekordów Guinnessa". 11 czerwca 2023 r. pobił on rekord z 2018 r. należący do Chińczyka Yushenga Du. W wywiadach dla mediów z całego świata Max wyznał, że „automatyzacja ruchów i ogromne skupienie uderzają na tyle mocno, że człowiek dopiero po jakimś czasie orientuje się, czego właściwie dokonał". 22-letni Max Park urodził się w Kalifornii. Ma korzenie koreańskie. Zasłynął nie tylko z najszybszego ułożenia klasycznej kostki 3x3x3. Jest on także rekordzistą świata w układania kostek 4x4x4 (tzw. zemsta Rubika), 5x5x5, 6x6x6 i 7x7x7 oraz – co też jest bez wątpienia sporym wyczynem – w układaniu kostki 3x3x3 jedną ręką. Życiorys Maxa Parka pełen jest zaskakujących zwrotów. Gdy chłopiec miał dwa lata, zdiagnozowano u niego autyzm. Okazało się, że jego zdolności motoryczne są mocno zaburzone. Zdając sobie z tego sprawę, matka zaczęła uczyć go układania kostki Rubika. Mały Max potrafił ją układać już w wieku dziewięciu lat. Mając lat 12, wystartował w pierwszych zawodach speedcuberów. Udział w kolejnych tego rodzaju rywalizacjach znacząco rozwinął i pogłębił jego kontakty społeczne.

My w globalnej rubikowej rywalizacji też możemy się pochwalić niezłymi wynikami. Najszybciej układającym kostkę Polakiem jest 18-letni Tymon Kolasiński (3,78 sekundy, 22 października 2023 r.). Młody poznaniak ma na koncie rekordy nie tylko Polski, ale i świata w tzw. średniej konkurencji układania kostki Rubika (pięć ułożeń, z których dwa skrajne czasy są odrzucane).

W sieci znaleźć możemy także inne rekordy dotyczące kostki: kto ułożył ją najszybciej z zamkniętymi oczami albo kto ułożył ją... stopami. Jak widać, ludzka pomysłowość i pogoń za najoryginalniejszymi rekordami nie zna granic.

Obecnie na rynku mamy kostki różnej wielkości. Najbardziej rozbudowana kostka w historii, tzw. kostka Gregoire'a Pfenniga z roku 2017, to monstrualna konstrukcja 33x33x33.

Do dziś sprzedano ok. 500 mln oryginałów i trudną do ustalenia liczbę podróbek słynnego sześcianu. Kostka Rubika była, jest i zapewne będzie najlepiej sprzedającą się grą-zabawką na świecie.

O tym, jak układać wymyśloną przez Węgra kostkę, wydano ponad 50 książek w kilkunastu językach. Napisanej przez 12-letniego (!) Anglika Patricka Bosserta „You Can Do the Cube" sprzedano 1,5 mln egzemplarzy.

Nic nie zapowiada, by *büvös kocka*, niezwykła zabawka niezwykłego Węgra, miała zniknąć ze sklepów. W samym Budapeszcie od 1980 r. działa kilka sklepów sprzedających wyłącznie kostkę Rubika i gadżety z nią związane. W roku jubileuszu sklepów i w Budzie, i w Peszcie jeszcze przybyło.

Geniusz zamknięty w sobie

Ernö Rubik urodził się 13 lipca 1944 r. w węgierskiej stolicy i do dziś tam mieszka. W 1967 r. ukończył architekturę na Politechnice Budapeszteńskiej. Studiował też podyplomowo rzeźbiarstwo i pracował jako architekt. W latach 70. wykładał projektowanie wnętrz na Budapeszteńskiej Akademii Sztuk Użytkowych. We wczesnych latach 80. był redaktorem naczelnym magazynu „Es jatek", zajmującego się grami i najrozmaitszymi układankami.

Jest twórcą Rubik Studio, firmy projektującej meble i gry.

W roku 1990 został prezesem Węgierskiej Akademii Inżynierskiej (Magyar Mernókakademia). Założył organizację International Rubik Foundation, wspierającą utalentowanych młodych naukowców, przede wszystkim inżynierów i projektantów. W dalszym ciągu prowadzi też wspomniane Rubik Studio.

Ścisły umysł, miłość do matematyki i wyjątkową wytrwałość w pracy mały Ernö odziedziczył po ojcu, także Ernö. Rubik senior był entuzjastą lotnictwa i konstruktorem szybowców w Ostrzyhomiu (węg. Esztergom) na północy Węgier. Ponoć był wyjątkowo uparty i zwykle osiągał to, co zamierzał. Ojca i syna łączyło z pewnością jedno – im trudniejsze było zadanie, tym bardziej angażowało to ich wyobraźnię. „W dzieciństwie był typem samotnika, najlepiej czującym się w... towarzystwie siebie samego, swoich zabaw i gier. Z roku na rok coraz trudniejszych i coraz bardziej wymagających" – tak o młodym Ernö pisało węgierskie czasopismo „Kepmas Magazin".

Matka Rubika, Żydówka, była poetką. W czasie drugiej wojny światowej kobieta, którą węgierskie media nazywają „wrażliwą damą o artystycznej duszy", straciła rodziców i niemal wszystkich bliskich. Matka rozpieszczała małego Ernö, nazywając go „najbardziej utalentowanym dzieckiem na świecie".

Ernö ma dwójkę dzieci – Annę oraz urodzonego w roku 1981 Zoltana, który nie poszedł w ślady ojca – jest kompozytorem i pianistą.

Dziesięć lat temu Rubik otrzymał najwyższe i najbardziej prestiżowe węgierskie odznaczenie, Wielki Krzyż Orderu Świętego Stefana. I – co wcale tak oczywiste nie było – przyjął je.

Rubik bardzo niechętnie reaguje na propozycje udziału w zawodach w układaniu własnej kostki na czas. Uczestniczył w I Mistrzostwach Świata w Układaniu Kostki Rubika w Budapeszcie w lipcu 1982 r. Po raz ostatni brał udział w takiej rywalizacji w roku 2007. – Nie widzę sensu w ściganiu się, kto szybciej ułoży kostkę. To, co wymyśliłem, to gra, zabawa. Większość z nas podchodzi do sprawy zbyt poważnie – uważa Rubik.

Trudno ustalić, ile Ernö Rubik zarobił na swojej kostce. W różnych mediach można przeczytać, ile wart jest jego majątek, ale są to dane bardzo rozbieżne – od 110 mln dol. do 500 mln dol. Ma dwa domy – jeden na Węgrzech, drugi za granicą. Jego zaangażowanie w różne inicjatywy edukacyjne, publikacje książkowe i inne projekty jeszcze ten majątek powiększa.

Zagraniczni dziennikarze bardzo rzadko mają możliwość porozmawiać z Węgrem. O wyjątkowym szczęściu mogą mówić w Mediolanie. Ernö Rubik – ku zaskoczeniu nie tylko Włochów – pod koniec listopada 2023 r. odwiedził stolicę Lombardii i wziął udział w Mediolańskim Tygodniu Gier. Dziennikarzy pojawiło się tylu, co w czasie spotkań z Silviem Berlusconim, ale skromny Węgier nie udzielał równie bogatych w sensacyjne treści odpowiedzi.

„Ojciec" słynnej kostki unika celebry i rozgłosu. Ale 13 lipca wielu jego rodaków nie daruje mu. Posypią się zaproszenia, by przy lampce szampana wspólnie wygłosić węgierski toast *egeszsegere* – na zdrowie, mistrzu!

CHRYSTIAN ŚLUSARCZYK

---

podejmowanych przez całą watahę, na przykład za to, gdzie się przemieszczać oraz na jakie ofiary polować.

„Jeśli przewodnik stada jest zarażony *T. gondii* i wykazuje zmiany behawioralne, może wpłynąć na dynamikę całego stada. Wywoływane przez pasożyta zachowania jednego wilka mogą wpłynąć na wszystkie zwierzęta w grupie" – piszą autorzy badania w czasopiśmie „Communications Biology".

Jeśli więc na przykład przewodnik stada prowadzi całą grupę w obszary, na których wyczuwa obecność kuguarów, cała wataha staje się bardziej narażona na infekcję pierwotniakiem.

„Uwzględnienie skutków infekcji pasożytniczych będzie kluczowe dla zrozumienia procesów w ekosystemach" – piszą badacze. Reasumując, maleńki pasożyt jest w stanie zmieniać to, w jaki sposób funkcjonuje cały ekosystem. A wilki są dla niego po prostu wygodnymi środkami transportu.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Fot. AFP/East News

SPODPRASY

62-letnia mama Agnieszki Włodarczyk (43 l.) wyszła za mąż. Wybranek **Anny Stasiukiewicz** jest młodszy od jej córki o kilkanaście lat. Jak informuje portal pomponik.pl, emerytowana aktorka poślubiła 30-letniego mężczyznę o egzotycznej urodzie i o imieniu Nader. Panna młoda na Instastory dodała rolkę, na której widać ją w złotej sukni z bukietem herbacianych róż w urzędzie stanu cywilnego. Mąż był ubrany w klasyczny czarny garnitur, białą koszulę i muchę. – *Ta rolka jest dla tych, co potępiają, wtrącają się w czyjeś życie i oceniają, jakby ktoś ich słuchał. Ha, ha, ha, nic nie słyszę. I po co ta zazdrość? Zazdrość urodzie szkodzi* – napisała kobieta. Kolorowa prasa i tajemniczy informatorzy donoszą, że zarówno bliscy, jak i znajomi pani Anny mają być nieco zaniepokojeni faktem, że kobieta poślubiła młodego obcokrajowca, choć rzekomo poznała go stosunkowo niedawno. Sama zainteresowana postanowiła opowiedzieć nieco o swoich uczuciowych perypetiach w rozmowie z *Faktem*. – *Mój związek jest wystarczająco dziwny, więc nie potrzebuję wywiadów i komentarzy, w których by mnie oceniano. Sama wiem, że to nie jest normalny związek (...). Tak mi się zdarzyło, siła wyższa, a o uczuciach się nie dyskutuje. Będę z nim tak długo, jak długo będzie dobry, kochany, europejski, no i jak będzie wciąż okazywał miłość i szacunek* (...) – skwitowała mama Agnieszki Włodarczyk.

* * *

Anna Wendzikowska jest jedną z tych celebrytek, które nie mają szczęścia w miłości. Po nieudanych związkach z ojcami swoich córek 42-latka pozostawała singielką. W 2022 roku szerokim echem odbiła się jej wypowiedź na temat wzrostu mężczyzn. Wyznała wówczas, że dla niej centymetry definiują atrakcyjność płci przeciwnej, czytamy na stronach Pudelka. Okazuje się jednak, że gdy w grę wchodzą uczucia, teorie nie przekładają się na rzeczywistość. W jednym z najnowszych wywiadów Wendzikowska nieoczekiwanie wyznała, że ostatnio znów jest zakochana. Co jednak najciekawsze, jej nowy obiekt westchnień nie należy do najwyższych. – *Żeby tutaj wybrzmiał chichot losu, jako że moje serce ostatnio po czterech latach wreszcie zadrgało mocniej, to chciałabym wszystkim powiedzieć, że osoba, do której moje serce zadrgało mocniej, ma tylko 175 cm wzrostu, więc jest niewiele wyższy od Toma Cruise'a* – wyznała nawiązując do afery sprzed prawie dwóch lat. Dziennikarka nie była jednak zbyt wylewna na temat ukochanego, ujawniając jedynie, że jej nowy partner nie mieszka w Polsce. – *Nic więcej nie powiem, bo to takie bardzo świeże, ale zupełnie inne. Takie napełniające nadzieją. Po tym przepracowaniu człowiek jednak inne ma mechanizmy, co innego mu się podoba, co innego go przyciąga. Inne tworzy konstrukcje* – wyjaśniła celebrytka.

* * *

Alicja Bachleda-Curuś (40 l.) od lat wiedzie szczęśliwe życie w Stanach Zjednoczonych. Aktorka oprócz licznych zawodowych zobowiązań swój czas poświęca na wychowywanie syna. **Henry Tadeusz**

Laura Łącz Fot. Paweł Wodzyński/East News

Farrell, który jest owocem płomiennego związku Polki z hollywoodzkim gwiazdorem Colinem Farrellem, w tym roku skończy 15 lat. Jak donosi portal ShowNews.pl, nastolatek uczęszcza do Campbell Hall School. Placówka znajduje się w prestiżowej dzielnicy Miasta Aniołów. Jest to szkoła, która cieszy się sporą popularnością wśród gwiazd kina. Wśród jej absolwentów znajdują się takie osoby jak Elizabeth Olsen, Dakota Fanning czy Troian Avery Bellisario. Naturalnie Campbell Hall School oferuje znacznie więcej niż tylko prestiż. Placówka zapewnia nie tylko dostęp do wiedzy, lecz także mnóstwo dodatkowych aktywności, gdzie uczniowie mogą rozwijać się sportowo i artystycznie. Jak można się domyślić, za naukę trzeba słono zapłacić. Czesne za rok wynosi prawie 43 tysiące dolarów, co po przeliczeniu daje 170 tysięcy złotych. – *Farrell płaci za szkołę syna, bo jest dla niego bardzo ważne, by miał dobrą edukację. Jest to droga i snobistyczna szkoła, to podstawówka z liceum* – mówi dziennikarzom informator.

* * *

Laura Łącz (69 l.) została okradziona! Złodziej włamał się do jej domu na Saskiej Kępie i całkowicie go splądrował. – *Niewątpliwie mój dom był obserwowany od dłuższego czasu. Złodziej czekał, aż się oddalę, żeby wtargnąć do środka. Wyszłam z domu za pięć szósta, a kamery zarejestrowały włamywacza równo o szóstej. Niestety, musiał się bardzo rozczarować, ponieważ nie znalazł u mnie żadnych kosztownych łupów. Nie trzymam w domu ani pieniędzy, ani wartościowej biżuterii, a sztuczną, choć bardzo piękną, której było pod dostatkiem, pogardził* – opowiedziała *Super Expressowi* aktorka. Niestety, skala zniszczeń i tak była spora. Dom po wizycie nieproszonego gościa wyglądał jak wielkie pobojowisko. – *Strasznie narozrabiał, narobił bałaganu na każdym piętrze, wyrzucając wszystko z szuflad i szafek, a jedyne, czym się zadowolił, to dwa flakony perfum, jedne moje, drugie syna. Myślę, że już nie wróci, bo wie, że nie warto. Naraził mnie na koszty napraw i udoskonalenia monitoringu. Przez to wszystko bardzo poprawiłam system kamer wewnętrznych i zewnętrznych zarówno od strony ulicy, jak i ogrodu. To kosztowna sprawa, ale bezpieczeństwo jest najważniejsze. Ponadto zainwestowałam w lepsze okna i kraty w nich. Pilnuję też, by zawsze włączać alarm* – mówi aktorka.

MAŁGORZATA KOPEĆ

Horoskop z tarotem

BARAN 21.03. – 19.04. DZIEWIĄTKA PAŁEK

Ktoś z otaczających Cię ludzi znów potrzebuje pomocy i znów zwraca się z tym do Ciebie. Zastanów się, czy taka sytuacja nie zdarza się zbyt regularnie? Dziewiątka Pałek radzi sprawdzić, czy nie jesteś wykorzystywany, i przypomina, że już zdarzyło Ci się odpokutować za swoje dobre serce. W pracy szansa na przyspieszenie awansu. Przedwiosenne wirusy „wytną" kolegów na kilka dni, co pozwoli Ci zabłysnąć zaangażowaniem. Szef na pewno to doceni. Gotówki nie brakuje, więc nie musisz oszczędzać na upominku dla ukochanej osoby.

BYK 20.04. – 20.05. RYCERZ KIELICHÓW

Rycerz Kielichów sprawi, że będziesz chętnie widzianym uczestnikiem towarzyskich spotkań. Twój urok podbije wszystkie serca, a doświadczenie, jakiego nabyłeś przez lata, będzie cenione przez tych, którzy znaleźli się w kłopotach. Nie odmawiaj rady, cierpliwie słuchaj zwierzeń przyjaciół. Możesz też (z umiarem!) sięgnąć do portfela, gdy problem tego wymaga. Stać Cię na takie wsparcie, bo tarot zapowiada wiele okazji do dodatkowego zarobku. Totalizator też może być taką okazją. W miłości Rycerz spróbuje pokonać Twój rozsądek. Gdy mu się uda – ciche dni masz gwarantowane!

BLIŹNIĘTA 21.05. – 21.06. POWŚCIĄGLIWOŚĆ

Problemy rodzinne, jakie mogą się wydarzyć w najbliższych dniach, wystawią na próbę Twoją cierpliwość. Tarot zaleca właśnie... powściągliwość. Przyda się ona także podczas rozwiązywania konfliktów ze współpracownikami. Nie możesz już dłużej chować głowy w piasek i udawać, że nieporozumienia Cię nie dotyczą. Otóż nie tylko dotyczą, ale wręcz wymagają, byś opowiedział się po jednej ze zwaśnionych stron. Oczywiście – stracisz sympatię tych „pokrzywdzonych". Zdrowie w porządku. W uczuciach lepiej przemilczeć to i owo i nie widzieć tego, czego widzieć nie musisz...

RAK 22.06. – 22.07. DZIESIĄTKA MONET

Spotkanie w rodzinnym gronie to okazja, by pochwalić się sukcesami. Ale Dziesiątka Monet radzi nie opowiadać za wiele, jeśli nie chcesz awansować do roli rodzinnego bankomatu. Dobry czas, by rozpocząć naukę. W karierze zawodowej bardzo przyda się zdobycie nowych umiejętności, zanim wyprzedzą Cię koledzy. Zdrowie niezłe. Finanse? Możesz zasponsorować totolotka. Jeśli (znowu...) nie będziesz miał szczęścia w grze, to na pewno będziesz je miał w miłości. Tu każdy Twój pomysł będzie strzałem w dziesiątkę! Kierowcom tarot proponuje więcej spacerów.

LEW 23.07. – 22.08. DWÓJKA PAŁEK

Jeśli masz dla kogo zdobywać skarby (te materialne i te, których nie widać), to żadne przedsięwzięcie nie będzie dla Ciebie zbyt trudne. Z Dwójką Pałek możesz nawet sięgnąć do gwiazd i zabrać spośród nich tę jedyną, której brakuje do szczęścia ukochanej osobie. Możesz wszystko. Po prostu – uwierz w siebie i ruszaj do roboty! Zdrowie nie zawiedzie (przynajmniej przez tydzień), a portfel pozostanie pełny mimo niespodziewanych wydatków (możliwa domowa awaria). W pracy broń swojego zdania i nie słuchaj tych, którzy mówią: to niemożliwe. W miłości siedem dni w raju. A potem...

PANNA 23.08. – 22.09. PIĄTKA MIECZY

Piątka Mieczy będzie namawiała do... walki o swoje wszelkimi metodami. Możesz podczas dyskusji z przyjaciółmi powiedzieć kilka słów za wiele, a potem bardzo długo łagodzić nieporozumienia. W pracy broń swojego zdania, zwłaszcza gdy jest takie jak zdanie szefa – i nie żałuj głosu, gdy ów jest w pobliżu. Może choć w ten sposób wywalczysz awans, bo kolegów raczej nie przekonasz. Większe wydatki warto odłożyć, a z niektórych po prostu zrezygnować – trochę Cię ponosi fantazja... Lepiej daj jej się wykazać w sercowych sprawach – sukces murowany!

WAGA 23.09. – 22.10. CZWÓRKA KIELICHÓW

Wiosna (prawie) puka do drzwi, ale Tobie jakoś trudno wyzwolić się z zimowego spowolnienia – brakuje ochoty do pracy, na spotkania z przyjaciółmi, nawet wyprawa na zakupy nie cieszy... Czwórka Kielichów radzi wziąć się w garść, a jeśli naprawdę Ci się to nie uda – czym prędzej skontaktować się z lekarzem. Może to wynik lekceważenia drobnych dolegliwości, a może pora na zmianę diety? Niewykluczone, że po prostu potrzebujesz wypoczynku – kilka dni z dala od obowiązków, laptopa, telewizora... W sercowych sprawach nie rozpamiętuj słów, o których naprawdę lepiej zapomnieć...

SKORPION 23.10. – 21.11. DZIEWIĄTKA MONET

Jeśli zamierzasz rozpocząć działalność na własny rachunek, to Dziewiątka Monet będzie doskonałym doradcą. Pomoże załatwić papierologię i sprawi, że – nawet przy braku doświadczenia – będziesz zdobywał bardzo ważne kontrakty. Nie chwal się jednak sukcesami, bo masz wśród znajomych życzliwych inaczej, którzy chętnie wyślą (niepodpisaną) informację o Twoich osiągnięciach. Niebiznesmeni powinni zatroszczyć się o sprawy bliskich ludzi. Ktoś wymaga natychmiastowej pomocy! Finanse lekko zwyżkują, wystarczy na wysłanie kuponu. W miłości – nie słuchaj plotkarzy!

STRZELEC 22.11. – 21.12. DZIESIĄTKA KIELICHÓW

Na zawodowe stresy i osobiste smuteczki Dziesiątka Kielichów zaleca spotkanie w gronie przyjaznych ludzi. Nie zamykaj się w domu ze swoimi problemami – rozmowa z życzliwą osobą pomoże szybko się ich pozbyć. Finanse coraz lepsze, ale nie szukaj gotówki w kolekturze – w tym tygodniu niech inni złożą się na Twoją (kiedyś...) wygraną. Pora porozmawiać z szefem o podwyżce (od dawna Ci się należy). A jeśli nic z tego nie wyjdzie – to może pora zmienić szefa? Kondycja nie zawiedzie, a ukochana osoba ma pomysły, o jakich Ci się nie śniło!

KOZIOROŻEC 22.12. – 19.01. SZÓSTKA PAŁEK

Lepsze stanowisko i przyspieszenie kariery to rezultat błędu, jaki popełnił kolega. On stracił – Ty zyskałeś. Szóstka Pałek wróży, że podobnych sytuacji może być w tym tygodniu więcej, ale nie poddawaj się poczuciu winy – po prostu korzystasz z okazji, zanim zrobi to ktoś inny. Finanse nadal niezłe – możesz pomyśleć o poważniejszym zakupie. Jeśli jednak będzie on wymagał podpisywania dokumentów – przeczytaj je uważnie i jeśli cokolwiek jest dla Ciebie niezrozumiałe – nie podpisuj! Zdrowie OK, w uczuciach – dla Ewy kwiatek, a dla Adama gorące podziękowania.

WODNIK 20.01. – 18.02. KSIĘŻYC

Księżyc zaciera granice między tym, czego byś chciał, a tym, co rzeczywiście jesteś w stanie osiągnąć. I stąd te nieprawdopodobne pomysły, które próbujesz realizować mimo ostrzeżeń przyjaciół. Możesz zaliczyć kolejną życiową wpadkę, jeśli te pomysły dotyczą spraw finansowych. Lepiej zapomnij zarówno o wydatkach, jak i inwestowaniu gotówki. Za to sukces czeka na wszystkich, którzy poczują w sobie artystyczną duszę. Mogą stworzyć dzieło, które będzie podziwiane i pamiętane przez wielu. A jeśli artystą się nie czujesz, to przynajmniej w miłości masz tydzień bujania w obłokach...

RYBY 19.02. – 20.03. GIERMEK MONET

Aby mieć gotówkę, najpierw trzeba ją zgromadzić – poucza Giermek Monet. Podsunie Ci on kilka okazji na zapełnienie portfela. Może to być dodatkowa praca lub jednorazowy „biznesik" do spółki z przyjacielem. Niezłe wyniki przyniesie też udział w grach i konkursach. Ale na totolotka za bardzo nie licz – może w kolejnych tygodniach? Zdrowie coraz lepsze, wkrótce zapomnisz o dolegliwościach i... znów zaczniesz korzystać z niezbyt zdrowych przyjemności. Trudno prosić Cię o rozsądek, bo on w tym tygodniu walczy z... pokusą, która przyplątała się w sercowych sprawach. I nie wygrywa...

MAŁGORZATA KABAŁA

„Sylwestrowa blaszka"

Krzyżówka z hasłem

Najwyższe góry świata - w Azji
Sylwestrowa blaszka
Podwawelski potwór
Otrzymywany z monomerów
Wariant wirusa SARS-CoV-2
Miasto i port u wybrzeży Australii
Łączy kraje
Szpalta
Określony mnożnik
Oblicze
Opiekunka tragedii
Dekoracyjny dywan na ścianę
Bokobrody
Stolica Peru
Najdłuższy znajomy Mowgliego
Pielęgnica w akwarium
Fart od końca
Uczestniczka łowów kalidońskich
Trójchloroetylen
Ścięta przez Marię I
Gatunek zięby
Krajan
Imię Kręglickiej, Miss Świata
Dwie ćwiartki
Pokład pod żaglami
Miękki taboret kryty tkaniną lub skórą
Młody łosoś
Tnie światłem
Symbol argonu
Dzienny ze sprzedaży
Sos do mięs z galaretki porzeczkowej
Wokół niej się kręci
Do trafiania w płot
Metropolia Norwegii
Podlotek
Smykałka, wrodzona zdolność
Jazzowa kapela
Ego, jaźń
Wędrowna ryba drapieżna
W herbie Wenecji
Okrągły namiot ludów mongolskich
Przylądek zwycięstwa Nelsona

1	2	3	4	5	6	7	8

9	10	11	12	13

14	15	16	17	18	19

20	21	22	23	24	25

26	27	28	29

Sudoku

Sudoku to proste i przyjazne puzzle. W grze obowiązuje tylko jedna prosta zasada: **uzupełnić puste pola diagramu w taki sposób, aby każdy wiersz, każda kolumna oraz każdy kwadrat 3 x 3 zawierał wszystkie cyfry od 1 do 9.**

			7		1		5	
		4		8		6	3	
			3			2		
	5	3			9			
		2			7		1	9
					5		6	7
9	2							
		1						

2			7			6	3	
9		3	6				1	
6	4		2					
3	5						6	
				9		1		8
							7	
7				2				
				5	4			
	6	8						

„21 poziomo minus 20 poziomo"

Plus minus

POZIOMO:

1. 11 pionowo minus 16 pionowo
3. 15 poziomo minus 10 pionowo
4. 3 poziomo minus 1 pionowo
6. 9 pionowo plus 10 pionowo
8. 1 poziomo plus 9 pionowo
10. 17 poziomo podzielić przez 2,125
12. 18 pionowo razy 20 poziomo
13. 1 pionowo plus 5 pionowo
15. 9 pionowo plus 16 pionowo
17. 20 poziomo plus 9 pionowo
19. 17 pionowo minus 10 poziomo
20. 21 poziomo podzielić przez 1,7
21. $15^2 + 8^2$

PIONOWO:

1. 6 poziomo podzielić przez 2
2. 21 poziomo minus 1 pionowo
3. 8 poziomo plus 10 pionowo
5. 3 pionowo minus 18 pionowo
7. 12 poziomo razy 1,3
8. 13 poziomo minus 2 pionowo
9. 7 pionowo podzielić przez 18 pionowo
10. 21 poziomo minus 10 poziomo
11. 4 poziomo plus 19 poziomo
14. 8 pionowo minus 10 poziomo
16. 10 poziomo plus 2 pionowo
17. 4 poziomo plus 18 pionowo
18. 21 poziomo minus 20 poziomo

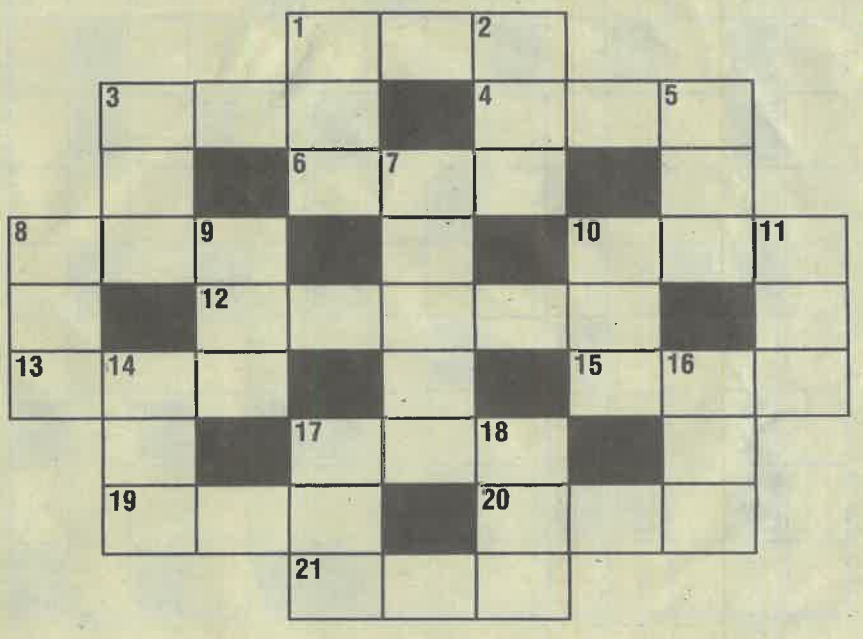

„Zad ważki"

Krzyżówka z przymrużeniem oka

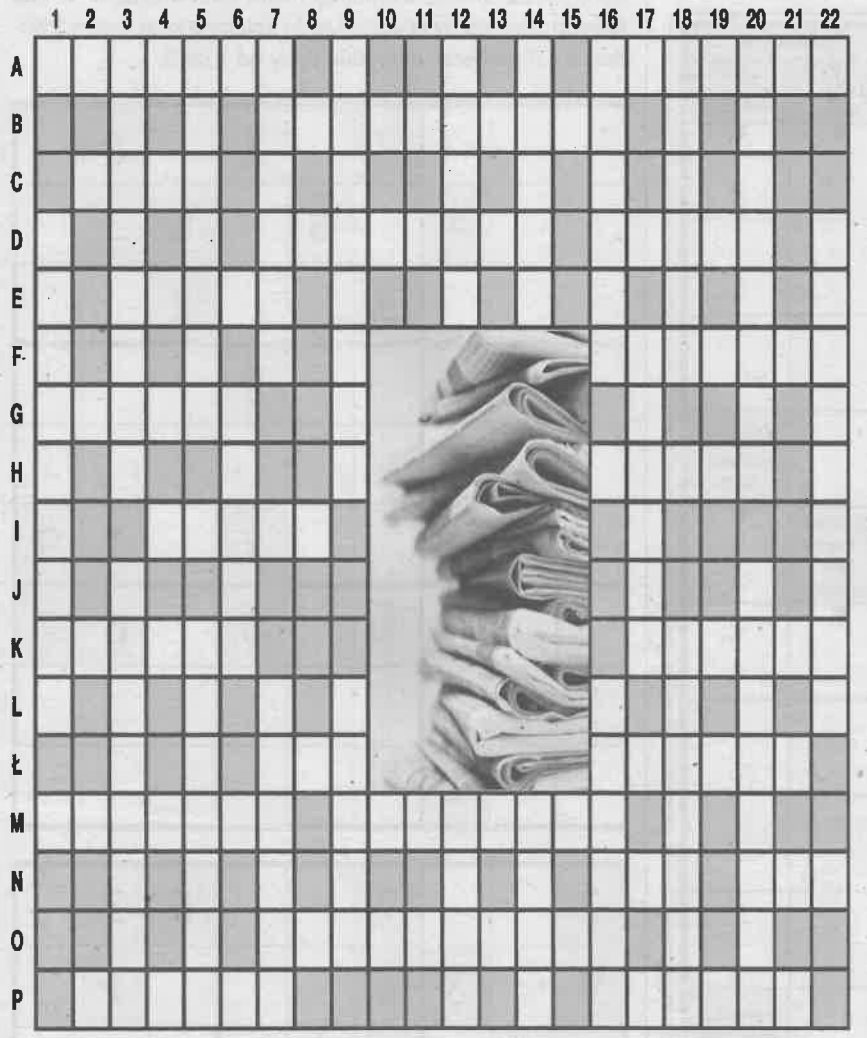

POZIOMO:

A1 straszne mordy to jego specjalność
A16 wieczorowy strój eleganta
B7 woskowi ludzie w osobliwym muzeum
C2 trwa, gdy piłka w grze
D7 sąd do spraw specjalnych
D16 obicie siedzenia
E3 ślady po przejściu watahy
F16 ciasteczko bezcukrowe
G1 soczysty łobuziak
H16 palony... na drodze?
I4 wietrzyk od morza
K1 zad ważki
K17 kształty majaczące w mroku
Ł7 moralnie negatywne
Ł16 uszyje „ubranko" bułankom
M1 laur dla zwycięzcy
M9 wiejskie obejście
N16 6:4 w gemach
N20 stos drewna w posągu
O7 wpadł w szpony ankietera
P2 coś dla ducha i brzucha
P16 tekstylna rzeźba

PIONOWO:

1D dobroczyńca... ze śladem
3A malarz ma do naciągania
3J rysunek wytrawiony
5A „fabryki" trzciny
5K kłopot z naciskiem
6G drzewiej: lokal przy gościńcu
7A jedzenie z nim to przyjemność
7L chała w ramach albo w okładkach
9A Australia dla Eskimosa
9L wyspa kolosem sławna
12A „urodzona" przez Zeusa
12M coś do wyglądania
14A drążona przez krople
14M życiodajny gaz
16A polano pachnące żywicą
16L ostatnia przed metą
17F acani przeciw królowi zbuntowani
18A sława dobra albo zła
18K działo, co zmalało?
20A olej w głowie
20J tematyczne zboczenie
22D zestaw planowanych wydatków

(A-6, G-22, K-4, M-10, M-15, D-19, B-5, G-20) (B-11, M-10, H-20, O-3, G-20, B-8)

(O-9, D-19, H-19) (M-10) (G-20, F-21, B-5, H-20, M-10, M-15, D-19, O-9, G-20, B-8) (J-6,

D-19, B-5) (M-10) (A-22, A-4, F-21, O-3)

„Jeden zębaty, drugi przypuszczający"

Jolka

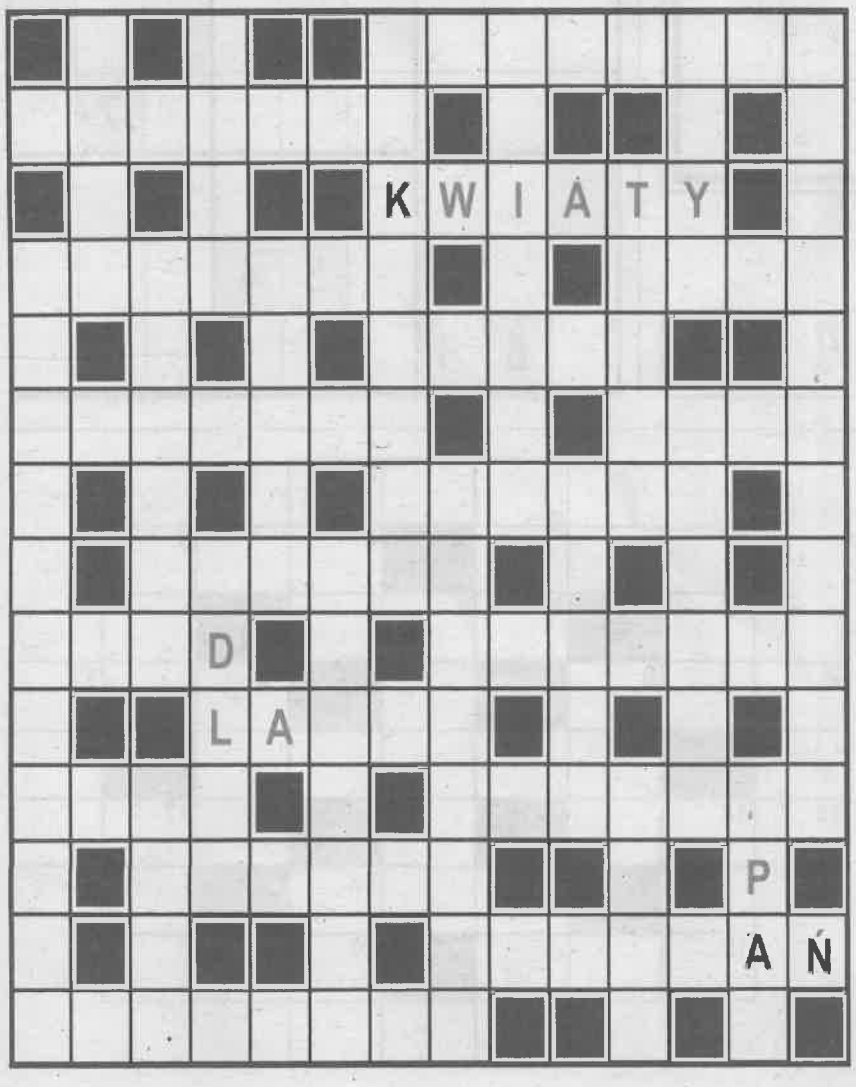

Znaczenia wyrazów (w zmienionej kolejności):

- pięcioosobowy zespół muzyczny
- atrybut marszałka Sejmu
- u Indian: tajemnicza siła przenikająca całą przyrodę
- wysoka temperatura panująca czasami latem
- tytuł Diany Spencer, tragicznie zmarłej byłej żony obecnego Karola III
- państwo z Grazem, Klagenfurtem, Salzburgiem
- bliźniaczy brat Remusa, współzałożyciel Rzymu
- najdłuższa rzeka w Hiszpanii
- Lucy ... Montgomery, autorka cyklu powieściowego o Ani z Zielonego Wzgórza
- rozmowa w języku, którego nie znamy lub nie lubimy
- członek zespołu baletowego
- imię, które można utworzyć z imienia Teresa
- miejsce tak głębokie, że zda się nie mieć dna
- głos Luciana Pavarottiego
- mityczny król cierpiący męki głodu i pragnienia, choć wszystko miał w zasięgu ręki
- czynnik wpływający na coś (anagram TANDEM + INTER)
- narząd z błoną bębenkową
- wyrób z giserni
- produkt spożywczy otrzymywany z mleka
- skrót TB dla informatyka (np. przy opisywaniu pojemności twardego dysku)
- Placido, świetny śpiewak operowy z Hiszpanii
- miasto nad Wisłą, które wbrew nazwie jest dość stare (obecne prawa miejskie od 1350 r.)
- białko pełniące rolę katalizatora w naszym organizmie
- akompaniament towarzyszący głównej melodii
- pracownik przy obrabiarce
- ptaki, które według legendy uratowały Rzym
- krążek zastępujący pieniądze w kasynie
- stolica Norwegii
- osoba, która zupełnie nie dba o swoją edukację
- palindromowe imię męskie
- wydział na wyższej uczelni
- afrykański ssak spokrewniony ze świnią, guziec pustynny (z liter „rok szefa")
- jeden zębaty, drugi przypuszczający
- gotująca się woda; ukrop
- Mikis, grecki kompozytor, twórca muzyki do filmu „Grek Zorba"

Logiczna układanka

by rozwiązać naszą logiczną układankę, należy zaczernić odpowiednie pola diagramu, w myśl reguł akodowanych ciągiem cyfr umieszczonych z jego boku. I tak: przykładowy szereg cyfr „2, 4, 3, 5" w pionie znacza, że w odpowiedniej kolumnie należy kolejno zaczernić ciąg – dwóch, czterech, trzech i pięciu pól analogicznie postępujemy w wierszach). Oczywiście, liczba zaczernionych pól musi nam się zgadzać v „pionie i w poziomie". Utworzony w ten sposób rysunek stanowi rozwiązanie łamigłówki.

																1										
		1	1	1	1	1	1	1	1	1	1	1	1	1	1		1	1	1	1	1	1	1	1	1	1
		3	1	3	4	5	5	5	5	5	5	8	9	9	10	17	10	7	5	5	5	5	5	5	3	1
	2																									
	1																									
	1																									
	25																									
	1																									
	1																									
	1																									
	3																									
	5																									
	6																									
	7																									
	7																									
	20																									
1	22																									
	25																									
1	22																									
	19																									

„4 poziomo minus 6 poziomo"

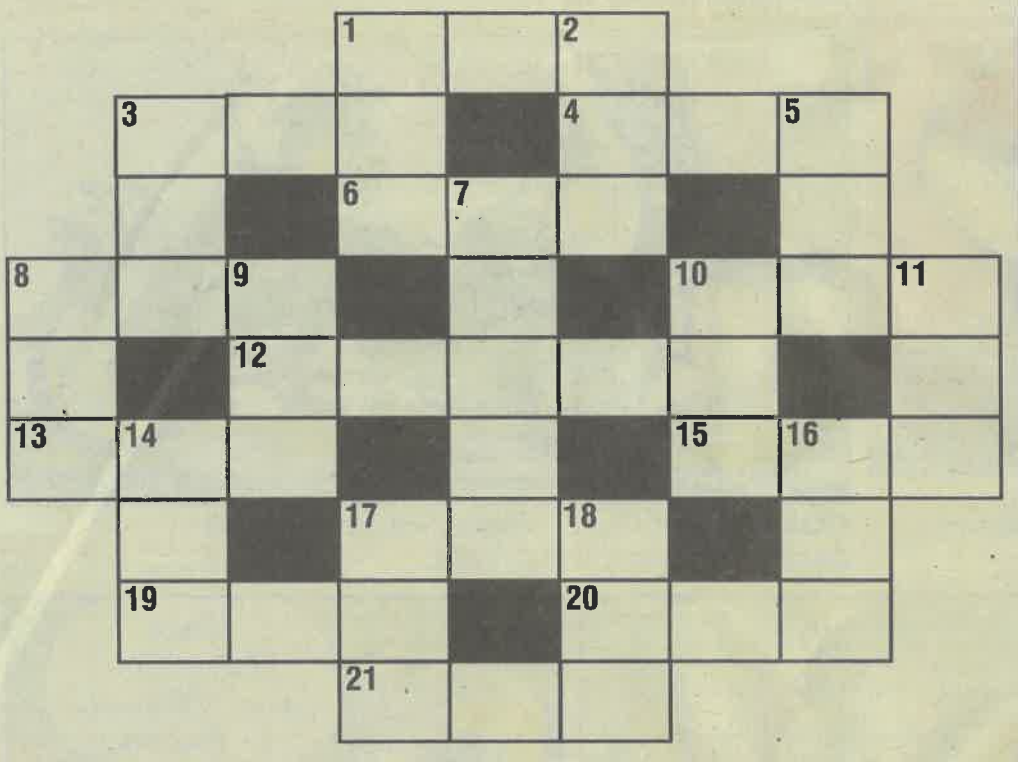

POZIOMO:

1. 7 pionowo podzielić przez 2 pionowo
3. 17 pionowo minus 18 pionowo
4. 1 poziomo plus 9 pionowo
6. CDXCIV
8. 2 pionowo plus 18 pionowo
10. 20 poziomo podzielić przez 0,44
12. 2 pionowo razy 13 poziomo
13. 6 poziomo podzielić przez 3,8
15. 8 poziomo minus 5 pionowo
17. 6 poziomo minus 1 poziomo
19. 3 poziomo plus 13 poziomo
20. 8 poziomo minus 9 pionowo
21. 8 poziomo minus 1 pionowo

PIONOWO:

1. 14 pionowo minus 3 pionowo
2. 6 poziomo minus 13 poziomo
3. 8 poziomo minus 10 poziomo
5. 4 poziomo minus 10 pionowo
7. 12 poziomo razy 2,1
8. 1 poziomo plus 3 pionowo
9. 17 poziomo podzielić przez 0,65
10. 8 pionowo minus 13 poziomo
11. 9 pionowo plus 15 poziomo
14. 11 pionowo minus 18 pionowo
16. 6 poziomo plus 21 poziomo
17. 16 pionowo minus 11 pionowo
18. 4 poziomo minus 6 poziomo

MATRYMONIALNE

Jestem Niemcem w wieku 65 lat i pochodzę z Aschaffenburg, szukam wiernej kobiety do 100 km, do stałego związku, jestem bardzo dobry, ab 19 Uhr ☎ **0176/24027693**

Pan 63/175/83, pracujący szuka pani, stały związek, Pani minimum 55 lat, niepaląca, Polka lub z pochodzenia, ze Śląska nie, bez zobowiązań. Proszę dzwonić po godz. 17:00. ☎ **0157/50900750 lub 0157/30989784**

Kawaler, 30 lat, pochodzenie włosko/polskie, w Niemczech urodzony, zamieszkały w Mainz, szuka odpowiednią Partnerkę na wspólne spędzenie czasu, reszta telefonicznie. WhatsApp ☎ **0176/61817680**

Nette Mann, 69 lat szuka partnerki do życia we dwoje, na resztę swojego życia. ☎ **0162/1868952**

Hamburg, przystojny 50-latek pozna dziewczynę 18-99, która ma chęć i odwagę trochę poszaleć. ☎ **0172/4054147**

Pani, 60+ lat, 158/60 kg, lubi pływanie, jazdę rowerem, rolki, książki, rozmowna, ale także umiejąca słuchać, szuka bratniej duszy, także na dłuższe spacery i dalej. (Oldenburg+-30 km) ☎ **0177/7078139**

Przystojny 50-latek szuka pani do 60 lat w celu towarzyskim lub matrymonialnym. ☎ **0159/01821346**

Jestem Niemcem, 66 lat i szukam dobrego związku, jestem online i po za Aschaffenburg, podróżuję już od dłuższego czasu i szukam w ten sposób stałego związku. ☎ **0176/24027693**

Pani 72/170 pozna pana w 68-70 lat w celu matrymonialnym. Pan emeryt, niepracujący już, Dortmund-Frankfurt/M., nie peryferie - obrzeża miasta, ze znaku zodiaku Panna, Woda i inne horoskopy nie, niepalący, niepijący alkoholu. Proszę dzwonić do 24 godz. ☎ **0151/41990428**

Mann, 66 lat, pochodzę z Aschaffenburga, jeżdżę po całych Niemczech i szukam kobietę na dłuższy związek, ab 19 Uhr ☎ **0176/24027693**

Sympatyczny 57 latek pozna partnerkę do życia, Karlsruhe. ☎ **0179/5512180**

Pan, lat 67, na emeryturze, rozwiedziony, niepalący, szczupły, spokojny, zamieszkały Baden-Württemberg. Poznam Panią w podobnym wieku, szczupłą, niepalącą, z dobrym charakterem, która szuka dobrego, stałego związku. ☎ **0177/3947985**

Kawaler, po 60-tce, 173/75 nienadużywający alkoholu, jeszcze nie stracił nadziei zapoznać się z kimś lecz samotny, pozna panią, która ma dosyć życia w samotności. Ciało której pragnie drugiej osoby lecz wciąż wśród ludzkich istnień zostaje samotnia. Braunschweig. ☎ **0163/8218109**

Ein netter, gutaussehend Mann, 37 Jahre, Taubstumm sucht nette Freundin für eine ernsthafte Beziehung. ☎ **0176/83448499, Email: arturgermany30@gmail.com**

Polak 74/170/80 zam. Hamburg i Polsce. social, zadomowię bezdomną + utrzymanie. ☎ **0162/3463034, 0048/609/591903**

Sympatyczny 61-latek zapozna interesującą Panią, może się sobie spodobamy. Pozdrawiam. ☎ **0151/152969543**

Pan, 60+, 190/85, lubiący pływanie, jzdę rowerem, lubiący rozmawiać, ale jest także dobrym słuchaczem szuka Partnerki o podobnych zainteresowaniach, Hagen +- 30 km. WhatsApp ☎ **0157/56230479**

Niemiec, polskiego pochodzenia, 37 lat, bez nałogów pozna Panią na wspólne spędzenie czasu. ☎ **0176/87943617**

Rencista, 70, 173 cm, n. p., zmotoryzowany pragnie poznać miłą, sympatyczną panią do życia we dwoje. Düsseldorf o okolice, do 30 km. ☎ **0174/3409706**

Pani, 60 lat, 158/60kg, lubi pływanie, jazdę rowerem, rozmowna ale także umiejąca słuchać szuka bratniej duszy, także na dłuższe spacery i dalej. ☎ **0177/7078139**

Kawaler po 60-tce, 173/75, nie nadużywający alkoholu, jeszcze nie stracił nadziei zapoznać się z kimś, lecz samotny, pozna panią która się nim zaopiekuje, której potrzebny jest ktoś taki jak ja. Braunschweig. ☎ **0163/8218109**

NIERUCHOMOŚCI

SKUP nieruchomości oraz udziałów w Polsce. Mogą być z lokatorem, zadłużone, spadkowe lub z problemami prawnymi. ☎ **0048/884/308046, www.solidnyskup.pl**

Polski Sklep w Gevelsberg cieszący się dobrą opinią i zatowarowaniem! 300 m kw. na sklepie, zaplecze 100 m kw., chłodnia podzielona na trzy komory tzn. wędliny, mięso, warzywa, kompletnie wposażony. Cena do negocjacji. Proszę o kontakt pod tym numerem na WhatsApp ☎ **0176/43482673**

INNE

Mieszkam w Bergisch Gladbach, mam raka, leczę się w Uniklinik Köln. Poszukuję osoby która towarzyszyła by mi w szpitalu. Dziękuję za każde wsparcie, za każdą małą pomoc. Marek. ☎ **0178-3878551**

PRACA

Poszukuję opiekunki z prawem jazdy do starszego Pana. NRW. ☎ **0177/7839961**

Poszukujemy kierowcy z własnym samochodem do rozwożenia gazet w piątki, okolice Burscheid. ☎ **0173/2106849**

www.ANGORA-online.de

Ogłoszenia drobne przyjmujemy wyłącznie listownie

– tekst ogłoszenia prosimy przesłać listownie i załączyć znaczki pocztowe (włożyć do koperty, nie naklejać na kopertę) jako opłatę (3 znaczki po 0,85 euro / 12 zł)
– w przypadku ogłoszenia z szyfrem załączyć 10 znaczków po 0,85 euro / 40 zł
– ogłoszenia drobne drukujemy w oryginalnym brzmieniu, bez poprawek ortograficznych i gramatycznych
– tekst może mieć max. 250 znaków;
– konieczne jest podanie adresu nadawcy oraz własnoręczny podpis

Nie odbieramy niewłaściwe opłaconych listów (brak znaczków itp.)

Zasadniczo NIE DRUKUJEMY:
– adresów zamieszkania i nazwisk osób prywatnych
– ogłoszeń nadawanych w imieniu osób trzecich (także krewnych!)
– bez adresu nadawcy (do wiadomości redakcji) lub bez podpisu
– ogłoszeń o treści niezgodnej z prawem
Zastrzegamy sobie prawo odmowy publikacji.

Ogłoszenia drobne ukazują się raz w miesiącu.

Jak odpowiadać na ogłoszenia z szyfrem?
Należy napisać list i zaadresować: **ANGORA, Beckumer Str. 123 A, 59229 Ahlen** i dopisać numer szyfru ogłoszenia, na które odpowiadamy (np. SZYFR 53-01). Listy takie redakcja wysyła (nie otwierane!) do ogłoszeniodawcy.

W sprawie ogłoszeń i reklam prosimy o kontakt z Działem Reklamy: tel. 02382 7667578 fax 02382 7667579, werbung@angora-online.de

Rys. Katarzyna Zalepa

SUKCES. Szwecja została członkiem NATO.

Rys. Katarzyna Zalepa

DOWODY ZNIKNĘŁY. Podkomisja smoleńska miała zgubić 18 części prezydenckiego tupolewa.

Rys. Tomasz Wilczkiewicz

POLSKA SREBREM STOI. Mamy największe złoża srebra na świecie.

Rys. Katarzyna Zalepa

UCZY SIĘ STRZELAĆ. Członkini Trybunału Konstytucyjnego Krystyna Pawłowicz pokazała internautom swoje zdjęcia, na których pozuje z bronią.

Rys. Paweł Wakuła

A ROLNICY NADAL PROTESTUJĄ. Tym razem w Warszawie pod Sejmem.

Rys. Władysław Kuczer

SILNI I ZIELONI. Unia Europejska zleciła raport nt. zalet „bardziej ekologicznych" sił zbrojnych.

Rys. Tomasz Wilczkiewicz

STRACILI DIETY. Posłowie PiS zostali ukarani za przepychanki przed Sejmem.

Rys. Katarzyna Zalepa

KOŃ BY SIĘ UŚMIAŁ... 19-latek z Wejherowa ukradł konia i chciał go ukryć w mieszkaniu na trzecim piętrze.

Rys. Paweł Wakuła

TAKA OFERTA... Dwie sieci supermarketów zrobiły promocję na... wódkę.